

**NAPAD „WYKŁĘTYCH”
NA PARCZEW**

**PAULINA MATYSIAK
CZARNA DZIURA
KOMUNIKACJI**

**KRĘCENIE LODÓW
NA DOTACJACH
UNIJNYCH**

**JACEK PAŁKIEWICZ
NA WYBRZEŻU
SZKIELETÓW**

POLSKA-USA

INTERESY BEZ WZAJEMNOŚCI

Premiera 10 marca 2023



BAZEN ARTYSTYCZNY

Telefon Medium

Prezentowane na licencji G. Schirmer Inc. i Associated Music Publishers właścicieli praw autorskich

Gian Carlo Menotti

Kierownictwo muzyczne: Kuba Wnuk
Reżyseria: Jakub Przebindowski ▲ Scenografia:
Witold Stefaniak ▲ Kostiumy: Tomasz Ossoliński
▼ Wizualizacja multimedialna: Hektor Werios
Tłumaczenie: Michał Wojnarowski

SPEKTAKLE 11, 17, 18 MARCA 2023 ▲ —

BAZEN ARTYSTYCZNY WARSZAWSKIEJ OPERY KAMERALNEJ UL. M. KONOPNICKIEJ 6

BILETY: KASA TEATRU WOK, AL. SOLIDARNOŚCI 76B I OPERAKAMERALNA.PL

25. MAZOWSZE



Bardzo tani sojusznik

Za nami kolejny wielki show. Multimedialny spektakl z politykami w rolach głównych. Jak w dobrze zaplanowanym widowisku był wodzirej, czyli prezydent Biden, paru tancerzy z prezydentem Dudą i gromada polskich wróbli. Nie był to krzepiący widok. Po śmierci papieża Polaka tylko wizyty prezydentów USA mają z góry przyznany status wydarzenia historycznego. Choć IPN wymazuje te czasy czarną farbą, to już Gierek gościł aż trzech prezydentów USA: Nixona, Forda i Cartera. A Bush (starszy) bardzo zabiegał o prezydenturę dla gen. Jaruzelskiego.

Kolejne wizyty prezydentów USA miały rozmaity ciężar gatunkowy. Najczęściej kończyło się na przemówieniach zręcznie łechcących polskie ego. Trochę o osobistych związkach z Polonusami i z Janem Pawłem II. Trochę o bohaterskich czynach narodu polskiego. I o solidarności. Pisanej małą i wielką literą. Schemat tak powtarzalny, że łatwy do przewidzenia. Biden nie wyszedł poza te ramy. Bo nie musiał. Wszystko, co chciał, dostał na tacy. A nawet jeszcze więcej. Prezydent Duda, jak potrafił wdziękczyc się do Trumpa, tak teraz nadrabiał swoje dąsy po wyborze Bidena.

Dla dumnego narodu, jaki teraz buduje PiS, musiał to być widok dość żałosny. Tym bardziej że za te zabiegi, czyli gigantyczne zakupy, płaci przecież nie władza, ale polski podatnik. Amerykanie, którzy zawsze byli

do bólu pragmatyczni, od wybuchu wojny na Ukrainie coraz ciszej mówią o nieprzestrzeganiu przez rząd PiS zasad praworządności. Za to coraz głośniejsze jest o naszych wydatkach na broń, gaz i budowę elektrowni atomowych. Dodać do tego trzeba szczelną ochronę każdej amerykańskiej korporacji, która ma jakieś interesy w Polsce. Była ambasador Mosbacher pokazała, jak brutalnie można ingerować w interesie Ubera i innych firm.

Bez Polski Ukraina nie mogłaby tak skutecznie prowadzić tej wojny. Amerykanie świetnie o tym wiedzą. I dlatego Polska jest im teraz bardzo potrzebna.

A nasze interesy? Są, ale we mgle. Nawet jeszcze nie zostały zdefiniowane. Nie mówi o nich także opozycja. To zadziwiające, że kraj, który tyle daje, zadowala się poklepywaniem po plecach i werbalnymi banałami. A wydatki z naszego budżetu są coraz większe. Stosunek USA do tej wojny zmieniał się wraz z tym, jak zmieniała się sytuacja na froncie.

Po roku fakty są takie, że Polska jako kraj i my jako jej obywatele jesteśmy na wojnie. To, co przez rok było przykrywane eufemizmami, po wizycie Bidena w Kijowie jest otwartym przyznaniem, że mamy wojnę państw NATO z Rosją. Czyli, pisząc bez ogródek – wojnę światową. Może jest to wojna nowego typu? Ale z podobnymi skutkami, jakie niesie każda wojna na taką skalę.



PRZEGLĄD także dla NIEWIDOMYCH i SŁABOWIDZĄCYCH

Zachęcamy osoby z takim orzeczeniem niepełnosprawności do zarejestrowania się w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto”** i czytania **bezpłatnie** naszego tygodnika.

Bardzo prosimy o poinformowanie bliskich lub sąsiadów o możliwości czytania **PRZEGLĄDU** w tej formie.

Zgłoszenia
na www.ekiosk.defacto.org.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Po co Biden był w Polsce?**
Jedyna droga na Ukrainę
- 11 Po co Polska Ameryce?**
Nasi politycy nie zawsze rozumieją politykę
- 14 Łodziarnia na Chmielnej**
Unijne dotacje dla spryciarzy
- 17 Polska dwóch prędkości**
– rozmowa z Pauliną Matysiak
- 20 Jak PiS chce wygrać wybory**
Walka o korektę demograficzną
- 42 Najpierw mieszkanie**
Zarządzamy bezdomnością, zamiast ją zakończyć

HISTORIA

- 24 Najazd na Parczew**
IPN zakłamuje napaści na Żydów

OPINIE

- 28 Piotr Kimla**
Polacy – nacja ofiar

ZAGRANICA

- 31 Niepodległość w zamrażarce**
Napięcia między Szkocją i Londynem
- 34 Asad wraca do łask**
Syria po katastrofie humanitarnej

KULTURA

- 36 Spektakl o Polsce musi być niewygodny**
– rozmowa z Agnieszką Jakimiak i Mateuszem Atmanem
- 39 Kulturalia**
- 66 Fotografika**

MEDIA

- 40 Radio i TV w internecie**
Nadawcy bez cenzury

TECHNOLOGIE

- 46 Rozmowy (o) przyszłości**
Rewolucja sztucznej inteligencji

PSYCHOLOGIA

- 50 Jeżeli krwawi, to na czołówkę**
Dlaczego wolimy złe wiadomości

OBSERWACJE

- 53 Wybrzeże Szkieletów**
Podróże Jacka Palkiewicza
- 56 Zabójcza kreatywność**
Śmierć godna nagrody

ZWIERZĘTA

- 58 Na wyspach życia dzieją się cuda**
– rozmowa z Piotrem Charą

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Bardzo tani sojusznik
- 13 Jan Widacki**
Biden w Warszawie
- 23 Roman Kurkiewicz**
Cywilizacja prawicowego kotleta
- 27 Andrzej Romanowski**
Nieodbyte rozmowy
- 45 Tomasz Jastrun**
Kopalnia Wujek i Biden
- 49 Wojciech Kuczok**
Różyczki i magdalenki



17
KRAJ

POLSKA DWÓCH PRĘDKOŚCI

– rozmowa z Pauliną Matysiak



36
KULTURA

SPEKTAKL O POLSCE MUSI BYĆ NIEWYGODNY

– rozmowa z Agnieszką Jakimiak i Mateuszem Atmanem



58
ZWIERZĘTA

NA WYSPACH ŻYCIA DZIEJĄ SIĘ CUDA

– rozmowa z Piotrem Charą

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KEN CEDENO/POOL/ABACAPRESS.COM/EAST NEWS



f Trzymając diabła za ogon

Prof. Stanisław Filipowicz napisał, że nasza polityka „zmienia się w widowisko perwersyjnego zakłamania, w wielkie szalbierstwo przepojone miazmatami iluzji”. Zauważmy, że od dawna działa IPN (pod auspicjami wielu rządów), wartko działa też lustracja. Jeśli więc polityka się zmienia, to tylko jeszcze bardziej. Staje się jeszcze bardziej zakłamana, niż była od wielu lat. Jest to więc po części dorobek dzisiejszej opozycji. Za poprzednich rządów działały areszty wydobywcze, prześladowani byli dziennikarze, państwo dawało minimum pod względem socjalnym, a politycy wytaczali kuriozalne procesy w kraju ponoć liberalnym. Vide oskarżenie Urbana, że pomówił Tuska o coś, czego ten nie zrobił – rzecz dotyczyła artykułu z 1 kwietnia (!). To powinno dawać do myślenia. Pytanie zatem, czym się różnią poprzednie rządy od obecnych. Czy PiS to nie jest czasem taka Platforma 2.0?

Michał Błaszczak



z Rosją, ale rękami ukraińskimi. Ukraina tego nie wygra, wie, że tereny, na których mieszka ludność rosyjska, są dla Kijowa stracone. Zachód powoli wysiada, więc prędzej czy później będzie musiał na coś się zdecydować. Jak powiedział prof. John Mearsheimer, między Rosją a Ukrainą będzie zimny pokój, jak pomiędzy państwami koreańskimi. To, że świat jednobiegunowy powoli przechodzi do historii, a nadchodzi świat wielobiegunowy, daje nadzieję, że będzie lepiej.

Andrzej Kościński

f Olsztyńskie szubienice skazane na zburzenie

Pisząc o olsztyńskim pomniku, warto dodać, że to prezydent miasta rok temu najgłośniej krzyczał o konieczności jego zburzenia. Dopiero konsultacje społeczne wykazały, że nieznaczna większość mieszkańców jest jednak za jego pozostawieniem. Każdy już zdążył na tym pomniku rozładować swoją rusofobię.

Adam Czech



f Rok wojny. Jak zmienił się świat

Wojna na Ukrainie to nie jest nasza wojna, ale władza na polecenie USA włączyła się w nią na poważnie, wydając pieniądze podatnika, choć w naszym kraju potrzeby są ogromne. Szkoda, że nie ma u nas żadnej dyskusji na ten temat, tymczasem w krajach europejskich czy w USA dużo się o tym rozmawia. Tam ludzi się informuje, a u nas zaciemnia obraz, bo skoro mniej wiedzą, to mniej mówią. Biden na Ukrainie toczy prywatną wojnę

f Porno, dzieci i dopamina



Myślę, że tak łatwa dostępność pornografii w internecie jest sporym problemem. Te czasy, kiedy prosiło się starszego kolegę o kupno „świerszczyka”, już nie wróć. Ale dzisiaj z jednej strony młodzież ma się podporządkować jednemu modelowi nauki o sferze seksualności, a z drugiej ma nieograniczony dostęp do często szkodliwej pornografii.

Kamil Wójcik

ZDJĘCIE TYGODNIA



Minister obrony poinformował na Twitterze o rozpoczęciu prewencyjnej rozbudowy zapór powstrzymujących na granicy z Rosją i Białorusią. Czyżby powstawała „Linia Błaszczaka”?

12,6 mln zł dostali pracownicy **Instytutu Pamięci Narodowej** w formie nagród za 2022 r. A liczni teraz kierownicy, spece od pisowskiej wersji historii, zostali wycenieni na 13 893 zł i 41 groszy. Oczywiście od osoby.

W 2022 r. wykonano w Polsce **173 przeszczepy serca** osobom z wadami nabytymi lub wrodzonymi.

Po ubiegłorocznej fali zamykania tytułów i zwalniania pracowników mediów zapowiada się jeszcze gorszy rok. Do już zamkniętych 30 tytułów i 300 osób, które straciły pracę w Burdzie Media, Ringier Axel Springer Polska („Newsweek”), Agorze, w tym w „Gazecie Wyborczej”, i Bauerze, dochodzą kolejne. Główną przyczyną jest ogromny wzrost cen papieru.

Najbardziej zakorkowanym miastem w Polsce jest Łódź. W 2022 r. w godzinach szczytu kierowcy stracili tam z powodu korków średnio ponad 77 godzin. Za Łodzią jest Kraków (67 godzin) i Wrocław (55 godzin).

Na początku stycznia działało w Polsce **25,3 tys. spółek z kapitałem ukraińskim.** 738 tys. zatrudnionych Ukraińców było ubezpieczonych w ZUS.

Nie ma w Polsce elektryczni atomowych, bo ekipa Gierka nie zdążyła ich wybudować. Zamiast tego mamy **Państwową Agencję Atomistyki.** I premie dla zatrudnionych w niej kierowników. Za 2022 r. dostali po **43 269 zł** (razem na premie poszło 1,6 mln zł). Przy zarobkach w PAA to i tak niewiele.

Maja Kleczewska, reżyserka teatralna, m.in. „Dziadów” w Teatrze Słowackiego, otrzymała **Nagrodę im. Kazimierza Kutza,** przyznaną osobom, które łączą działalność artystyczną ze społecznym zaangażowaniem.

Piotr Cieplak, reżyser teatralny, od 2014 r. w Teatrze Narodowym, wykładowca warszawskiej Akademii Teatralnej, został laureatem **Nagrody im. Tadeusza Boya-Żeleńskiego** za rok 2022. Nagrodę przyznaje zarząd Klubu Krytyki Teatralnej Stowarzyszenia Dziennikarzy RP, polskiej sekcji Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyki Teatralnej (AICT).

Według Jana Krzysztofa Ardanowskiego, byłego ministra rolnictwa, wokół rolnictwa w Unii Europejskiej wywołano stan hysterii. Choć emisja gazów cieplarnianych, która towarzyszy hodowli, jest śladowa. Walka z tym problemem jest już formą obsesji.

Wchodzą w życie przepisy umożliwiające pracodawcom kontrolę pracowników przy użyciu alkometru i narkotestów. Zasady kontroli muszą być zawarte w regulaminie pracy, układzie zbiorowym bądź w obwieszczeniu.

Zmniejszanie wagi produktów przy utrzymywaniu starej ceny to sposób producentów i marek własnych sklepów na oszukiwanie klientów. Teraz w sklepach trzeba być jeszcze bardziej uważnym, bo zamiast reguły mamy wolną amerykanke.

PRZEBŁYSKI

Urojenia Zabużko

A to się historycy starożytności musieli zdziwić. Trzeba było odwagi Oksany Zabużko, by prawda wyszła na jaw. Teraz, zgodnie z obowiązującą modą, trzeba będzie przeprosić za fałszerstwa. Bo według Zabużko „ukraińscy autochtoni od zarania dziejów zasiedlali ziemie od Sanu do Donu, niemal od czasów starożytnego Rzymu orali je plugiem własnej konstrukcji, używali jednego języka i tysiąc lat temu wydrapywali nim graffiti na chórze Soboru w Kijowie”. Takich odkryć Zabużko ma w swojej książce o wiele więcej. I co z tym począć? Może to science fiction? A może to jakieś fanatyczne urojenia?



Pietras o Łybackiej



Na uznanie wyborców, którzy aż pięć razy wybierali Krystynę Łybacką do Sejmu, a później do Parlamentu Europejskiego, trzeba było mocno pracować. Sławomir Pietras, u którego w domu Łybacka często bywała, wspomina („Angora”), co robiła jego gospodyni domowa, zwana Marcydelą. „Była wręcz zakochana w Łybackiej. Cytowała ją przy każdej okazji, nazwisko wymieniała dużymi literami, stawiała za wzór. Każdorazowo przed wyborami odwiedzała przyszłych wyborców, energicznie agitując za Łybacką”. Przy każdej wizycie Krystyny Marcydela otrzymywała słodczyce, panie obejmowały się przy tym, całując i ucinając sobie serdeczną pogawędkę. Takich polityków miała kiedyś Lewica...

Wałęsa, mąż opatrnościowy Wyszowskiego

Pamięć jest zawodna i czytelnicy mogą uważać, że Krzysztof Wyszowski, solidarnościowy nabab, dowala Lechowi Wałęsie od początku. Czyli od 1980 r. Kto tak myśli, myli się okrutnie. Niech przemówią fakty. A precyzyjniej wiernopoddańczy list, który Wyszowski wysłał Wałęsie, gdy ten wyszedł z Arłamowa: „Drogi Lechu! Piszę do Ciebie po nieprzespanej nocy, najgorszej chyba od 13 grudnia, gdy widziałem Cię po raz ostatni. Jestem w podziemiu, uciekłem z internatu. Tam w obozie, a także w więzieniach, w czasie strajków i demonstracji ludzi, podtrzymywała mnie na duchu pewność, że Ty jesteś z nimi. (...) Twój talent i twoja racja uczyniły z Ciebie męża opatrnościowego, za którym poszły miliony. (...) Lechu, (...) pokochałem Ciebie i widziałem, jak pokochali Ciebie inni zwykli ludzie, którym przewodziłeś, a byłeś jednym z nich. Stałeś się symbolem tej wielkiej epoki w życiu narodu i dlatego może przestaliśmy w Tobie widzieć zwykłego człowieka, który cierpi jak inni, który w sytuacji uznanej za przegraną może się poddać. (...) Twój Krzysztof Wyszowski” (archiwum Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku).

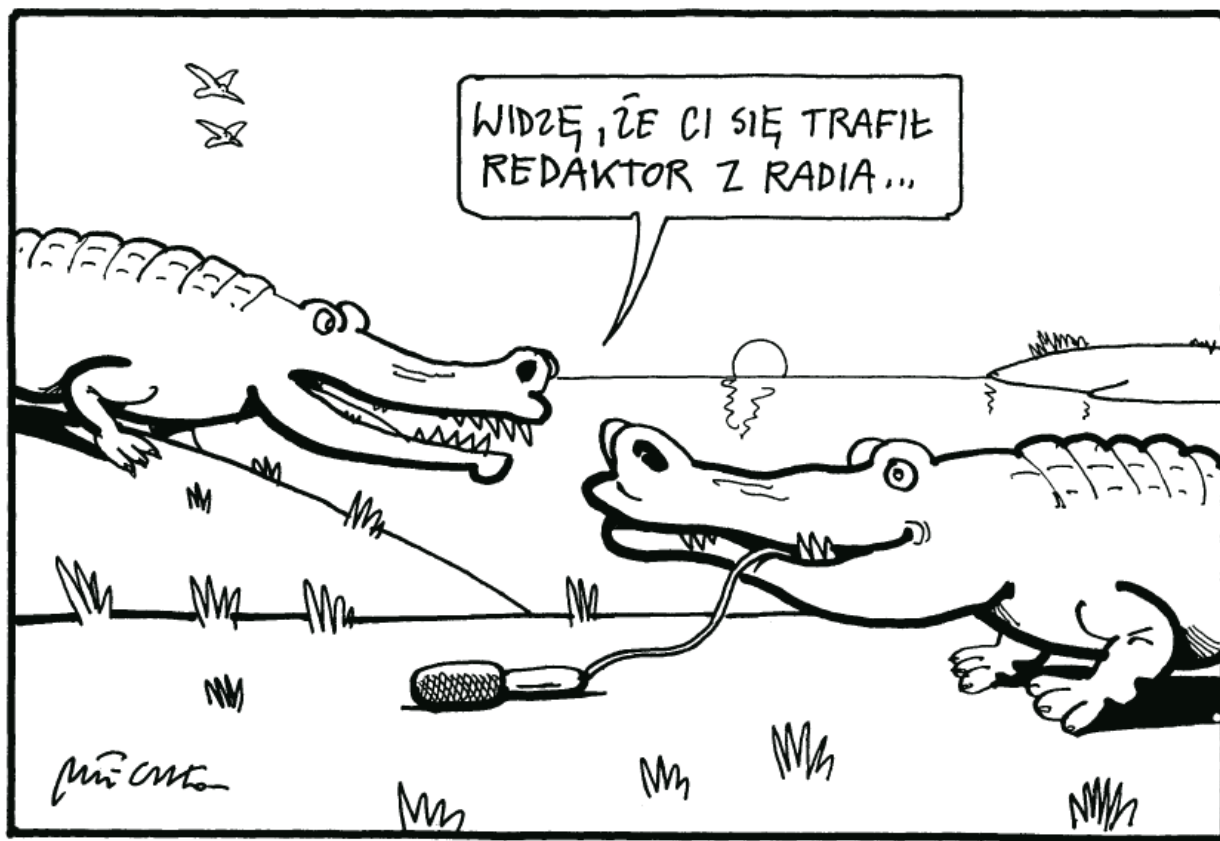


Wędrujące kostki

Gazety przejęte przez Orlen drukują peany na cześć PiS. Jeśli zostaje miejsce, to robią tak jak „Gazeta Krakowska”. Mocno to makabryczne, ale czego się spodziewać po ekipie Doroty Kani? Nie zgadniecie, jaki jest los św. Faustyny, którą ekshumowano w 1993 r. Aż 4189 relikwii św. Faustyny I stopnia, czyli cząsteczek jej kości, trafiło do parafii, zgromadzeń i egzorcystów... ze 102 krajów. Ciekawe, czy jest wśród nich Dominik



Tarczyński, europoseł PiS, który zapraszał do Polski wskrzesiciela zmarłych. Siostra Ignacja ze Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej Miłosierdzia w Łagiewnikach uspokaja wierzących, że duże kości św. Faustyny są w zaplombowanej trumnie w sanktuarium. Na razie. Bo Tarczyński może wrócić do egzorcystów.



PYTANIE TYGODNIA

Czy Polacy nadużywają przekleństw?

PROF. MAŁGORZATA MARCJANIK,
językoznawczyni, badaczka etykiety językowej,
Instytut Dziennikarstwa UW

Przejawami grzeczności i niegrzeczności językowej zajmuję się od czasów sprzed 1989 r. Na pytanie to odpowiedź mam jedną: zdecydowanie tak. I w coraz większym stopniu. Polacy, zwłaszcza z młodego pokolenia, nie tylko używają tych błędów bez umiaru i skrępowania, ale jeszcze robią to niejako za społecznym przyzwoleniem. Przypadkowi odbiorcy bowiem – z obawy przed agresją – nie reagują. Wulgaryzmy zagościły na dobre w wypowiedziach ludzi kultury (pisarzy, reżyserów, aktorów), którzy uważają, że są bardziej ekspresywni. Przykładem Andrzej Seweryn, który niedawno zacytował publicznie wypowiedź ukraińskiego żołnierza „Idi na...”. Czy cel ten osiągnął?

MARTA LEMPART,
jedna z liderek Strajku Kobiet

Mogę odpowiedzieć przewrotnie, że Polacy nadużywają przekleństw, natomiast Polki moim zdaniem nie, bo w obecnej sytuacji jesteśmy absolutnie uprawnione do tego, aby przeklinać. I to jest dla nas częścią odchodzenia od stereotypu kobiet jako cichych i miłych dla oka istotek, którymi można wytrzeć podłogę. Jest akcja i jest reakcja – nie da się grzecznie wypowiedzieć posłuszeństwa. A już zupełnie serio, to tak naprawdę większość z nas, czy kobiet, czy mężczyzn, ma powody do wkurwienia.

Używanie przekleństw to po prostu wyrażanie tego, co czujemy wobec obecnej rzeczywistości. Danuta Kuroń, która jest przecież bardzo poważną osobą, napisała w 2020 r. artykuł o tym, że „wyp****lać” to nie jest przekleństwo, tylko program polityczny. I ja z tym absolutnie się zgadzam.

ANDRZEJ KRAJEWSKI,
dziennikarz, ekspert KRRiTV ds. wolności słowa
w latach 2012-2016

Warto podkreślić, że coraz więcej przekleństw pojawia się w przestrzeni publicznej w sposób całkowicie uzasadniony, bo oddają one emocje społeczne, które w dzisiejszych czasach narastają. Natomiast użycie wulgaryzmów zamiast przecinków, kropek czy wykrzykników jedynie splota wydzźwięk tego obywatelskiego niepokoju. Dlatego, szczególnie z punktu widzenia osoby w moim wieku, a jest on już poważny, natężenie przekleństw w przestrzeni publicznej jest problemem. Bardzo razi ich powszechne użycie, właśnie jako znaków przestankowych, przez nastolatki. Słowo „p****lić” stało się tak uniwersalne, że można je odnieść właściwie do wszystkiego. Uważam, że duży wkład w ten stan rzeczy mają stand-uperzy. I choć oglądam ich z przyjemnością, odnoszę wrażenie, że panuje w ich zawodowym środowisku przekonanie, że jeśli komik nie klnie, to nie zaistnieje.

Not. Kornel Wawrzyniak

Po co Biden był w Polsce?

Bez współpracy z Polską realna pomoc dla walczących Ukraińców byłaby niemożliwa



Joe Biden był ponad polskie spory. Trzymał się Andrzeja Dudy.

Robert Walenciak

To są dwie różne cywilizacje, dwa światy. Pierwszy to świat Ameryki, w którym politykę kształtują interesy, a piękne słowa służą ich promocji, pokazaniu w jak najlepszym świetle. Drugi – nasz nadwiślański; tu, jeśli mówimy o interesach, to najwyżej partyjnych. A politykę kształtują takie pojęcia jak duma, podziw świata, dawanie świadectwa... To w słowach.

A w czynach jest to czepianie się pańskiej klamki.

Tę wielką różnicę było widać podczas ubiegłotygodniowej wizyty prezydenta Joego Bidena. Rzecz by można: nic nowego nie nastąpiło. Wiadomo, USA i Polska to nie są równoprawni partnerzy, więc równości w relacjach nigdy nie będzie. Ale można było oczekiwać, że gospodarze podejść do wizyty w sposób bardziej racjonalny. Według prostej zasady: co chce osiągnąć

Ameryka, co chce osiągnąć Polska? Niestety, tak się nie stało.

Interes Ameryki

Mówi się, że Ameryka to mocarstwo tak potężne, że każda wizyta jej przywódcy jest ważna i jest wydarzeniem. Odwróćmy tę opinię – coś więc prezydenta tak potężnego państwa sprowadza na inny kontynent? Co ma dla niego takie znaczenie?

Odpowiedź jest prosta – wojna na Ukrainie. Jej rocznica. Stany Zjednoczone i Europa Zachodnia poparły napadniętą Ukrainę. Z różnych względów. Dla USA to obrona państwa, które żeglowało w stronę Zachodu. Nie zawsze tak się dzieje. Gruzji w roku 2008 Amerykanie nie bronili, Ukrainy w roku 2014 również. Ale teraz jest inaczej. Teraz Ameryka uznała, że Rosja za bardzo się rozpycha i że zwasalizowanie Ukrainy, krok po kroku idącej ku Zachodowi, to przekroczenie czerwonej linii. Amerykańscy politycy dojrzeliby też szansę na trwałe osłabienie Rosji, o czym mówił sekretarz obrony Lloyd Austin – że Rosja powinna wyjść z tej wojny tak słaba, by już nie mogła nikomu

Amerykańscy politycy dojrzeliby szansę na trwałe osłabienie Rosji.

zagrozić. Inni dodają, że bez Ukrainy Rosja zawsze będzie mocarstwem drugiej kategorii. Decyzja USA tłumaczona jest także nasilającą się rywalizacją z Chinami. W tej perspektywie osłabienie Rosji, sojusznika Pekinu, jest na rękę Ameryce.

I jeszcze jeden element – po roku 1989 Europa Zachodnia coraz mocniej się usamodzielniała, redukowała wydatki zbrojeniowe, za to coraz częściej podejmowała z USA rywalizację gospodarczą. Kolejni prezydenci nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić, wspaniale to pokazują obrażone miny Donalda Trumpa podczas spotkań z Angelą Merkel. I proszę, wystarczyło, że Putin ruszył na Kijów, a Europa wróciła pod skrzydła USA.

Mamy zatem interesy Ameryki, która wciąż chce być głównym mocarstwem świata. A gdy się chce być głównym mocarstwem świata, trzeba to udowodnić. Trzeba więc przekreślić ewakuację z Kabulu, zastąpić ją spacerem po Kijowie. To sygnał dla całego globu. A dla nas sygnałem niech będą piękne słowa Bidena, że trzeba zawsze stać po stronie napadniętych, że demokracja jest naszą siłą, że świat zachodni jest zjednoczony jak nigdy i się nie rozpadł, na co liczył Putin, i że „apetytu autokraty

nie da się zaspokoić, trzeba mu się przeciwstawić. Autokraci rozumieją tylko jedno słowo: »nie, nie i nie«.

Do tego ostrzeżenie dla Rosji – że gdy naruszy choćby najmniejszą część terytorium któregoś z członków NATO, spotka się ze zdecydowaną odpowiedzią całego Sojuszu.

Takie są ramy określające interesy Ameryki. I w tych ramach trzeba widzieć europejską eskapadę Joego Bidena.

Po pierwsze – Kijów

Jej clou, momentem absolutnie najmocniejszym, była wizyta w Kijowie. Spacer po ukraińskiej stolicy ramię w ramię z prezydentem Zełenskim, wspólne rozmowy. To była demonstracja siły, również siły armii ukraińskiej, znak, że Ameryka będzie pomagała Ukrainie, oraz symboliczny gest dla całego świata. To amerykański prezydent postawił nogę w Kijowie, a nie rosyjski.

Warszawa była dobrym dodatkiem do tej manifestacji. Tu Biden mógł wygłosić przemówienie, zarówno do Polaków, jak do świata. Ogłosić, że będzie stać za Ukrainą i że wojna może być długa. Że będzie od nas wymagała i jedności, i wysiłku, i finansowych wyrzeczeń,

Wystarczyło, że Putin ruszył na Kijów, a Europa znów wróciła pod skrzydła USA.

i poświęceń. Czyli – podporządkowania się Ameryce. Europa Zachodnia musi uznać Waszyngton za absolutnego lidera.

A Polska? Jest częścią Zachodu, państwem członkowskim NATO i Unii Europejskiej. Ale jest też państwem szczególnym – z racji położenia geograficznego hubem, przez który kierowana jest na Ukrainę pomoc. Każda pomoc. 90% transportów broni i uzbrojenia, które wysyła Zachód, przechodzi przez Polskę. Położone na wschodzie porty lotnicze, linie kolejowe, połączenia drogowe... Bez współpracy z Polską realna

pomoc dla walczących Ukraińców byłaby niemożliwa.

Polskie marzenia

Gdy więc Joe Biden mówi, że Polska jest ważna dla Ameryki tak samo jak Ameryka dla Polski, to choć przesadza i jest to raczej ukłon w stronę gospodarzy niż opis realnej sytuacji, tkwi w tym ziarno prawdy. Bo bez Polski bój o niezależność Kijowa byłby przegrany. To nasza karta przetargowa, której – niezależnie od tego, jak bardzo sami zaangażowani jesteśmy w pomoc Ukrainie – moglibyśmy użyć. Można byłoby wystawić za to Ameryce rachunek, załatwić parę istotnych dla Polski spraw.

Nie słyszałem, by coś podobnego miało miejsce. Zamiast rozmów o interesach, o pomocy Polsce w trudnej sytuacji mieliśmy ze strony rządzących koncert wierności sojuszniczej. Prezydent Duda przekonywał Bidena, by na polskiej ziemi stacjonowało więcej żołnierzy amerykańskich, chociaż i tak jest ich rekordowe 10 tys. Duda proponował też, by do Polski przeniesione zostały magazyny uzbrojenia NATO, które dzisiaj są w Niemczech. Przypuszczalnie zobowiązał się przy tym, że to my będziemy płacić za ich utrzymanie.

A współpraca przemysłów zbrojeniowych? O tym najwyraźniej nawet nie wspomniano. Oczywiście każdy wie, że polska zbrojeniówka to dziś byt bardziej symboliczny niż realny – sukces jednej haubicy przysłonić tego nie może.

Ale w obliczu miliardowych zakupów broni na amerykańskim rynku, gdy kupujemy w USA więcej niż Arabia Saudyjska, powinniśmy otrzymać dobre warunki. Nic z tych rzeczy!

Polska dodatkowo zapowiedziała, że w czasie prezydentury w Unii Europejskiej będzie pracować na rzecz jak najmocniejszych więzi między USA i UE. Co samo w sobie nie jest czymś złym, zwłaszcza w obecnej sytuacji, ale w ustach Andrzeja Dudy brzmi groźnie. Jako zapowiedź działań proamerykańskich, zmierzających do podporządkowania Unii Ameryce. Będziemy zatem świadkami ►

► nie dyscyplinowania proputinowskiego Orbána, ale strofowania Niemiec i Francji. Polacy zapowiedzieli też dalsze zakupy amerykańskiego uzbrojenia. Za dziesiątki miliardów dolarów. A także kolejne inicjatywy na rzecz budowania Trójomorza, czyli proamerykańskiej frakcji wewnątrz Europy. Czego więcej Bidenowi było trzeba?

Parada wielbicieli

Można odnieść wrażenie, że jedyną troską Joego Bidena w Warszawie było to, aby utrzymać równy

ucałować jego pierścień, dać pokaz uwielbienia i zrobić sobie pamiątkową fotografię.

Po śmierci papieża jego rolę przejęli prezydenci USA. Grzegorz Napieralski (był taki szef SLD) spotkanie liderów polskich partii z Barackiem Obamą poświęcił na robienie sobie pamiątkowych selfie. Ale w porównaniu z czasami obecnymi były to tylko nieśmiałe gesty. Andrzeja Dudę spotkania z prezydentem USA wprawiają w stan ekscytacji. Było to widoczne zwłaszcza podczas spotkań z Donaldem Trumpem, który, nawiasem mówiąc, w tej

bliskie PO informowały więc, że trwają przygotowania do spotkania Bidena z Tuskiem, z Trzaskowskim, z Grodzkim... Liczono, że będzie to sygnał, iż Ameryka, która tak wiele mówi o praworządności, opowie się po stronie opozycji w polskim sporze. Zwłaszcza że PiS stawiało zawsze na Trumpa, nie mogło się pogodzić z jego wyborczą porażką, a pisowscy politycy i publicyści wyśmiewali Bidena w kremlofskim stylu, nazywając go przysypiającym staruszką.

Ale Joe Biden był ponad polskie spory. Trzymał się Dudy, co protokolarnie miało sens, ale przecież nie politycznie – bo prezydent w Polsce rządem nie kieruje. Gdyby Biden chciał rozmawiać o sprawach konkretnych, musiałby poświęcić czas na spotkania z premierem lub Jarosławem Kaczyńskim. Tymczasem z Morawieckim krótko rozmawiał na Zamku Królewskim i – jak czytamy w oficjalnym komunikacie – „tematem rozmów były m.in. kwestie gospodarcze, w tym sprawy bezpieczeństwa energetycznego oraz rozwoju energetyki jądrowej w Polsce”. Czyli zakupy amerykańskiego gazu i budowa (przez amerykański koncern Westinghouse) pierwszej elektrowni jądrowej w Polsce, która kosztować nas będzie ok. 40 mld zł. Ech, jeśli były to rozmowy gospodarcze – to bardzo jednostronne. A ten, od którego zależy w Polsce najwięcej, czyli Kaczyński? Z nim Biden nie zamienił ani słowa. Z czego wniosek można wyciągnąć prosty – bo nie chciał. Z liderami opozycji spotkał się z kolei na kilkunastosekundowej (tak twierdził z satysfakcją Ryszard Terlecki) wymianie grzeczności. Choć oni twierdzili, że trwało to dłużej...

To także był wyraźny sygnał – Biden miał swój program wizyty, cel, którym było budowanie poparcia dla wojny na Ukrainie. Przyjechał do Polski to realizować i jest zdecydowany konsekwentnie to robić w kolejnych miesiącach, a może i latach – czy to z PiS, czy z PO. A inne sprawy nie istnieją.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Załadunek transportu uzbrojenia dla Ukrainy w bazie sił powietrznych USA w Dover.

dystans wobec pchających się do niego polskich polityków. Ta potrzeba namaszczenia to fenomen polskiej polityki. W czasach PRL do pewnego momentu takie znaczenie miały przyjęcia z okazji rocznicy rewolucji październikowej organizowane w ambasadzie ZSRR. Kto tam był, ten był ważny. W III RP osobą, z którą należało się pokazać i złożyć jej hołd, był Jan Paweł II. Najważniejsi składali mu wizyty w Watykanie, a dziennikarze szczegółowo je relacjonowali. W Polsce, podczas pielgrzymek, politycy stali w kolejce, by

dziedzinie polskich polityków nie rozpieszczę. Mielśmy miłość bez wzajemności.

A teraz przyszedł czas Joego Bidena. Stanął on przed trudną próbą. I poradził sobie znakomicie.

Przypomnijmy – jakież były wobec niego oczekiwania! PiS chciało grać się w blasku prezydenckiego majestatu, żeby móc pokazywać Polakom, że właśnie ono jest przez Amerykę popierane i potrafi zapewnić najlepsze z nią stosunki. Opozycja, szczególnie Platforma, liczyła na coś podobnego. Media

Po co Polska Ameryce?

Polscy politycy nie zawsze potrafią zrozumieć, że jak przyjeżdża do nas amerykański prezydent, to ma w tym jakiś cel

Robert Walenciak

Polska ma z wizytami prezydentów USA pewien kłopot. A raczej ten kłopot mają polscy politycy. Bo nie zawsze potrafią zrozumieć, że jak przyjeżdża do nas amerykański prezydent, to ma w tym jakiś cel, że nie jest to dobry wujek z Ameryki.

Jeśli chodzi o Amerykę, zawsze jest to gra – przeważnie z Rosją, by ją osłabić – albo, jak w roku 1989, uspokoić. George'owi W. Bushowi Polska była potrzebna, by wzmocnić legitymację interwencji w Afganistanie i Iraku. Trumpowi, by rozbić od środka Unię Europejską.

Pierwsze wizyty amerykańskich prezydentów w Polsce miały miejsce w czasach Edwarda Gierka. Ich cel był dość prosty – chodziło o osłabianie „socjalistycznej jedności”, o to, by wspomagać emancypacyjne dążenia państw wybijających się na niezależność, a za takie uważano Polskę. Taka idea przyświecała pierwszej, historycznej wizycie Richarda Nixona w 1972 r.

Edward Gierek bardzo o nią zabiegał. Liczył na linie kredytowe, rozwój kontaktów gospodarczych, ułatwienia dla Polski w zachodnim świecie i dobry dla siebie PR. Dla Ameryki to były drobnostki. Trzy lata później był w Polsce prezydent Gerald Ford i towarzyszyło mu podobne przesłanie. Grano więc do dwóch bramek – Amerykanie

wsadzali nogę w drzwi, znajdowali pole do gry wewnątrz imperium, Gierek z kolei mógł błyszczeć – i w Europie, i w Polsce, bo nimb Ameryki był wtedy jeszcze mocniejszy niż dziś.

Wizyta Jimmy'ego Cartera (1977) była kontynuacją działań poprzedników. Ale odbywała się w nieco innych okolicznościach – już po podpisaniu Aktu końcowego KBWE. I w czasach, gdy w Polsce zaczęła działać nielegalna opozycja.

Natomiast wielka polityka gościła u nas w lipcu 1989 r., kiedy na trzy dni przyjechał do Polski George H.W. Bush. Było to już po czerwcowych wyborach, ale jeszcze przed wyborami prezydenckimi (wówczas prezydenta wybierać miały połączone izby Sejmu i Senatu). I w czasie politycznego kryzysu, bo Wojciech Jaruzelski był zdecydowany z kandydowania zrezygnować. W tak napiętą sytuację wkroczył George Bush (ojciec).

Amerykański prezydent doskonale wiedział, że jest to epokowa gra. Że Michaił Gorbaczow wycofuje się z Europy Środkowej, że reformuje ZSRR i ma przeciwko sobie bardzo wpływowe grupy – w KPZR, w armii, w KGB. I każde wahnięcie sytuacji w Polsce może działania Gorbaczowa (oraz jego samego) wywrócić. To było stąpanie po kruchym lodzie. Bush namawiał więc Jaruzelskiego, opisuje to zresztą w pamiętnikach, by jednak kandydował na prezydenta. Bo jest gwarancją, że zmiany w Polsce będą

**OSTATNIE DNI
PROMOCJI!**

**KUP ROCZNĄ
E-PRENUMERATĘ
PRZEGLĄDU,
NIM SKOŃCZY SIĘ
OFERTA!**

**TERAZ TYLKO 100 zł
ZA ROK CZYTANIA**

- Przy zakupie e-book „Modzelewski. Buntownik” **GRATIS**
- Szybciej i taniej niż w wersji papierowej
- Co sobota nowe e-wydanie dostępne na stronie internetowej

**Pamiętaj o bliskich
i kliknij opcję KUP NA PREZENT**



Kup w promocji
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**

Oferta ważna do 3.03.2023 r.

► przebiegać płynnie, bezpiecznie. Że nie wprowadzą twardogłowych na Kremlu w stan hysterii.

Bush odwiedził też Polskę trzy lata później, w roku 1992. Sytuacja była już inna. ZSRR nie istniał, ale rosyjscy żołnierze nadal stacjonowali w Polsce. Bush namawiał zatem polskich liderów do ostrożnego działania. „Zimna wojna się skończyła”, ogłosił przed Zamkiem Królewskim. Ale koncepcję, by Polska stała się członkiem NATO, pominął. To jeszcze nie był ten moment.

Pierwsze wizyty amerykańskich prezydentów w Polsce miały miejsce w czasach Edwarda Gierka. Chodziło o to, by wspomagać emancypacyjne dążenia państw wybijających się na niezależność, a za takie uważano Polskę.

„Ten moment” nastąpił dwa lata później, podczas wizyty Billa Clintona, który ogłosił w Warszawie, że nastąpi rozszerzenie NATO. Kiedy? O kogo? Odpowiedzi na te pytania jeszcze wisiały w powietrzu. Jeszcze na ten temat w Waszyngtonie dyskutowano. Na razie proponowano program „Partnerstwo dla pokoju”. Ale już trzy lata później Clinton mógł zawołać na placu Zamkowym: „Witam was, Czechów i Węgrów jako przyszłych członków NATO i sojuszników USA!”.

George W. Bush (syn) nasz kraj odwiedził trzykrotnie. Najważniejsza była wizyta numer dwa. To był rok 2003 i zarówno USA, jak i Polska znajdowały się w ważnych momentach swojej historii. USA prowadziły działania „stabilizacyjne” w Iraku i w Afganistanie i zabiegały o poparcie, jak również o udział polskich żołnierzy. My kończyliśmy starania o wejście do Unii Europejskiej. Współpraca z USA wzmacniała więc w tamtym czasie pozycję Polski. Była też ważna dla Busha, który chciał wielkiej zachodniej koalicji – co wyszło mu częściowo – a nie samotnego szamotania się w Iraku i Afganistanie.

Barack Obama w pierwszych latach prezydentury omijał Polskę. Wiązało się to i z tym, że nasz region stawał się coraz bardziej obliczalny

i drugorzędny w amerykańskiej polityce. Niepotrzebne były tu nadzwyczajne działania. Obama był poza tym niechętny polskim propozycjom, by Ameryka zbudowała w naszym kraju tarczę antyrakietową i tworzyła bazy wojsk amerykańskich. Był to bowiem czas amerykańskiego resetu w relacjach z Moskwą.

Krótki czas. Bo gdy doszło do drugiej wizyty w Polsce (pierwsza miała mniejsze znaczenie), w roku 2014, w 25. rocznicę czerwcowych wyborów, reset był już przeszłością. Na

Ukrainie odsunięto od władzy Wiktor Janukowycza, Rosja zaatakowała Krym i Donbas. Obama wygłosił mocne przemówienie o sile demokracji. Spotkał się też z przywódcami 17 państw Europy Środkowej i Wschodniej oraz ówczesnym prezydentem elektem Ukrainy Petrem Poroszenką. A Polsce zapowiedział zwiększenie sił amerykańskich, w ramach rotacyjnej obecności.

Bush namawiał Jaruzelskiego, by kandydował na prezydenta. Bo jest gwarancją, że zmiany w Polsce będą przebiegać płynnie, bezpiecznie.

Dwa lata później Obama był w Warszawie na szczycie NATO. To wówczas ogłoszono program stałego wzmocnienia wschodniej flanki Sojuszu. NATO miało być silne i gotowe do działania. Dzień przed obradami Obama rozmawiał z Andrzejem Dudą. To wtedy padły ważne słowa: „Naród polski i nasi sojusznicy w regionie mogą pozostać spokojni, że NATO stanie przy was, ramię w ramię, niezależnie od wszystkiego, dziś i zawsze”.

Donald Trump odwiedził Polskę tylko raz, w roku 2017, pamiętamy go z przemowy pod pomnikiem Powstania Warszawskiego. A także z prób wciągnięcia Polski do

rozgrywki z Unią Europejską. Trump grał na rozbiście Unii, na zmuszenie państw europejskich do zwiększenia wydatków na zbrojenia i do kupowania amerykańskiej broni. Polska była w tych grach jego sojusznikiem, po to była mu potrzebna. Ale to był sojusz w jedną stronę. Ku wielkiemu rozczarowaniu prawicy prezydent USA skutecznie unikał odpowiedzi na pytania o budowę stałej bazy wojsk amerykańskich, którą Andrzej Duda zdążył już podczas wizyty w Waszyngtonie ochrzcić mianem Fort Trump. Ameryce na bazie nie zależało, Trump zresztą podważał art. 5 Traktatu północnoatlantyckiego, zobowiązujący państwa Sojuszu do kolektywnej obrony, sprawa bazy została zatem odłożona.

Sytuacja zmieniła się po 24 lutego 2022 r. Można powiedzieć, że w jeden dzień zmieniła się pozycja Warszawy w oczach Białego Domu. Polska z kraju, w którym łamana jest praworządność i który popiera Trumpa i trumpizm, przekształciła się w ważnego sojusznika. W marcu 2022 r. Joe Biden przyleciał więc do Rzeszowa, gdzie spotkał się ze stacjonującymi amerykańskimi żołnierzami. Potem w Warszawie przemawiał na dziedzińcu Zamku Królewskiego. Mówił o wojnie na Ukrainie, dziękował

Polakom za pomoc uchodźcom i zapewnił, że Polska może liczyć na gwarancje bezpieczeństwa NATO. „Mamy święty obowiązek w ramach art. 5 bronić każdego członka NATO, każdej piędy terytorium NATO siłą naszej kolektywnej obrony”, podkreślał. Innymi słowy – zachęcał do pomocy Ukrainie i jednocześnie zapewniał, że nic za to nie grozi, że Polska może czuć się bezpieczna.

Teraz, podczas ubiegłotygodniowej wizyty, poszedł jeszcze dalej, przesunął czerwone linie.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Z Galicji



Jan Widacki

Biden w Warszawie

Najpierw cytata: „Pedofilia staje się normą na Zachodzie, zatwierdza się małżeństwa osób tej samej płci. Musimy chronić nasze dzieci przed degradacją i degeneracją”. Kto to powiedział? Władimir Władimirowicz Putin 21 lutego 2023 r. w Moskwie. Równie dobrze mógł to powiedzieć Jarosław Kaczyński na spotkaniu z aktywnym PiS w jakimś powiatowym mieście.

W ostatnim tygodniu świat usłyszał dwugłos. Przemówienie, a właściwie dwugodzinny wykład Putina i dzień później przemówienie Bidena w Warszawie. Dwa światy, dwie filozofie, dwa światopoglądy. Putin straszył swoich obywateli Zachodem. Widział w nim źródło zepsucia grożącego zdrowej tkance rosyjskiego narodu demoralizacją i utratą wszystkich tych wartości, których teraz na ukraińskiej ziemi (choć dość nieudolnie) broni rzekomo armia rosyjska.

Joe Biden mówił o wolności i wolnym świecie. O konieczności obrony wolności. A wolność to po angielsku *liberty*, po francusku *liberté*, po łacinie *libertas*, co warto przypomnieć, bo stąd wywodzi się słowo liberalizm. O wolności (i liberalizmie) mówił w Warszawie prezydent Stanów Zjednoczonych, amerykański demokrat, czyli z prawicowego punktu widzenia lewak.

Putin kreuje się zatem na obrońcę tradycyjnych wartości. Tępiąc w Rosji (a jak widać, chętnie też poza jej granicami) wszelkie lewactwo i liberalizm, chce owe tradycyjne wartości przywrócić w Europie. Swego czasu prorok Wielkiej Rusi Fiodor Dostojewski wieszczył: „Europa zapuka do nas, gdy rozpadnie się jej ład”. W Europie, ściślej w Unii (bo jeszcze jest Rosja i Białoruś), ogarniętej lewactwem i liberalizmem, najwyraźniej rozpada się tradycyjny ład. Wszyscy chcą wolności! Kobiety chcą równych praw, mało tego, mniejszości seksualne i wszelkie inne mniejszości także domagają się swoich praw. W tej Unii źle się dzieje, zepsucie i demoralizacja z niej się rozlewają! Powiedział to teraz wyraźnie Putin, a Kaczyński i jego PiS mówią to już od dawna! Nie wiem, może ktoś zadał już sobie trud i zestawiał poglądy Kaczyńskiego i Putina na Unię Europejską, na gender, LGBT, na tradycyjny model rodziny, na „tradycyjne wartości”. Jeśli takie porównanie

jeszcze nie powstało, trzeba to szybko nadrobić! Bardzo by było pouczające.

Nie miał powodu do zadowolenia Jarosław Kaczyński i nic dziwnego, że nie ukrywał frustracji. Nie dość, że Biden w Warszawie oprócz tych, z którymi spotkać się musiał, a więc z prezydentem Dudą i premierem Morawieckim, spotkał się jeszcze z Tuskiem, Trzaskowskim i Grodzkim, a nie spotkał z nim, to na dodatek mówił o wolności. Problem Kaczyńskiego polega na tym, że z tych dwóch przemówień prezydentów ideologicznie bliższe mu było wystąpienie Putina, a politycznie... no, niestety, Bidena. Pełne rozdwojenie jaźni. Jak tu pogodzić antyrosyjskość z taką zgodnością z Putinem w poglądach na świat? No, musiał

Problem Kaczyńskiego polega na tym, że z dwóch przemówień prezydentów ideologicznie bliższe mu było to Putina, a politycznie Bidena.

chłop przeżywać silną frustrację. Nic więc dziwnego, że zapytany, co sądzi o przemówieniu Bidena, mruknął tylko niezadowolony: „Nic nie powiedział”.

Wizyta Bidena była również okazją do zaprezentowania się dla naszego prezydenta. Mógł zademonstrować cały zestaw swoich min, od miny mędrca po minę herosa. Wykorzystał szansę! Pokazał wszystkie! Jak swego czasu ociągał się z wystąpieniem Bidenowi gratulacji, gdy ten został wybrany na prezydenta Stanów Zjednoczonych, tak teraz, łamiąc protokół, wystąpił w charakterze suportu przed jego wystąpieniem. Zamiast pojawić się razem z prezydentem USA, wszak był gospodarzem, pojawił się sam wcześniej i przemawiał (demonstrując cały zestaw min), zabawiając publiczność pod nieobecność amerykańskiego gościa. A jakby tego jeszcze było mało, przed naszym prezydentem przemawiał ambasador Mark Brzezinski, tak jakby to on był tu gospodarzem. No, coś w tym może jest, ale żeby tak otwarcie to pokazywać?

Czy ta uniżoność wynikała z natury naszego prezydenta, wszak pamiętamy, jak kucał przy rozpartym za biurkiem Trumpie, czy z braku fachowości naszego protokołu dyplomatycznego? A może te dwa czynniki się zbiegły?

Lodziarnia na Chmielnej

Firmy z kapitałem 5 tys. zł dostawały wielomilionowe granty z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju

Marek Czarkowski

Ujawniona przez Radio ZET na początku lutego informacja, że 26-letni barman Kacper Wiśniewski, właściciel spółki Postquant z kapitałem 5 tys. zł, otrzymał w konkursie zorganizowanym przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju rekordową dotację bezzwrotną w wysokości 55 mln zł, dała efekt granatu wrzuconego do szamba. Media sugerowały, że to kolejna odmiana Czarnkowego programu Willa+, czyli pisowska rodzina na swoim. Sprawą zajęli się posłowie Dariusz Joński i Michał Szczerba, którzy wkroczyli do NCBiR z kontrolą. W trakcie zorganizowanej w Sejmie konferencji prasowej posłowie Koalicji Obywatelskiej mówili o nieprawidłowościach, lecz zbyt wielu konkretnych nie przedstawili, gdyż centrum odmówiło im wglądu w szczegóły wniosku spółki Postquant. Rzecz jasna – zgodnie z prawem.

Poznańska spółka Papukurier, świadcząca usługi dostawy potraw, otrzymała grant w wysokości ponad 3,8 mln zł.

Tu warto dodać, że Wiśniewski zarejestrował firmę w październiku ub.r., zaledwie 10 dni przed terminem składania wniosków w konkursie. A dostał te 55 mln zł, proponując monitoring ciągłości dostaw za pomocą czujników lokalizacyjnych. Czyli taki system, jaki ma dzisiaj każda firma logistyczna. Trudno tu mówić o jakiegokolwiek innowacji.

Szerzące się niczym pożar w stepie plotki, podejrzenia i supozycje na temat monstrialnego „kręcenia lodów” w NCBiR wywołały reakcję ze strony kierownictwa tej instytucji, mieszczącej się obecnie przy ulicy Chmielnej 69 w Warszawie. 8 lutego

p.o. dyrektor centrum dr Paweł Kuch skierował do stołecznej prokuratury okręgowej zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa dotyczącego potencjalnych nieprawidłowości w procesie wyboru firm, które otrzymały dofinansowanie projektów w ramach konkursu Szybka ścieżka – Innowacje cyfrowe (1/1.1.1/2022).

Nie uchroniło go to bynajmniej przed utratą funkcji. W poszukiwaniu czegokolwiek na dr. Kucha media wyciągnęły mu autorstwo „zahaczającej o pornografię” książki, która nie zyskała aprobaty kierownictwa z Nowogrodzkiej. Zapomniano, że niegdyś za „Dzieje grzechu” Żeromskiego nazwano pornografem, a dziś stawia się mu pomniki.

Na stanowisku p.o. dyrektora zastąpił dr. Kucha dr Jacek Orzeł. Ale już wkrótce może zostać zastąpiony przez dr. hab. Jakuba Pawlikowskiego, który właśnie wygrał konkurs na dyrektora centrum. To wybitna

postać. Stopień doktora nauk medycznych uzyskał w 2008 r., broniąc na Wydziale Pielęgniarstwa i Nauk o Zdrowiu Uniwersytetu Medycznego w Lublinie pracę zatytułowaną „Religijność jako czynnik modulujący postawy i decyzje zawodowe lekarzy”. W 2016 r. zaś na Wydziale Prawa, Prawa Kanonicznego i Administracji KUL uzyskał stopień doktora nauk prawnych za rozprawę „Prawo do sprzeciwu sumienia pracowników ochrony zdrowia”.

Ciąg niefortunnnych zdarzeń na Chmielnej zmusił do działania ministra funduszy i polityki regionalnej Grzegorza Pude. Jako organ

nadzorujący NCBiR wysłał on kontrolę, która miała sprawdzić prawidłowość przeprowadzenia podejrzanego konkursu. Na koniec, 22 lutego, do akcji wkroczyli działający pod nadzorem prokuratury funkcjonariusze CBA i rozpoczęli własną lustrację tej instytucji. W komunikacie opublikowanym na stronie internetowej NCBiR dyrekcja centrum zagwarantowała pełną współpracę z CBA. Ze względu na dobro postępowania NCBiR nie udziela obecnie więcej informacji.

Szybka ścieżka czy szybki szmal?

W tym zamieszaniu nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że konkurs Szybka ścieżka – Innowacje cyfrowe (1/1.1.1/2022) został zorganizowany w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój 2014-2020. Czyli jakieś dwa lata po terminie. Co oznacza, że chciano szybko wydać pieniądze, które zostały z poprzedniej perspektywy. Przy czym 800 mln zł, którymi we wspomnianym konkursie dysponowało NCBiR, nie było kwotą imponującą. W kwietniu 2020 r., organizując ówczesną Szybką ścieżkę, centrum rozdzieliło 1,7 mld zł. Warto się przyjrzeć, na co poszły bezzwrotne unijne dotacje.

Przeglądając listy rankingowe, zauważyłem, że przez wszystkie przypadki odmieniano na nich terminy sztuczna inteligencja oraz uczenie maszynowe. W poprzednich latach na topie były nanotechnologie, biotechnologie i grafen. Użycie owych magicznych słów znacząco zwiększało szansę na kilkumilionową dotację. Zwłaszcza gdy chodziło o tak wątpliwą jakością materiały jak nanobeton, który miał być przyszłością polskiego budownictwa, a stał się przedmiotem dociekań prokuratury.

Na pierwszy ogień poszła spółka Evrideo Poland, której na realizację projektu „Innowacyjna aplikacja zmieniająca podejście do szyfrowania poufnych danych” NCBiR przyznało dotację w wysokości ponad 4,5 mln zł. I wszystko byłoby super, gdyby nie drobiazg. Pod numerem KRS 0000893985 znalazłem nie Evrideo, ale spółkę Mysterium z kapitałem założycielskim 5 tys. zł. Jej akcjonariuszami są panowie Aharon Moshiasvili oraz Roby Ran. Później dowiedziałem się, że Evrideo Poland zmieniła nazwę na lepiej brzmiącą

wybrać jedną z bajek (na stronie internetowej są tylko dwie – „Ocean jak ze snu” oraz „Gwiazdkowa przygoda”), następnie zrobić zdjęcie swojej pociechy i przesać je do firmy. Po dwóch dniach otrzymujemy podgląd przykładowych stron książki, a po 10 dniach „Twoja spersonalizowana książka dotrze pod wskazany przez Ciebie adres, a Ty będziesz mógł podarować swojemu dziecku niezwykłą przygodę, w której to ono jest głównym bohaterem!”. Czyli nasza pociecha zostanie wykorzystana do ilustracji książki.

dla mnie tajemnicą. Nie wspominając o „sztucznej inteligencji zwierzęcych towarzyszy”.

Podobnie było w przypadku spółki Spellarena, zasilonej w tym samym konkursie kwotą ponad 4,5 mln zł na realizację projektu „Opracowanie i wdrożenie na rynek innowacyjnej w skali świata technologii do automatycznego generowania treści tekstowej i wizualnej przy użyciu sztucznej inteligencji na cele gier RPG »przy stole« lub online”. Pytania wysłane do prezesa zarządu spółki pozostały bez odpowiedzi. Rozu-

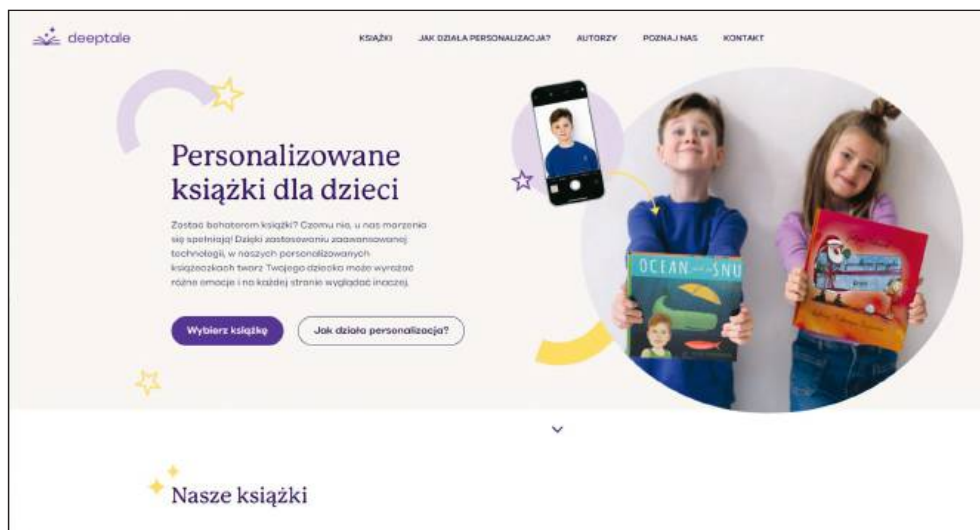
miem, wszak pracują tam nad „innowacyjną w skali świata technologią”.

Jeszcze wyższą dotację – ponad 6,7 mln zł – przeznaczyło NCBiR na realizację projektu „SMOOTH.AI – inteligentne narzędzie automatyzujące etapy przygotowania zdjęć do budowania modeli uczenia maszynowego wykorzystywanych w procesach przemysłowych” autorstwa spółki Geosolution. Reakcja na wystawne pytania? Pełne milczenie. Postanowiłem sprawdzić, co kryje się za pojęciem SMOOTH.AI. Szybko trafiłem na stronę internetową

o tej nazwie i dowiedziałem się, że jest to narzędzie informatyczne wykorzystujące sztuczną inteligencję. Wystarczy wpisać na stronie swój adres e-mail, by uzyskać dostęp do bezpłatnej wersji zapoznawczej. Nie była to jednak, jak sądzę, strona spółki Geosolution.

Sztuczna inteligencja nie pomoże sędziemu

Im bardziej się cofałem, tym ciekawsze projekty udawało mi się znaleźć. W roku 2021 poznańska spółka Papukurier, świadcząca usługi dostawy potraw, otrzymała grant w wysokości ponad 3,8 mln zł na projekt „Opracowanie systemu PAPU.IO 2.0. pozwalającego na inteligentne, zautomatyzowane zarządzanie procesami przyjmowania zamówień, przygotowania i dowozu potraw oferowanych w modelu »na wynos«”.



Spółka Deeptale.ai dostała 4,2 mln zł na spersonalizowane bajki dla dzieci.

– Mysterium. Mimo że firma działa w branży informatycznej, nie ma strony internetowej. Nie udało mi się też poznać jej numeru telefonu ani adresu poczty elektronicznej. Wierzę, że wszystko jest w porządku, a „aplikacja zmieniająca podejście do szyfrowania poufnych danych” powstanie i zmieni nasze podejście.

Cztery bańki na bajkę dla dzieci

Za to wrocławska spółka Deeptale.ai, której NCBiR w ostawionym konkursie przyznało dotację w kwocie ponad 4,2 mln zł na realizację projektu „Rozwój innowacyjnej platformy do automatycznej generacji spersonalizowanych książek opartych na uczeniu maszynowym”, ma stronę internetową: deeptale.ai. I tłumaczy na niej, na czym polega „proces personalizacji książek”. Należy

W sieci wprost roi się od firm oferujących spersonalizowane kalendarze, kubki, albumy i inne gadżety. Tym bardziej należy docenić innowacyjny charakter dokonania spółki Deeptale.ai, która chce rozwijać swoją ofertę, opierając się na uczeniu maszynowym. Na pytania, czy NCBiR podpisało już umowę na realizację projektu i czy prace ruszyły, do chwili oddania artykułu do druku nie otrzymałem odpowiedzi.

Mój szczerzy podziw wzbudziła spółka 4Gate, z kapitałem założycielskim 5 tys. zł, która za grant z NCBiR w wysokości niemal 4,5 mln zł podjęła się realizacji projektu „Opracowanie narzędzia »Chowaniec« do tworzenia i zarządzania sztuczną inteligencją zwierzęcych towarzyszy w grach komputerowych”. Próby kontaktu z tą firmą spęłżyły na niczym i narzędzie „Chowaniec” pozostało

► Z kolei spółka Fashion Unbundled za ponad 3,2 mln zł miała zrealizować projekt „Wieloagentowy system wspomagający proces wyboru, zakupu i wirtualnego przymierzania ubrań bazujący na fotorealistycznych wizualizacjach”. Zerknąłem na ich stronę internetową. Angielski napis głosił: „Wkrótce zamierzamy zakłócić przemysł modowy”. Trzymajmy za nich kciuki. Zamierzają podbić świat z kapitałem założycielskim 5 tys. zł i przeszło trzymilionową dotacją.

Zarejestrowana w Dobryszycach, pow. radomskiego, spółka Enoik – o kapitale założycielskim również 5 tys. zł – to start-up, który otrzymał z NCBiR nieco ponad 6,4 mln na realizację projektu „System wspomagający rozwiązywanie sporów prawnych poddanych pod rozstrzygnięcie elektronicznego sądu arbitrażowego, z wykorzystaniem algorytmów sztucznej inteligencji”. Przy czym celem finalnym jest tylko przeprowadzenie prac badawczo-rozwojowych, przedwdrożeniowych, pozwalających na opracowanie gotowego do komercjalizacji i wdrożenia systemu. Kto wie, być może, jeśli w przyszłości projekt ten zostanie rozbudowany, finansowana przez Unię sztuczna inteligencja będzie wspierała sędziów Schaba,

Piotrowicza, Świączkowskiego, Pawłowicz i Przyłębską.

Długo można wyliczać podobne przykłady. Warto jednak wyjaśnić kilka bulwersujących z pozoru spraw.

Wszystko zgodnie z prawem

Prawo unijne nie zabrania uczestnictwa w konkursach grantowych podmiotom gospodarczym z krótką historią i minimalnym kapitałem założycielskim. Nawet jeśli dotacje bezzwrotne sięgają grubych milionów złotych. O środki unijne mogą też się ubiegać spółki zakładane przez osoby spokrewnione lub powinowaczone. Absolutnie zgodna z prawem jest sytuacja, w której mąż jest prezesem

26-letni barman Kacper Wiśniewski, właściciel spółki Postquant, otrzymał dotację bezzwrotną w wysokości 55 mln zł.

spółki Miś, a małżonka zasiada w radzie nadzorczej, w spółce Zdziś małżonka jest prezesem, a mąż trafia do rady, w kolejnych zaś podmiotach gospodarczych rotują synowie, córki, kuzyni i szwagrowie. Jeśli na 20 projektów złożonych przez takie rodzinne grupy spółek do różnych instytucji zajmujących się dzieleniem środków unijnych choć pięć uzyska

dotacje w kwotach 4-7 mln zł, to familia będzie miała od 20 do ponad 30 mln zł. Jest więc po co się schylić.

Jest to zgodne z prawem, czyli bezpieczne. Pies z kulawą nogą nie zwróci uwagi na skromne, kilkumilionowe dotacje. To nie 55 mln zł dla jakiegoś barmana z Trójmiasta, które przyciągają uwagę niczym latarnia morska na Helu. Poziom bezpieczeństwa jest tym większy, że Polska Agencja Rozwoju Przedsiębiorczości, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, Centrum Projektów Polska Cyfrowa i inne instytucje zajmujące się alokacją środków unijnych nie mają obowiązku udzielania informacji na temat realizowanych, a nawet dawno już zakończonych projektów.

Na straży tajemnicy stoi bogate orzecznictwo Naczelnego Sądu Administracyjnego. Przekonali się już o tym postawie Joński i Szczerba. W Polsce od 2003 r. działa pełnomocnik rządu ds. zwalczania nieprawidłowości finansowych na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej lub Unii Europejskiej, który raportował do Brukseli o wykrytych nieprawidłowościach. 19 września 2022 r. funkcja ta została zniesiona na mocy rozporządzenia Rady Ministrów.

Obecnie proces raportowania nieprawidłowości realizowany jest z wykorzystaniem elektronicznego systemu zarządzania nieprawidłowościami (IMS) administrowanego przez Komisję Europejską. Na poziomie krajowym za stwierdzenie i zgłoszenie nieprawidłowości odpowiedzialna jest każdorazowo właściwa instytucja systemu wdrażania i kontroli środków pochodzących z UE, posiadająca dostęp do systemu IMS. Zgłoszenia przekazywane są do Europejskiego Urzędu ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych (OLAF) w odstępach kwartalnych. Pytanie, czy Narodowe Centrum Badań i Rozwoju doniesie teraz na siebie w związku z ostatnim konkursem, ma charakter retoryczny.

Marek Czarkowski

Pomóż swoim mediom!



**STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ**



prosi o wsparcie i pomoc dla naszych seniorów.

Aby wesprzeć działalność naszej organizacji poprzez przekazanie na konto SDRP 1,5% podatku dochodowego - należy wpisać w PIT-36 lub PIT-37 w sekcji „wniosek o przekazanie 1,5% podatku na rzecz Organizacji Pożytku Publicznego” następujące dane:

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Zarząd Główny - NR KRS: 0000043110

Za każdy gest dobrej woli serdecznie dziękujemy.

Polska dwóch prędkości

Ponad 14 mln Polaków nie ma dostępu do transportu publicznego

Rozmawia Kornel Wawrzyniak

Jaka jest skala wykluczenia komunikacyjnego w Polsce?

– Według danych Klubu Jagiellońskiego już kilka lat temu ok. 14 mln Polaków nie miało dostępu do transportu publicznego. Danych za ten rok nie ma, ponieważ Ministerstwo Infrastruktury tego nie mierzy. A przecież, tak na zdrowy rozum, żeby rozwiązać jakiś problem, należy go najpierw zbadać. Parę lat temu premier Morawiecki powołał specjalnego rzecznika ds. przeciwdziałania wykluczeniu komunikacyjnemu, więc tutaj pewna lekcja została przez PiS odrobiona. Ale nie poszło za tym wiele działań.

Od czego należałoby zacząć?

– Odnaleźć tzw. białe plamy, czyli miejsca, gdzie nic nie dojeżdża. Następnie uzupełnić je zarówno na poziomie lokalnym, jak i krajowym. Obecna propozycja Prawa i Sprawiedliwości jest zaś taka – ustanowiło Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych, zwany też PKS+, a samorządy mają wnioskować o pieniądze. PiS ma czyste ręce, bo przecież daje pieniądze. W praktyce część samorządów nawet nie wie, że może się starać o takie środki.

Ponad cztery lata temu prezes Kaczyński obiecywał zlikwidowanie problemu komunikacyjnego. Premier Morawiecki poszedł wtedy o krok dalej i zapowiadał, że problem zniknie jeszcze w tym samym roku.

Ile mamy z tych obietnic?

– Nie jest tak różowo, jak zapowiadało PiS. Do bankructwa transportu publicznego nie prowadzą jedynie rzady liberałów. Weźmy ostatnie upadki PKS Radom czy PKS Wałcz. Funkcjonujące podmioty zniknęły z lokalnej mapy. Trzeba jednak przyznać, że coś się dzieje. Coraz lepiej funkcjonuje wspomniany już fundusz PKS+. Aczkolwiek nie jest to rozwiązanie, które uzdrowi system transportowy.



PAULINA MATYSIAK

– posłanka partii Razem, z klubu poselskiego Lewicy, przewodnicząca Parlamentarnemu Zespołowi ds. Walki z Wykluczeniem Transportowym.

To raczej taki plasterzek na urwaną nogę. Cały czas trzymamy się błędnego podejścia, że jak ktoś będzie chciał, np. wójt, starosta, uruchomić połączenia na swoim terenie, to złoży wniosek i najpewniej dostanie te pieniądze. Natomiast jak ktoś nie będzie widział takiej potrzeby, to wniosku nie złoży i połączeń nie będzie. W ten sposób mamy Polskę dwóch prędkości i nierównych standardów, a tracą na tym mieszkańcy – potencjalni pasażerowie, którzy przecież muszą dojeżdżać w różne miejsca.

Czyli to była pusta gadanina?

– To wszystko wynika z ustawienia priorytetów. Diagnoza PiS była trafna – mamy wykluczenie komunikacyjne, ale ostatecznie transport publiczny nie trafił na listę priorytetów. Weźmy planowane wydatki Ministerstwa Infrastruktury: 130 mld zł na drogi i 13 mld zł na kolej. To myślenie ma jednak długą tradycję – od początku transformacji zbudowano zaledwie

50 km nowych torów. Dróg w tym czasie powstało ponad 2000 km. To samo tłumaczy, gdzie władza widzi priorytety.

Przecinanie wstęgi przy nowej obwodnicy jest bardziej medialne.

– Fakt, transport publiczny to temat niezbyt chwytliwy. Często wymaga dużej wiedzy o całej sieci komunikacyjnej albo jest osadzony w kontekście lokalnym. A to nie jest dla mediów interesujące. Inaczej było z ostatnią podwyżką cen biletów w PKP Intercity, która tak biła po oczach, że kwestia przebiła się do opinii publicznej. Najpewniej jednak zrobiło się głośno, bo dotyczyła przede wszystkim dużych miast, a połączenia lokalne giną po cichu, z dala od uwagi mediów krajowych.

A co z transportem miejskim?

– Tutaj pandemia mocno dała się we znaki, ale niestety rządzący dołożyli się do tego kryzysu. Rzecznik rządu opowiadał przecież publicznie, ▶

► że trzeba zamykać siłownie, bo ludzie dojeżdżają do nich komunikacją miejską. Podobnie minister edukacji twierdził, że lepiej, aby dzieci zrezygnowały z dojazdu do szkół autobusami. To ostatnie jest przykładem myślenia, które nie wychodzi poza centrum Warszawy.

mieszkańcom pewność, że jak już pojawi się autobus, który dowiezie ich do pracy, to zaraz nie zniknie. A to jest kluczowe, aby odbudować ogólne zaufanie do transportu publicznego.

Przez trzy lata dojeżdżałam do pracy transportem zbiorowym. Mieszkałam w Toruniu, a pracowałam

i pociągów, bo będzie taniej, wygodniej i bezpieczniej. Obecnie nie odważyłabym się komuś powiedzieć, że ma zostawić auto na rzecz transportu zbiorowego – ten transport dla wielu nie jest realnym rozwiązaniem. Często auto jest warunkiem dojazdu do pracy, czyli zarabiania w ogóle.

Jakie rozwiązania powinniśmy wprowadzić? Które kraje powinny być dla Polski wzorem?

– Wszyscy teraz mierzymy się z wysokimi cenami biletów. Mamy jako partia Razem i klub Lewicy gotowe i proste rozwiązanie, do zastosowania od ręki. To wprowadzenie zerowej stawki VAT od biletów w pasażerskich przejazdach kolejowych. Po dyskusji na temat cen w Intercity i wielu konferencjach z naszej strony rząd wycofał się z podwyżek i dofinansował Intercity. To też nie jest najlepsze rozwiązanie, bo nie wsparto podobnym gestem przewoźników regionalnych, którzy również zmagają się z inflacją. Zerową stawkę VAT wprowadzono już w Finlandii. Dodatkowo właśnie tam można już kupować bilety na przejazdy wakacyjne. Takie wyprzedzenie jest świetnym rozwiązaniem, bo przewoźnik może odpowiadać na potrzeby podróżnych, np. jeśli w tej chwili sprzedało się trzy czwarte biletów na wakacje, to wiadomo, że trzeba będzie dostawić kolejny wagon czy uruchomić dodatkową linię.

Obecnie powinno się także zawiesić opłatę za dostęp do infrastruktury, ponieważ każdy przewoźnik płaci spółce PKP za użytkowanie torów.

Od 1989 r. w Polsce wybudowano zaledwie 50 km nowych torów kolejowych. Dróg powstało w tym czasie 2000 km.

Dlaczego?

– Dzieci bardzo często wożone są z wiosek do szkoły specjalnym autobusem, który zapewnia im gmina, i nie mają żadnej alternatywy. Jeszcze większy problem zaczyna się z młodzieżą w szkole średniej. Bardzo często młoda osoba nie może wybrać swojej wymarzonej szkoły, bo okazuje się, że nie dojeżdża tam autobus. Znam masę historii o tym, że nastolatki czekają półtorej godziny po lekcjach na powrót do domu albo nie mogą pójść na zajęcia dodatkowe, bo ostatni autobus w stronę domu odjeżdża zbyt wcześnie. To również kwestia kontaktów towarzyskich i nawiązywania relacji, co świetnie opisuje w książce „Nie zdążę” Olga Gitkiewicz.

I nagle okazuje się, że samochód staje się oknem na świat.

– Rozmawiałam z uczniami technikum pod Łaskiem. Okazało się, że sześć na dziesięć osób miało lub robiło prawo jazdy, bo to jedyny sposób, aby spotkać się ze znajomymi w miejscowości obok, pójść na dodatkowe zajęcia czy do kina i nie martwić się powrotem. Ludzie często wybierają samochody, bo nie mają innego wyjścia.

No to po co ten autobus? Problem niejako sam się rozwiązał.

– Bardzo często to słyszę, podejmuje jako postanka różne interwencje w sprawie transportu. Typowa odpowiedź władarzy: „Jaki problem? U nas to wszyscy mają samochód. A w ogóle to robiliśmy takie badania i u nas na przystanku nikt nigdy nie stoi”. Pytam wtedy, po co ktoś ma stać, skoro żaden autobus tam się nie zatrzymuje. Nie ma przemyślanej strategii transportowej, która dawałaby

w Kutnie. Przez ten czas doświadczyłam każdej zmiany w komunikacji publicznej. Drobna zmiana rozkładu potrafi zburzyć całą logistykę dnia codziennego, czasami się okazuje, że taka niespodziewana korekta, która sprawi, że pociąg przyjeżdża siedem minut później, może kompletnie rozwalić dzień. Ja nie miałam autobusu na dworzec i byłam zmuszona zacząć dojeżdżać rowerem niezależnie od tego, czy było lato, czy zima. Nikt w pracy nie da nam też na miesiąc zwolnienia, bo akurat zawiesili czasowo pociąg. Mamy być w pracy na godz. 8 i tyle.

Czy jest w takim razie szansa na odwrót od zalewającej Polskę „samochodozy”? Obecnie na jedno gospodarstwo domowe przypada średnio półtora samochodu.

– W wielu miejscach posiadanie samochodu to po prostu konieczność. Nieraz nawet więcej niż jednego. Weźmy taką wieś, do której nic nie dojeżdża. Każde z rodziców

Połączenia lokalne giną po cichu, z dala od uwagi mediów krajowych.

pracuje w innych godzinach, a 18-letni licealista ma szkołę w jeszcze innym kierunku. I nagle w takim domu są trzy samochody. Mamy więc zalewanych aut z zachodniej granicy, aby tylko jeździły. Tego trendu nie da się cofnąć żadnym zakazem ani regulacją, bo ludzie tych aut potrzebują. Tu należy konsekwentnie budować siatkę pewnego i stałego transportu publicznego, który nie zniknie z powodu widzimisię tej czy innej władzy. Wtedy będzie szansa, że ludzie sami przesiądą się ze swoich aut do autobusów

Fundacja ProKolej wyliczyła, że ta opłata to dla pasażera jedna piąta ceny każdego biletu.

Trzecie rozwiązanie wychodzące naprzeciw potrzebom przewoźników kolejowych to zawieszenie dla tego sektora uiszczania opłaty mocowej. Kiedy ktoś ma fabrykę, to może produkować w godzinach, kiedy ma tańszą taryfę. Przewoźnicy dostosowują zaś rozkład do potoków pasażerskich, więc nie mają podobnej możliwości obniżania kosztów. Te wszystkie propozycje padły już w zeszłym roku,

jednak minister Adamczyk nie reaguje na prośby przewoźników i pasażerów.

To rozwiązania na tu i teraz, a co z przyszłością?

– Oczywiście, jak już wspominałam, trzeba zbadać potrzeby pasażerów i wyjść im naprzeciw. Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych powinien zostać przeformułowany. To nie może być system grantowy, w którym kto chce, składa wnioski. Powinniśmy się oprzeć na subwencji transportowej dla powiatów. Głośno

minimum transportowe, obserwować, gdzie jest zapotrzebowanie na połączenia, i przy przetargu przewoźnik powinien się zobowiązywać, że uruchomi odpowiednią liczbę połączeń również w weekend, co może nie być szczególnie opłacalne, ale jest konieczne. Ważna jest też stabilność finansowania.

Co to znaczy?

– Obecnie przewoźnicy autobusowi podpisują umowy na rok. Gdyby podpisywali je na cztery lata lub pięć,

Czuję tutaj nawiązanie do CPK.

– Mam takie poczucie, że śnimy o potędze, zamiast rozwiązywać problemy tu i teraz w konkretnych miejscowościach. Powinniśmy odbudowywać potrzebne fragmenty linii kolejowych. Przypomnę, że po 1989 r. wybudowano zaledwie 50 km nowych dróg kolejowych. Komponent kolejowy w CPK to ponad 1600 km. Super, kibicuję, ale powiedzieć, że to jest ambitny plan, to powiedzieć zdecydowanie za mało.

Mierzmy siły na zamiary.

Teraz potrzebujemy systematycznych działań, które podniosą jakość życia Polak i Polaków. Niezależnie od tego, gdzie mieszka-

my, potrzebujemy dostać się do pracy, szkoły czy lekarza. Transport jest tą podstawową usługą, która zapewnia dostęp do innych usług publicznych. W takim kraju chcę żyć – gdzie każdy ma równe szanse bez względu na to, czy mieszka w niewielkiej wiosce, czy w dużej aglomeracji.

Kornel Wawrzyniak

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Znam masę historii o tym, że nastolatki nie mogą pójść na zajęcia dodatkowe, bo ostatni autobus w stronę domu odjeżdża zbyt wcześnie.

było o eksperymencie niemieckim z biletem za 9 euro (obecnie 49 euro, co nadal jest świetną ceną). Jeden bilet sieciowy funkcjonował na terenie całego landu i obejmował wszystkie połączenia, w tym komunikację miejską – to znakomite rozwiązanie, bo podróżny ma jeden bilet na wszystko, wsiada zatem i jedzie. W końcu musimy zapewnić

mieliby większą pewność i mogliby inwestować np. w rozbudowę taboru. To byłby zysk dla wszystkich, bo i starosta w takiej sytuacji wie, że będzie miał konkretne połączenia przez kilka lat. Pamiętajmy, że usługę publiczną, jaką jest transport publiczny, może realizować podmiot prywatny, który zatrudnimy. Nie musimy tworzyć specjalnych spółek.



W bieżącym numerze także:

- ▶ Aníbal Garzón
Nieustający zamach stanu w Peru
- ▶ Laurent Gayer, Fawad Hasan
Zbrojny kapitalizm w Pakistanie
- ▶ Christopher Mott
Mariaż wojny i cnoty
- ▶ Łukasz Drożdż
Patobudownictwo w patoprzestrzeni
- ▶ Jakub Gałęziowski
Przełamywanie milczenia

Do nabycia w salonach prasowych empiiku

Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł

Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000

Santander Bank Polska

Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”

ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27

e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl

www.monde-diplomatique.pl

Jak PiS chce wygrać wybory

Opozycja powinna zaważczyć o korektę demograficzną i wyborców za granicą

Robert Walenciak

„Robimy wszystko, żeby tego-roczne wybory były jak najbardziej sprawiedliwe i transparentne. W ten sposób chcemy naprawdę wybory oddać obywatelom”, mówił Mateusz Morawiecki w podcaście w mediach społecznościowych.

Rzeczywistość jest inna. PiS robi wszystko, żeby wybory wygrać, a reszta nie ma znaczenia. Jak to robi? Ano tak, jak opozycja pozwała. Do mechanizmu wyborczego PiS włączyło parę trików, które już na starcie dają mu kilka (a może i kilkanaście!) mandatów więcej. Opozycja najwyraźniej tego nie widzi, bo milczy. A ile to milczenie może kosztować?

Dziś PiS rządzi, bo ma w Sejmie przewagę trzech, czterech głosów. Wszystkie sondaże mówią, że podobna sytuacja będzie po jesiennych wyborach. Dlatego triki, które dadzą kilka mandatów więcej, dadzą PiS również władzę. Aby mieć większość w Sejmie, nie trzeba w Polsce mieć większości głosów w urnach. Trzeba tylko odpowiednio ustawić system wyborczy. PiS ustawiło go na kilka sposobów.

1.

Pierwszy, wszystkim znany i przez wszystkich akceptowany, to odziedziczony po poprzednikach system liczenia głosów metodą D'Hondta i małe okręgi wyborcze. Służą on największym partiom, więc bronią go solidarnie. Tak zresztą był pomyślany, by dawać premię największym. Jak dużą? Otóż po wyborach w 2019 r. przeliczyłem ich wyniki metodą Sainte-Laguë, tzw. niemodyfikowaną, bardziej proporcjonalnie przeliczającą



głosy na mandaty. I okazało się, że gdyby głosy liczono tą metodą, PiS dostałoby 200 mandatów. Czyli straciłoby aż 35 i oczywiście nie miałoby większości w Sejmie. Dodajmy, że zdecydowana większość tych mandatów przesłaby do Konfederacji.

2.

Drugi sposób właśnie jest realizowany poprzez Kodeks wyborczy, którego procedowanie kończy parlament. Kodeks teoretycznie wprowadza niewielkie poprawki, oficjalnie chodzi w nich o zwiększenie frekwencji, o to, by mieszkańcy wsi i małych miejscowości mogli łatwiej oddać głos. PiS trąbi, że w ten sposób troszczy się o Polaków chorych czy tych z małych miejscowości.

Co w tym złego? Nic! Tyle że prawdziwy cel PiS jest inny. Otóż jednym ze sposobów manipulacji wyborczej jest zwiększenie siły swojego elektoratu, a zmniejszenie wagi elektoratu przeciwników. I to się dzieje!

Poprzez zmiany w Kodeksie wyborczym PiS chce zwiększyć frekwencję w grupie, która mu sprzyja – wśród osób starszych i z mniejszych miejscowości. Darmowa dowózka do lokali wyborczych, większa liczba komisji – to wszystko ma zmienić mapę polityczną Polski. Jak zmieni – przekonamy się na przełomie października i listopada. Ale nie abstrahujmy od pojawiających się szacunków. „Dziennik Gazeta Prawna” wyliczył, że gdyby w 2019 r. frekwencja na terenach wiejskich była taka jak w dużych miastach, dałoby to dodatkowo milion głosów, z czego połowa byłaby dla PiS. Czyli PiS miałoby kilka, a może i kilkanaście mandatów więcej. Że jest to jak najbardziej realne, świadczą wybory prezydenckie w roku 2020. PiS udało się w nich zmobilizować wyborców z mniejszych miejscowości trikami typu wóz strażacki dla gmin z największą frekwencją. Nie trzeba dodawać, że w tych rejonach Andrzej Duda zdecydowanie pokonał Rafała Trzaskowskiego. Czy więc gra nie jest warta świeczki?

Jeżeli mówimy o mobilizowaniu wyborców PiS, powiedzmy też o demobilizowaniu wyborców opozycji. Jedną z metod jest zapowiadana kampania PiS na TikToku skierowana do młodych. Jak możemy wyczytać w relacjach, chodzi nie o pozyskiwanie młodych, ale o ich demobilizację. „Naszym celem jest to, by opozycji nie udało się doprowadzić do pospolitego ruszenia wśród młodzieży, która nagle ruszy tłumnie do urn, by ratować Polskę przed PiS”, mówił dziennikarce Interii pisowski polityk, przypominając głośną akcję z 2007 r. pod hasłem „Idą wybory. Uratuj kraj. Zabierz babci dowód”.

Według wewnętrznych badań PiS na tę partię zamierza oddać głos 15% wyborców w przedziale wiekowym 18-24 lata. Dla ugrupowania, które chce walczyć o 40% wyborców, to tragedia. PiS będzie zatem próbowało przynajmniej zdemobilizować tę grupę, zniechęcić do głosowania, jeśli nie zdoła jej przekonać do siebie.

3.

Na to teraz sposób numer 3, najważniejszy i – choć ocierający się o naruszenie konstytucji – zupełnie przemilczany. Mowa o tzw. korekcie demograficznej. 21 października 2022 r. Państwowa Komisja Wyborcza skierowała do marszałek Sejmu Elżbiety Witek pismo dotyczące potrzeby nowego ustalenia liczby posłów wybieranych w poszczególnych okręgach wyborczych.

Powód był oczywisty – w okręgach nastąpiły zmiany demograficzne, w jednych ubyło mieszkańców, w drugich przybyło, więc liczbę posłów w nich wybieranych trzeba dopasować do liczby ludności. Wymaga tego Kodeks wyborczy a także art. 97 Konstytucji RP. Określa on, że wybory w Polsce są pięcioprymiotnikowe – powszechne, tajne, bezpośrednie, proporcjonalne i równe. Tymczasem istniejąca sytuacja tę równość narusza. Na przykład w roku 2019 w okręgu elbląskim 250 tys. wyborców wybrało ośmiu posłów, a w Warszawie oddano prawie 1,4 mln głosów, żeby wybrać 20 posłów! Innymi słowy, głos mieszkańca okręgu elbląskiego był

dwa razy mocniejszy niż głos wrzucony do urny w okręgu warszawskim. I ta nierówność się pogłębia.

Inny przykład to porównanie okręgów nr 6 (Lublin) i nr 20 (Warszawa II). Oba mają niemal identyczną liczbę mieszkańców: Lublin – 1,135 mln, Warszawa II – 1,115 mln. Tymczasem w okręgu nr 6 wybieranych jest 15 posłów, a w okręgu nr 20 – 12.

PKW pisała listy do marszałków w sprawie korekty demograficznej i w roku 2014, i w roku 2018. Zostały one zignorowane. Podobny wniosek, jak wspominałem, został wysłany w październiku 2022 r. W tym piśmie PKW w specjalnej tabeli pokazuje, że w 11 okręgach wyborczych należy zmniejszyć liczbę mandatów o jeden, w dziesięciu – zwiększyć o jeden, a w jednym okręgu (Warszawa II) aż o dwa mandaty.

Marszałek Witek pismo z PKW skierowała do sejmowej Komisji Nadzwyczajnej ds. zmian w kodyfikacji, tej, która m.in. zajmowała się Kodeksem wyborczym. I tam słuch po nim zaginął. Czy oznacza to, że posłowie już się tym nie zajmą? Wszystko możliwe. Aczkolwiek orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego wskazuje, że zmiany, jeśli chodzi o liczbę mandatów w okręgach

mandatów, PO – trzy, a PSL, SLD i Konfederacja po jednym. W okręgu tym na PiS głos oddało 55% wyborców. Natomiast w warszawskim obwarunku (okręg nr 20) podział mandatów przedstawiał się następująco: PiS – sześć, PO – cztery, PSL i SLD po jednym. Tam z kolei na PiS głosowało 40% wyborców. Gdyby obydwa okręgi dysponowały tą samą liczbą mandatów, PiS otrzymałoby ich w sumie 13-14. Miałoby zatem o jednego, a może i dwóch posłów mniej.

PKW domaga się przeprowadzenia korekty liczby przypadających na okręg mandatów w aż 21 okręgach! Czyli w połowie, bo Polska podzielona jest na 41 okręgów wyborczych. Korekta dałaby opozycji zdecydowany zysk. Ostrożnie licząc, gdyby już w 2018 r. wprowadzona została korekta demograficzna, w roku 2019 PiS miałoby trzech, może czterech posłów mniej. A właśnie taką większość dysponuje dziś w Sejmie. W roku bieżącym ta różnica, jak możemy wyliczyć z październikowego pisma PKW, jest jeszcze większa. Przeliczyłem metodą D'Hondta, okręg po okręgu, jak zmieniłaby się liczba mandatów, gdyby uwzględniona została korekta demograficzna.

PiS tak ustawiło system wyborczy, że już na starcie ma kilka, a może i kilkanaście mandatów więcej.

wyborczych (bez zmiany ich granic), można przeprowadzić do trzech miesięcy przed ogłoszeniem terminu wyborów, czyli do połowy maja. Czy parlament zajmie się tą sprawą i czy zdąży?

Raczej nie zdąży i wszystko zostanie po staremu. A nie zdąży dlatego, że PiS odpowiada dotychczasowy podział mandatów, natomiast opozycja ewidentnie nie ma rozumu, by o korektę demograficzną zaważać.

A przecież widać, że nadreprezentowane są okręgi, w których PiS ma przewagę, niedoszacowane zaś te, gdzie przewagi nie ma. Przeanalizujemy wspomniane okręgi nr 6 (Lublin) i nr 20 (Warszawa II). W 2019 r. w okręgu nr 6 PiS zdobyło dziewięć

Wynik jest jednoznaczny – PiS miałoby trzy mandaty mniej (w siedmiu okręgach straciłoby mandat, w czterech – zyskałoby), a opozycja – trzy więcej (Koalicja Obywatelska i SLD zyskałyby po dwa mandaty, a PSL straciło jeden).

Oto więc Polska staje do wyborów, które już są „poprawione” na korzyść partii rządzącej, która ma realnie sześć mandatów w prezenzie. A może więcej?

4.

Dochodzi bowiem kolejny element – głosy Polaków przebywających za granicą. Są one doliczane do okręgu nr 19, czyli do Warszawy. O ile w wypadku wyborów prezydenckich, zwłaszcza w II turze, nie ▶

► ma to znaczenia, o tyle w wyborach do Sejmu znaczenie ma potężne. I to rośnie.

W wyborach w 2011 r. głosowało za granicą 120 tys. Polaków, w roku 2015 – już ok. 174 tys. osób, natomiast w roku 2019 – 316 tys., a uprawnionych (czyli wpisanych na listę wyborczą) było 350 tys.! Na marginesie, w roku 2020, w wyborach prezydenckich, w II turze głosowało za granicą prawie 420 tys. z uprawnionych 524 tys.

Wracając do wyborów sejmowych – coż znaczy 316 tys. dodatkowych głosów? Albo 350 tys.? Przekonajmy się. W wyborach w 2019 r. uprawnionych do głosowania było 30,253 mln Polaków. Z tego głos oddało 18,682 mln. Łatwo policzyć, że na jednego wybranego posła średnio przypadało 41 tys. oddanych głosów. Te 316 tys. głosujących powinno zatem dysponować siedmioma mandatami.

Korekta demograficzna to gra przynajmniej o sześć mandatów.

Możemy też liczyć mandaty od liczby osób uprawnionych do głosowania. W tym przypadku na jednego posła przypadało średnio 66 tys. wyborców. Czyli Polacy głosujący za granicą powinni mieć prawo wyboru pięciu posłów. Tymczasem ich głosy są doliczane do okręgu warszawskiego, i tak już niedoreprezentowanego. W ten sposób okręg Warszawa I wybiera 20 posłów, choć powinien (zgodnie z korektą demograficzną) wybierać 21. Albo $21 + 5$, czyli 26 (a nawet $21 + 7$, czyli 28), jeżeli chcemy, by wyborcy głosujący za granicą byli traktowani, jak nakazuje konstytucja, jak wszyscy Polacy.

Dlatego PiS nienawidzi, używając pisowskiego języka, mieszkańców Warszawy oraz Polaków za granicą i robi wszystko, by mieli jak najmniejszy wpływ na kształt Sejmu? Odpowiedź jest prosta – są to dwie grupy, których sympatie przechylone są w stronę opozycji. Najwyraźniej było to widać podczas wyborów prezydenckich – za granicą w II turze 75% głosów padło na

Rafała Trzaskowskiego, a ledwie 25% na Andrzeja Dudę.

Ale trzymajmy się wyników wyborów do parlamentu. W roku 2019 w okręgu 19 (Warszawa I) oddano 1,39 mln głosów. PiS zdobyło 380 tys. głosów (27% poparcia i sześć mandatów), PO – 581 tys. głosów (41% poparcia i dziewięć mandatów). Gdyby z racji korekty demograficznej dodać do tego okręgu jeden mandat, przypadłby on opozycji (konkretnie – SLD). A gdyby dodać kolejne pięć – wówczas PiS otrzymałoby w 26-mandatowym okręgu osiem mandatów.

5.

Oto więc mamy jak na dłoni całą grę. PiS chce zwiększyć frekwencję w „swoich” okręgach i utrzymać ich nadreprezentację. Jednocześnie chce zachować niedoszacowanie okręgów miejskich i zagranicy. Świetnym na to sposobem jest

wskazuje, by w wyborach w 2023 r. sytuacja była lepsza. Przedstawiciele MSZ co prawda deklarują, że konsultaty będą do wyborów przygotowane, ale jednocześnie milcząco przyznają, że będzie, jak było. Że nie powinniśmy się spodziewać dodatkowych punktów, gdzie można by zagłosować, ani innych ułatwień. Przypomnijmy: Kodeks wyborczy wyraźnie określa, że obwodowe komisje wyborcze powinny być na terenach od 200 mieszkańców do 4 tys. W Londynie lub w Manchesterze komisje obwodowe obsługiwały po kilkanaście tysięcy wyborców. Część chętnych po kilku godzinach stania w kolejce rezygnowała. Czy o to będzie też chodziło w wyborach w 2023 r.?

6.

Jak z tym sobie poradzić? Z bezczelnym łamaniem konstytucji i próbą wygrania wyborów, jeszcze zanim się odbędą? Opozycja powinna zaważać o korektę demograficzną – to po pierwsze. Sprawa jest tak oczywista i nieskomplikowana, że do połowy maja, czyli w konstytucyjnym terminie, można ją przeprowadzić. I jest istotna. To gra przynajmniej o sześć mandatów.

Po drugie, warto rozwiązać problem głosujących za granicą. To kilkaset tysięcy ludzi i nie mogą oni być dopisywani do okręgu Warszawa I, tak jakby nic się nie zdarzyło. Albo powinien być utworzony dla nich specjalny okręg, albo Warszawa I powinna otrzymać więcej mandatów. Tak czy inaczej, sprawa wymaga dyskusji, namysłu, więc pewnie trzeba ją będzie odłożyć na okres powyborczy.

Podobnie na okres powyborczy wypadałoby odłożyć sprawę systemu liczenia głosów. Bo obecny mocno zniekształca obraz preferencji politycznych Polaków. Z tym także trzeba skończyć. Ale to również wymaga dyskusji.

Jest ona konieczna, bo inaczej w Polsce w coraz większym stopniu obowiązywać będzie zasada, że nieważne, kto głosuje, ważne, kto głosy liczy.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Cywilizacja prawicowego kotleta

Zmocą huraganu przetacza się przez Polskę, czyli przez media, zarówno te zależne, sprzedajne, jak i pozostałe, nowa frontowa ofensywa zimowa prawicy. Wszak mamy rok wyborczy. Tym razem na sztandarze głupoty polskiej prawicy zawisło niezbywalne, cywilizacyjne, fundamentalne prawo do jedzenia kotletów, befsztyków, steków i innych mięs. A któż to miałby czyhać na polskie (historycznie świeże) oddanie i zawierzenie mięsożerczej religii? Jakież to siły sprzysięgły się, żeby wydrzeć polskim złaknionym gardłom schabowe czy inne karkówki? No, jak to kto? Opozycja, Trzaskowski, Tusk. Skąd o tym wiadomo w lutym 2023 r.? Ano z pewnego raportu stowarzyszenia C40 Cities (organizacji skupiającej największe miasta świata, w tym Warszawę) z roku 2019. Raport ten zawierał ówczesne rekomendacje dla wielkich miast, propozycje, które mogłyby się przyczynić do zmniejszenia emisji gazów cieplarnianych przez metropolie, a tym samym ograniczyć zmiany klimatyczne.

Fakty zresztą nie odgrywają tu żadnej roli. Całe rozpętanie mięsożerczej histerii jest kolejnym absurdalnym i wykreowanym z niczego niby-problemem. Fałszywym zagrożeniem, którym prawica, zjednoczona w publicznym spożywaniu krwawych steków, kotletów i innych tego typu specjalów, bombardowała nas od połowy lutego w zorganizowanej kampanii politycznej, którą sama nazywała Kotlet+. Rzekome stanowisko opozycji (utożsamianej z prezydentem Warszawy Rafałem Trzaskowskim) określano tak: „Wyrzucić mięso i zreć rośliny i robaki”; „Opozycja zakazuje Polakom jedzenia mięsa i nabiału”; „#RobakiPlus”, „Zakazą nam kotletów i rosołu z kury”. Prym w tej propagandowej rozbiegówce wiodli sprawdził hunwejbini: niejaki europoseł Patryk Jaki czy wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta; najgorsza w historii kurator oświaty Barbara Nowak z Krakowa, marszałkini Sejmu Elżbieta Witek oraz pospolite ruszenie kotletowe z Konfederacji.

Metoda zastosowana podczas operacji „Obrona świętego polskiego prawa do konsumpcji kotletów” została opracowana i wdrożona wedle sprawdzonych podobnych akcji amerykańskiej prawicy. Należy znaleźć tezę nieobecną w debacie, a tym bardziej w planach politycznych przeciwników, przedstawić ją jako rzeczywisty plan opozycji i z całych sił straszyć nią, kreując się na obrońców naruszanej świętości. Polska Zjednoczona Prawica pod przywództwem Jarosława Kaczyńskiego (to ten „ważny” polityk, z którym nie spotkał się prezydent Biden; ten sam, który, nie znając angielskiego, skomentował na gorąco przemówienie do Polaków: „Nic nie powiedział”) już kilkakrotnie zastosowała podobny manewr wzniecania lęków

i budowania poczucia zagrożenia. Wcześniej straszono uchodźcami, potem ideologią LGBT, teraz przyszedł czas na mięcho, a raczej pozbawienie ludu prawa do jego zżerania. Wcześniej „zażarło”. Czy bitwa o mięcho też zażre?

Rekomendacje proklimatyczne dla metropolii są zresztą absolutnie sensowne i właściwie nie bardzo jest o czym dyskutować. Jeśli w ciągu najbliższych dekad mamy osiągnąć tzw. neutralność klimatyczną, to sugerowane kroki z całą pewnością są koniecznym minimum. Te zalecenia to m.in. propozycja progresywna ograniczenia spożycia mięsa przez jedną osobę do 16 kg w ciągu roku (propozycja ambitna – 0), nabiału – odpowiednio 90 kg i 0, nabywania nowych sztuk ubrań – 8 i 0; ograniczenie liczebności aut na 1000 mieszkańców – progresywnie 190 i ambitnie 0; loty samolotowe – raz na dwa lata. A jak się mają tamte zalecenia do realnej polityki w Polsce? Nijak, a to i tak za dużo powiedziane. Ale paliwo do rozróby jest.

Spokojna rozmowa polityczna na temat celów dalszych niż czteroletnia kadencja kolejnej ekipy i metod ich osiągania nie jest w Polsce w modzie od lat. W zamian dostajemy fantasmagoryczne zarzuty, świadomie wykoślawione w karykaturalny sposób i wycelowane w przeciwników politycznych. I na takie „kotlety” polityczne rzucają się głodne, nomen omen, mięsa i spragnione świeżej krwi media. Jedne na rozkaz (tu witamy z pewnym zaskoczeniem „Dziennik Gazetę Prawną”, która swoim durnym, zmanipulowanym tekstem dała sygnał politycznym psom gończym, a m.in. z tzw. mejli Dworczyka wiemy, że ta inicjacja nie jest przypadkowa), drugie na zasadzie owczego pędu (wszyscy o tym piszą, więc i nasz odbiorca musi dostać swoją porcję słomy), jeszcze inne, próbując wyjaśnić, nagłaśniają wypowiedzi i oddają głos hochsztaplerom politycznej nagonki.

A nasi milusińscy prawicowcy będą w najbliższych miesiącach budować oddolny ruch partyzancki w obronie mięcha, aut, lotów samolotowych i kupowania ciuchów na potęgę. To zabieg zastosowany już podczas Światowego Szczytu Klimatycznego w Katowicach w 2018 r., gdzie zbudowano z węgla kawiarnię i częstowano salcesonem. To chyba nie koniec ciosów w polską cywilizację. Także w lutym światowy serwis kulinarny TasteAtlas uznał za najgorszą zupę świata polską czerninę.

Kiedys Stanisław Lem powiedział, że nie miał świadomości, jak wielu idiotów chodzi po świecie, dopóki nie powstał internet. Polska prawica kocha internet prawie tak bardzo jak schabowego, fundament jej cywilizacji. Cywilizacji białego kotleta.

**Polska prawica kocha internet
prawie tak bardzo jak schabowego.**



Oddział WiN braci Leona i Edwarda (nz. drugi z lewej) Taraszkiewiczów.

Najazd na Parczew

IPN zakłamuje powojenne napaści na Żydów i inne mniejszości narodowe

Jakub Woroncow

5 lutego 1946 r. oddział partyzantki Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość braci Leona i Edwarda Taraszkiewiczów – „Jastrzębia” i „Żelaznego” – najechał na Parczew w województwie lubelskim. Obrabowano żydowskich mieszkańców miasta. Śmierć poniosły cztery osoby. Funkcjonariusze Instytutu Pamięci Narodowej od lat starają się przedstawiać ten napad jako akcję wymierzoną w ustrój komunistyczny, którą „propaganda” i „zachodni historycy” błędnie ukazują jako pogrom.

Zakłamywanie wydarzeń w Parczewie trwa od wielu lat. Zapoczątkował je w 2013 r. dr Mariusz Bechta z Oddziałowego Biura Badań Historycznych IPN w Warszawie, znany wcześniej z wydawania pisma „Templum Novum”, propagującego myśl neofaszystowską, oraz tworzenia marki Narodowa Scena Rockowa, zajmującej się dystrybucją muzyki

nazi-skinowskiej. Obecnie jego opis napadu w Parczewie jest częścią szerzej zakrojonej kampanii przedstawiającej mniejszości narodowe jako wrogów Polski, których słusznie dotknęły represje „żołnierzy wyklętych”.

Najazd na miasto

W jednym z dokumentów Wojewódzkiego Komitetu Żydów Polskich w Lublinie można przeczytać, że Parczew został 5 lutego otoczony przez bandę umundurowanych i uzbrojonych napastników w sile od 100 do 120 ludzi. „O godz. 17.30 padły pierwsze strzały; równocześnie z okien i strychów obserwowaliśmy, jak napastnicy zatrzymują przechodniów, legitymując ich i wzywając do podniesienia rąk. Prawie wszystkie mieszkania żydowskie zostały obrabowane, a rzeczy załadowane na samochody i furmanki i wywiezione. W szeregu wypadków, gdy mienie nie przedstawiało

dla napastników wartości, zostało ono na miejscu zniszczone tak, że nie nadaje się do użytku”. W wyniku akcji zginęli: Dawid Tempy, Mendel Turbinder, Abraham Zysman i Wacław Rydzewski. Tempy, Turbinder i Zysman należeli do żydowskiej Milicji Ochrony Miasta. Mieli zostać zastrzeleni na ulicy. Według jednej z wersji dwóch z nich trzymało wartość na moście i zostało podstępnie zwabionych w zasadzkę. Rydzewski był plutonowym MO i zastrzelono go w czasie walki. Natomiast szeregowy Edward Elbaum przeżył, ale jego mieszkanie zostało obrabowane, a on i jego żona pobici. Kupiec i członek żydowskiej samoobrony Dawid Rotbaum przez dwie godziny udawał martwego, gdy został ostrzelany. Ślusarza Lejbę Frajberga oprawcy złapali, gdy wychodził z restauracji. Napastnik miał krzyknąć do kolegów: „Złapałem jednego”, na co usłyszał polecenie: „Zastrzel go”. Ślusarz uderzył go i uciekł, ale został ranny w nogę.

W dalszej części protokołu WKŻP czytamy: „Ogólne straty materialne sięgają wielomilionowej sumy. Napastnikom wskazówek co do miejsca położenia lokali żydowskich udzielili miejscowi ludzie. Obecnie wśród Żydów parczewskich szerzy się panika. Żydzi likwidują sprawy osobiste i pragną wyjechać z Parczewa. W mieszkaniach własnych nie nocują i ukrywają się na strychach i w piwnicach”.

Dr Bechta jest autorem książki „Pogrom czy odwet? Akcja zbrojna Zrzeszenia »Wolność i Niezawisłość« w Parczewie 5 lutego 1946 r.” wydanej przez Zys i S-ka. Stara się w niej ukazać wydarzenie w jak najszerszym kontekście, ale uznaje zasadę odpowiedzialności zbiorowej żydowskich mieszkańców Parczewa za „lojalizm wobec reżimu komunistycznego wyrażony w tonie pełnym obaw o swoją przyszłość”. Żydów określa mianem „integralnej części komunistycznego, zinstytucjonalizowanego systemu władzy”. Zdaniem dr. hab. Augusta Grabskiego z Uniwersytetu Warszawskiego, który zrecenzował książkę na łamach „Kwartalnika Historii Żydów” w 2014 r., jest ona mocno zideologizowana i mieści się w antysemitycznym nurcie historiografii dziejów Żydów w Polsce. Jednak 7 lutego br. po stronie Bechty stanął dr Grzegorz Makus z Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Lublinie w artykule rocznicowym dotyczącym pogromu, opublikowanym na łamach „Kuriera Lubelskiego”. We wstępie zacytował obszernie meldunek starosty włodawskiego: „Spostrzega się w społeczeństwie szeroką niechęć do żydów, a źródło takiego nastawienia wypływa stąd, że żydzi w pierwszych miesiącach niepodległości byli zbyt agresywni do pozostałej ludności, nie potrafili z nią współżyć, a już jeżeli chodzi o pozostających na stanowisku w Milicji, czy w Urzędzie Bezpieczeństwa, to stosunek ich do innej nacji był wręcz wrogi. Na terenie miasta przed kilku miesiącami zginęło dwóch aryjczyków z rąk milicjanta żyda (sic!), a fakty takie nie wytwarzają harmonijnego współżycia w duchu demokratycznym”.

Z treści meldunku wynika, że we Włodawie miały miejsce zatargi między społecznościami polską i żydowską. Jednocześnie widać w nim negatywny stosunek starosty do społeczności żydowskiej. Makus pomija natomiast być może najważniejsze źródło świadczące o motywacji sprawców, jakim jest pamiętnik Edwarda Taraszkiewicza, zastępcy dowódcy oddziału. Píše on: „Partyzanci należący do tego oddziału niewątpliwie uważali się za patriotów. Ale czy ich działania w Parczewie miały jakiegokolwiek znaczenie dla sytuacji w kraju? Czy przyniosły Polsce jakąkolwiek korzyść? »Jastrząb« i ja proponowaliśmy »Orlisowi« (Klemens Panasjuk, zastępca komendanta obwodu WiN we Włodawie – przyp. aut.) uderzenie na miasto Parczew i rozgromienie zamieszka-

nawet powątpiewanie w słuszność tej akcji. Mimo to „Żelazny” zakończył swój zapis zdaniem: „Wyjeżdżamy w wesołym nastroju z Parczewa”.

Naukowcy odchodzą

Lubelski oddział IPN słynął ze świetnej kadry badawczej. Pracowali w nim wybitni znawcy tematyki żydowskiej, prof. Dariusz Libionka oraz dr hab. Adam Puławski, współautorzy wydanego przez IPN „Atlasu polskiego podziemia niepodległościowego 1944-1956”. A także specjaliści od tematyki ukraińskiej: prof. Grzegorz Motyka, dr Mariusz Sawa i dr Mariusz Zajączkowski. Żadnego z nich nie ma dziś w IPN. Oddział może jednak się pochwalić dr. hab. Jackiem Romankiem, pracownikiem instytutu od czasów pre-



1 marca 2016 r. Mariusz Bechta został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za zasługi w upowszechnianiu wiedzy o najnowszej historii Polski.

tych tam Żydów w ilości około 500 osób, którzy złapali w swoje ręce całkowity handel, nie dając życia innym drobnym kupcom i handlarzom polskim. Przy okazji tej można się było dobrze podreperować na żydowskich sklepach, a przeważnie na obuwiu”.

Słowa Taraszkiewicza nie świadczą o politycznej motywacji całej akcji, co zadaje kłam tezie o rzekomym odwecie na ludności żydowskiej za wspieranie reżimu lub za krzywdy wyrządzone podziemiem. Pojawia się

zesury Janusza Kurtyki. Promowane przez IPN dzieło Romanka wydane w 2016 r. nosi tytuł „Kolaboracja z Sowietami na terenie województwa lubelskiego we wrześniu i październiku 1939 r.”. Praca piętnuje w dużej mierze postawy Żydów i Ukraińców.

Przed publikacją budziła wewnątrz IPN negatywne opinie. Jeden z recenzentów wewnętrznych wśród wielu uwag zawarł tę, szczególnie interesującą: „Moim zdaniem odwoływanie się do publikacji jawnie antysemitycznej, jaką jest »Judeopolonia«

► Andrzeja Leszka Szczęśniaka, nie powinno mieć miejsca, ponieważ obniża rangę naukową tej rozprawy, może dać pretekst do jej dezawuowania, stawiając przy tym w niezręcznym położeniu IPN jako instytucję państwa polskiego". Praca Szczęśniaka jest zbiorem teorii spiskowych o snutym przez syjonistów planie stworzenia na Lubelszczyźnie we współpracy z Niemcami państwa żydowskiego, co miało uniemożliwić odbudowę

Polski po I wojnie światowej. W IPN długo zastanawiano się, co zrobić z tą recenzją, a szczególnie z fragmentami podważającymi naukowość publikacji. Ostatecznie kontrowersyjny przypis został usunięty.

Jacek Romanek chętnie dzieli się swoimi poglądami, które również stawiają instytut w dość niezręcznym położeniu. W zamieszczonym przez IPN na YouTube filmie nazywa on Polskę po 1996 r. krajem „od siedmiu lat teoretycznie wolnym”. Opowiada, że temat, którym się zajął, jest niewygodny, gdyż pokazuje, jak „Żydzi w '39 r. to oni mordują, a nie są mordowani tak naprawdę”.

Swoje ustalenia Romanek popularyzuje w „Kurjerze Lubelskim”. We wrześniu 2021 r. opisał bramy triumfalne wznoszone przez Żydów

o ofiarach terroru radzieckiego. Ani Romanek, ani IPN dotąd nie odpowiedzieli na sprostowanie zakonnika.

Konsekwencje

Narracja IPN staje się zlepkiem ideologicznych wynurzeń, uzasadniającym i usprawiedliwiającym antysemityzm, nacjonalizm, pogromy oraz zbrodnie na przedstawicielach mniejszości narodowych, popełnione po wojnie zarówno przez oddziały WiN, jak i podziemia narodowego. Doszło do nich nie tylko w Parczewie, lecz także w innych miejscach na Lubelszczyźnie, Podkarpaciu czy Podlasiu. Ofiarami byli Żydzi, Białorusini i Ukraińcy. Jedną z największych jest zbrodnia popełniona przez oddział Pogotowia Akcji Specjalnej NSZ 6 czerwca 1945 r. w Wierzchowinach – zamordowanych zostało 194 ukraińskich mieszkańców wsi, w większości kobiety i dzieci.

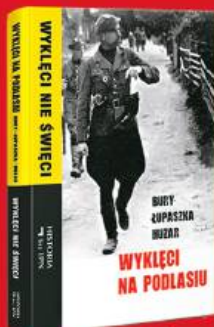
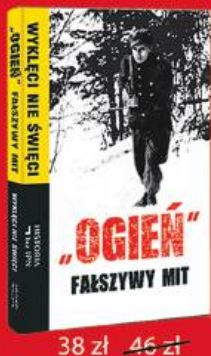
Prawie wszystkie mieszkania żydowskie zostały obrabowane. Napastnikom wskazywali je mieszkańcy.

witających Armię Czerwoną oraz nabożeństwo w prawosławnym monasterze w Jabłecznej, podczas którego popi i mnisi mieli urządzić „pogrzeb Polski, przedstawionej jako słomiana kukła utopiona w Bugu”. Na artykuł zareagował przeor klasztoru św. Onufrego w Jabłecznej, archimandryta Piotr Dawidziuk, który w sprostowaniu napisał: „Wedle zebranych relacji, zaledwie kilku (nie więcej niż piątka) mieszkańców Jabłecznej i okolicznych wsi zorganizowało na wiejskim cmentarzu w Jabłecznej »Pogrzeb Polski«, w którego trakcie zakopali kukłę symbolizującą Polskę i usypali z ziemi górkę”. Oskarżył też historyka IPN o hańbienie pamięci

Tymczasem funkcjonariusze instytucji publicznej powołani do badania m.in. wojny między Polską Ludową a podziemiem antykomunistycznym przyjęli optykę nieskazitelnosci jednej ze stron konfliktu. Zbrodnie na ludności, w tym przedstawicielach mniejszości, zostały uznane za nieodłączny element walki z reżimem komunistycznym. Ofiarom przypisuje się wrogość wobec Polski i Polaków, kolaborację z okupantem, a po wojnie wprowadzanie nowego ustroju. Zachowania sprawców natomiast przedstawia się jako czyny niemalże chwalebne, selektywnie przy tym sięgając do materiałów źródłowych. Mało znane fakty dobiera się w ten sposób, by opinia publiczna uznawała stanowisko IPN za prawdziwe. Te praktyki, niemające nic wspólnego z rzetelną nauką, stają coraz częstsze w IPN i sympatyzujących z nim środowiskach, także dziennikarskich.

Jakub Woroncow

PRAWO DO PRAWDY Kto robi z bandytów świętych?

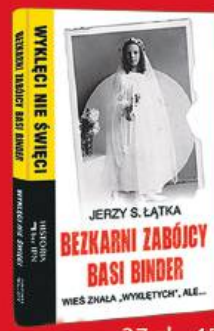


CZTERY TOMY „Historii bez IPN”

Przeczytaj, jak było naprawdę

Morderstwa, gwałty i rabunki!
Zamiast prawdy gloryfikacja
„żołnierzy wykłętych”

PAKIET
130 zł
~~178 zł~~



Zamów książki na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Nieodbyte rozmowy

Niedługo przed 79. rocznicą bitwy o Monte Cassino zmarł w Krakowie prof. Wojciech Narębski, jeden z ostatnich jej uczestników. Był wtedy chłopcem 19-letnim. Odszedł 27 stycznia, dwa miesiące przed ukończeniem 98 lat.

Niejednokrotnie w kancelarii Polskiej Akademii Umiejętności zdarzało mi się stać obok niego. Był drobnutki, filigranowy, zdawał się uosobieniem łagodności. Korciło, by go zagadnąć. Ale o co? Nie znałem się na uprawianej przez niego geologii, trudno też było składać nagle hołd weteranowi armii Andersa. A przecież miałem pretekst do rozmowy. Mogłem rzec najpierw, że – choć przez dziesięciolecia mieszkaliśmy w jednym mieście – o prof. Narębskim powiedziano mi nie w Krakowie, lecz w Kijowie. A potem mógłbym dodać, że powiedział mi to nie Polak, lecz Ukrainiec. Nazywał się Leonid Seleznienko.

Było to jeszcze w czasach ZSRR. Nieznajomy mężczyzna siedzący obok mnie w kijowskiej bibliotece uniwersyteckiej, zaintrygowany przeglądany przeze mnie „przedrewolucyjnymi” czasopismami, długo i nachalnie zaglądał mi przez ramię. Poprosiłem, byśmy wyszli na korytarz; pogadaliśmy i zostaliśmy przyjaciółmi – przez trzy tygodnie mojego pobytu umawialiśmy się stale na miasto. Leonid mówił najczystszą polszczyzną; nauczył się języka, prenumerując „Przekrój” i czytając książki Janusza Makarczyka. Ale miał też polskich znajomych, a do nich należała Barbara Narębska-Dębska, mieszkająca w Toruniu malarka, starsza siostra Wojciecha. Na tle radzieckiej szarżyny i prostactwa wyróżniał się Leonid elegancją i manierami zupełnie europejskimi. Najbardziej jednak fascynujące były jego opowieści o otaczającej rzeczywistości: o istniejących wciąż łagrach, o wyaresztowanym środowisku „szestydesatników” (ukraińskich dysydentów lat 60. XX w.), o demonstracji pod kijowskim uniwersytetem, gdy zgromadzony tłum skandował: „Swobodu! Swobodu!”. Słów Leonida słuchałem jak zaczarowany – wtedy jeszcze nie znałem pisarstwa Sołżenicyna...

Po latach, w pierwszych tygodniach wolnej Ukrainy, pojechałem znowu do Kijowa. Zatelefonowałem do Leonida. Ucieszył się, że o nim pamiętam. I podczas rozmowy w restauracji wyznał prawdę o swoim życiu. W istocie był jednym z „szestydesatników”, siedział jakiś czas w więzieniu; napisał „list pokajanny” i został zwolniony, ale ze strony kolegów spotyka się do dziś z ostracyzmem. Wróciłem do Krakowa, obiecując sobie dalszy kontakt. Ale parę tygodni później otrzymałem kartkę

z Torunia. Barbara Narębska-Dębska powiadała, że nasz przyjaciel (tak napisała) nie żyje.

Wiadomość oszołomiła mnie do tego stopnia, że nie zdobyłem się na odpowiedź. Nie skorzystałem z okazji, by o człowieku zmarłym tak niespodziewanie porozmawiać z osobą, która go znała, i to chyba długo. Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mój brak reakcji jest niegrzeczny. Ale nie był to koniec tej historii, bo po paru latach odbyłem jeszcze jedną rozmowę o Leonidzie. Jadłem obiad z przybyłym do Krakowa najstawniejszym ukraińskim dysydentem, Władysławem Czornowilem, i wymieniliśmy nazwisko Seleznienki. Czornowil skrzywił się i odrzekł: „To bardzo nieciekawa postać”. „List pokajanny...”, bąknąłem. „Żeby tylko – machnął ręką – ale on sypał. I gdyby przynajmniej mówił to, co musiał. Ale on mówił dużo więcej, niż musiał”. Okazało się, że Leonid był wieloletnim agentem KGB.

Podczas tylu moich z nim rozmów ani razu nie zapaliło mi się światelko ostrzegawcze. I z pewnością nie zapaliło się Barbarze Narębskiej. Nawet jej – dawniej więźniarce

Agent KGB opowiadał mi o istniejących wciąż łagrach, o aresztowaniach ukraińskich dysydentów, o demonstracji pod kijowskim uniwersytetem, gdy tłum skandował: „Swobodu! Swobodu!”.

NKWD – nie przyszło do głowy, że „w tym ustroju nie można być gronostajem”. Ale co miałem zrobić z relacją Czornowila? Podzielić się nią, zniszczyć w oczach Pani Barbary obraz przyjaciela? A czy powinienem coś mówić Wojciechowi Narębskiemu? Gdy czekaliśmy tak obok siebie w kancelarii PAU, jego siostra już nie żyła. Czy wspominała kiedyś bratu o Selezniencie?

Puenta mojej opowieści mogą być dwie. Pierwsza: oto o rodzinę Narębskich, więzioną i zesłaną w czasach stalinizmu, upominają się ponownie, już w czasach Breżniewa, radzieckie „organy”. I obserwują. Ale jest też puenta druga: oto agent tych „organów”, w odwecie za złamanie mu kręgosłupa, działa przeciw nim i powiadamia przybysza z zagranicy o rzeczywistym obliczu Kraju Rad. Nie wiem, która puenta jest prawdziwa, wiem, która jest mi bliska. Wszak rozmowy z Seleznienką były dla mnie, młodego wówczas człowieka, formacyjne, wiele im zawdzięczam. A Barbara i Wojciech Narębscy? Jakże lekomyślnie rozminąłem się z nimi w życiu.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Polacy – nacja ofiar

Nie przeszkadza nam wspomnianie krzywd doznanych przez naszych przodków. Za sprawą tych krzywd i my sami czujemy się pokrzywdzeni

Piotr Kimla

Zastanawiające, że każdy z nas jako indywiduum skrzętnie skrywa przed światem, a nieraz i przed samym sobą, wszelkie sytuacje, które stawiały go w pozycji ofiary. Polacy jako zbiorowość nie widzą jednak niczego niestosownego w epatowaniu Europy i świata swoim statusem ofiar. Nie przeszkadza nam wówczas ciągle wspomnianie i wypominanie krzywd doznanych przez naszych przodków. Za sprawą tych przeszłych krzywd i my sami czujemy się pokrzywdzeni. Naturalnie przeniknięte humanitaryzmem kraje Europy Zachodniej mogą przez chwilę mieć słuch dla ofiary i jej współczuć.

Przez chwilę, czyli tak długo, dopóki współczucie nie zagraża ich realnym interesom.

Przyjęcie statusu ofiary, a nawet napawanie się nim, z realistycznego punktu widzenia jest czymś trudnym do pojęcia i równie trudnym do zniesienia. Jest ciągłą manifestacją umysłowej niedojrzałości. Ekspozując doznane krzywdy i obarczając innych winą za nie, jesteśmy jak dzieci, które, gdy spowodują szkodę, nie dostrzegają nigdy jej źródła we własnej niefrasobliwości. Przeciwnie, krzykliwe i rozpaczliwie oskarżają zewnętrzne okoliczności. To nie potrącenie przez biegające dziecko stolika z wazonem spowodowało rozbicie naczyń. To stolik od zawsze był chybliwy.

We współczesnej świadomości Polaków pierwszy moment utożsamiany z okrutną krzywdą to rozbiory Rzeczypospolitej szlacheckiej. Państwa ościenne dokonały trzykrotnego gwałtu na niewinnej,

pacyfistycznie nastawionej owieczce. Trzeba zatem jeszcze raz postawić sprawę jasno: to nie krwiożerczość naszych sąsiadów doprowadziła do rozbiorów. Odpowiedzialność za nie ponosimy my sami, ściślej – magnateria i szlachta, które uległy swoistej aberracji umysłowej, polegającej na przeświadczeniu, że ustroj Rzeczypospolitej jest najlepszy na świecie. Demokracja szlachecka nie była w ich oczach, tak jak była w XX w. w oczach Witkacego, „potworem, którego nikt w tych czasach nie spłodził, tylko my”. Nie była „ohydą hybrydą instytucyjną”, co samą nazwą, „swą jakąś dziką, beczelną sprzecznością budzi dreszcz wstrętu i obrzydzenia” („Nie-myte dusze”). Przeciwnie, szlachta

oznaczało, że ustrojowo i pod każdym innym względem nic się nie zmieni. Skoro jednak ustroj był najlepszy na świecie, to czy można było rozpaczać z tego powodu, że nic się nie zmieni? Dodatkowo ważny punkt w ideologii państwa szlacheckiego głosił, że zerwanie Sejmu było widocznym znakiem braku błogosławieństwa Ducha Świętego dla podejmowania prac sejmowych.

Powoli zatem zaczynamy dostrzegać, że nieodłączną towarzyszącą aberracji umysłowej staje się aberracja ustrojowa. Aberracja ustrojowa w postaci wytworzenia najgorszego możliwego systemu politycznego przy przeświadczeniu o jego wyśmienitości. Wytworzenia

Ważny punkt w ideologii państwa szlacheckiego głosił, że zerwanie Sejmu było widocznym znakiem braku błogosławieństwa Ducha Świętego dla podejmowania prac sejmowych.

była przekonana, że tylko w ustroju demokracji szlacheckiej istnieje prawdziwa wolność. Wolność zarezerwowana, rzecz jasna, dla niej samej. Wszystkie inne narody jęczą pod jarzmem tyrańskiej, absolutnej władzy. Jęczą pod jarzmem nakładanych podatków i wszelkich innych danin.

Skoro taki pogląd się upowszechnił, nie może dziwić, że od pewnego momentu szlachta nie widziała już powodów, by młodzież szlachecka kształciła się na zagranicznych uniwersytetach. Czy z zagranicy mogła przywieźć coś więcej aniżeli wywrotowe, szkodliwe idee, godzące w doskonałość Rzeczypospolitej? Także praktyka zrywania sejmów nie dawała ostatecznie wielkich powodów do zmartwień. Zerwanie Sejmu

mianowicie zdecentralizowanej tyranii. Tym właśnie stało się państwo polsko-litewskie w XVIII w. Niektórzy twierdzą nawet, że to nie było żadne państwo, tylko społeczeństwo obywatelskie ograniczone do mniej więcej 10% populacji.

Jak każda tyrania była ona pełna zakłamania. W warstwie ideologicznej w szlacheckiej Rzeczypospolitej dominowały zafałszowane poglądy na temat wolności, którą jakoby cieszyła się cała szlachta tworząca „naród polityczny”. W tej sprawie nie pozostawia wątpliwości Władysław Łoziński: „Wolnym naprawdę i nie tylko wolnym, ale udzielnym, był wielki pan, a i ten dopóty tylko, dopóki nie usiadł mu na karku jeszcze większy, jeszcze możniejszy przeciwnik

– zwyczajny wioskowy szlachcic żył w niepewności, w trwodze, w zależności, prawie w niewoli” („Prawem i lewem”, t. 1, s. 75).

Zdecentralizowana tyrania jest najgorszym ustrojem na świecie – gorszym od jednej, centralnej tyranii – nie tylko dlatego, że przed jednym tyranem można przy odrobinie szczęścia się schronić. Gdzie jednak uciec przed wieloma tyranami, zwanymi w I Rzeczypospolitej królami? Gdzie schronić się przed Hieronimem Florianem Radziwiłłem (1715-1760), który za najmniejsze nawet uchybienie rozkazowi karał chłostą i więzieniem bez sądu? Lochy w jego zamkach w Białej Podlaskiej i Stucku były stale przepełnione. Książę pan lubił ponoć wsłuchiwać się w jęki uwięzionych, określając ich mianem „najmilszych swoich śpiewaków”. Może pod skrzydła innego Radziwiłła – Marcina Mikołaja (1705-1780), który „dla dowcipu” kazał powiesić niewinnego człowieka, ponieważ ten ciągle mu się pokazywał, tłumacząc, że chce być „na widoku” magnata. Wydałszy wyrok śmierci, książę powiedział do ofiary: „Teraz waćpan będziesz mi zawsze na widoku”. Do „prywatnej Bastylii” księcia wojewody trafili aktorzy z trupy nadwornej, a także poeta Onufry Korytyński oraz malarz Stefan Cybulski, który spędził w lochach w Białej Podlaskiej kilka lat (Alojzy Sajkowski, „Od Sierotki do Rybeńki”).

Horyzont myślowy królów, lokalnych tyranów, opisał francuski jezuita Hubert Vautrin – przebywający w Polsce w domu Kazimierza Nestora Sapiehy, generała artylerii litewskiej, jednego z marszałków Sejmu Czteroletniego. „Młody Polak (magnat – przyp. aut.) nie zna powinności ani praw obywatela. Nie uważa się bynajmniej za część pewnego politycznego organizmu, ale za ośrodek, do którego sprowadza się wszystko, co go otacza”. Dlatego „magnat wpaja w nie (w swoje magnackie dziecko – przyp. aut.) poczucie władzy na obszarze własnych dóbr, niezwiązanej z władzą państwową. Nie wychowuje go po to, by służył ojczyźnie, gdyż ojczyzna istnieje dla niego. Dziecko magnata wyrasta nie na członka organizmu społecznego,

ale na pasożyta, który przyczyni się być może do zguby swego narodu” („Polska stanisławowska w oczach cudzoziemców”, t. 1, s. 793 i 794).

Do czego prowadzi zdecentralizowana tyrania w wymiarze polityki międzynarodowej, wyśmienicie opisał Stanisław Cat-Mackiewicz w „Stanisławie Augustie”: „Zamiast jednej Polski było ich kilka małych: Polska Potockich, Polska Familii, Polska Branickiego, Polska radziwiłłowska. Sama Polska Potockich była może silniejsza od niejednego państwa. Ale cóż z tego, kiedy polityka Potockich była zaraz anulowana przez politykę Czartoryskich ze względu na zasadę konkurencji partyjnej. W ten sposób całe to wielkie państwo stało się zerem siły politycznej. (...) Król, Brühl i tak zwany dwór, czyli czynnik legalno-państwowy, miał znaczenie zaledwie takie samo jak inne partie polskie, i to bynajmniej nie najsilniejsze. W ten

Trzy rozbiory to skutek politycznej nieudolności i braku wyobraźni szlachty i magnaterii, a nie krwiożerczości i zgnilizny moralnej naszych sąsiadów.

sposób państwo polskie było zupełnie zdegradowane w życiu międzynarodowym. Polityką międzynarodową państwa polskiego rządziła jakaś wypadkowa pomiędzy waściami międzypartyjnymi a intrygami posłów cudzoziemskich w Warszawie. (...) Nic dziwnego, że gdy Francuz w XVIII w. pisał historię Polski, to tytuł tego dzieła brzmiał: »Historia anarchii polskiej«. Cat-Mackiewicz ma na myśli Claude’a-Carlomana de Rulhière’a, którego czterotomowa praca była podstawowym źródłem informacji o Polsce dla Napoleona Bonaparte’go i jego otoczenia.

Pierwsze trzy rozbiory to skutek politycznej nieudolności i braku politycznej wyobraźni szlachty i magnaterii. To wynik rodzimych, wielowiekowych błędów i zaniedbań, a nie krwiożerczości i zgnilizny moralnej naszych sąsiadów. W rezultacie tych błędów przegraliśmy zmagania z Rosją o dominację nad Europą Wschodnią, choć przez długi czas ani terytorialnie, ani ludnościowo, ani pod względem innych zasobów nie

byliśmy na straconej pozycji. Czymże zaś były Prusy wobec atutów Rzeczypospolitej? Niestroniący od dosadnych ujęć, cytowany wcześniej Witkacy, twierdzi, że kara za polityczną nieudolność była w pełni zasłużona i „znudzone naszą ohydą państwa ościenne odebrały nam swobodę dalszego gnicia we własnym, śmierdzącym sosie”.

Przejdźmy teraz do rozbioru czwartego, symbolizowanego – wedle wyrażenia Golo Manna – przez „największą bombę w długich dziejach dyplomacji europejskiej”, czyli pakt Ribbentrop-Mołotow. Czy śmierć 6 mln polskich obywateli w trakcie II wojny światowej to wyłącznie skutek obłądnych ideologii narodowego socjalizmu Hitlera i międzynarodowego socjalizmu Stalina, na których pojawienie się nie mieliśmy wpływu? Faktu, że jeden pragnął naszym kosztem lebensraum, a drugi chciał

jechać się ze swoim komunizmem aż do Atlantyku? Myślę, że znakomita większość Polaków ukształtowana na romantyczną i heroiczną modłę zwalnia z odpowiedzialności elity polityczne II Rzeczypospolitej. A jednak to one wprowadziły nasz kraj do wojny jako pierwszy, podczas gdy elementarz sztuki strategicznej mówi, że z wojny zwycięsko wychodzą te państwa, które przystępują do niej najpóźniej i dysponują u jej końca największymi zasobami. Elementarz ten podpowiada w związku z tym, że należało robić wszystko, aby uniknąć starcia polsko-niemieckiego, a jeśli to było niemożliwe – maksymalnie je odwlekać. Należało wytwarzać w społeczeństwie nastrój pacyfistyczny i kompromisowy zamiast oflawionego „nie oddamy ani guzika”.

Sączenie do głów Polaków fantasmagorycznych wyobrażeń na temat potęgi polskiej armii nie było dziełem Hitlera i Stalina. Było zatrutym owocem rodzimej propagandy. Stała ona na przeszkodzie poważnego rozważenia budowy eksterytorialnej ▶

► autostrady przez „korytarz”. Nawiasem mówiąc, projekt takiej linii kolejowej oraz nitki autostradowej w postaci mostu nad „korytarzem” został sporządzony przez polskich inżynierów w połowie lat 30. Zaświadcza o tym ówczesny prezes zarządu Polskiej Ligi Drogowej Stefan Tyszkiewicz. Projekt ten został entuzjastycznie przyjęty przez stronę niemiecką. Z wojskowego punktu widzenia nie stanowił zagrożenia, gdyż w razie

do jakiego stopnia honor jest integralną składową polskiego patriotyzmu. Aby ten honor i patriotyzm zanadto nie ucierpiały, należało być może iść drogą proponowaną przez Władysława Studnickiego – czołowego polskiego germanofila. Zdaniem Studnickiego za zgodę na eksterytorialną drogę przez „korytarz” Niemcy powinni się zgodzić na eksterytorialną drogę przez Prusy Wschodnie. Za oddanie Gdańska Niemcy powinni

analityczna. Trudno jednak zaprzeczyć, że nasi politycy musieli mieć przed oczami żywe doświadczenie I wojny światowej. Doświadczenie to uprzytamniało, że korzystna dla Polaków koniunktura polityczna wytworzyła się wówczas, gdy pobite zostały oba zagrażające nam państwa, to znaczy Niemcy i Rosja. Nie trzeba chyba było być wirtuozem, aby zrozumieć, że w polskiej racji stanu leżało uczynienie wszystkiego, co w ludzkiej mocy, aby ten scenariusz powtórzył się 20 lat później. Przyjęcie zaś przez nas jako pierwszych wojny z Niemcami to nic innego jak przekreślenie powyższej strategii. Zniweczenie rozwoju wypadków, który być może pozwalałby Polakom wyjść z II wojny światowej bez wielomilionowych ofiar w ludziach i bez niepowetowanych strat materialnych. Wina za przekreślenie tej strategii nie obciąża Hitlera ani Stalina. Wina za to obciąża nas, ściślej – ludzi rządzących II Rzeczpospolitą. Tych samych, którzy mają dziś swoje pomniki, ulice i skwery.

Piotr Kimla

Sączenie do głów Polaków fantasmagorycznych wyobrażeń na temat potęgi polskiej armii nie było dziełem Hitlera i Stalina. Było zatrutym owocem rodzimej propagandy.

wybuchu wojny zaminowanie kilku słupów i wysadzenie ich w powietrze natychmiast przerywało transport. Projekt ten został jednak z miejsca odrzucony przez wiceministra komunikacji Juliana Piaseckiego, notabene majora dyplomowanego saperów Wojska Polskiego. Argumenty na rzecz odrzucenia nie były rzeczowe, lecz czysto emocjonalne. Wiadomo,

nam oddać port w Lipawie. Nie waży się rozstrzygać, na ile te ostatnie propozycje były wykonalne. Prawdę mówiąc, nie to jest ważne. Istotne jest, że nie podjęto poważnych, kompromisowych inicjatyw zmierzających do uniknięcia bądź oddalenia w czasie starcia polsko-niemieckiego.

Decydentom politycznym II Rzeczypospolitej obca była wirtuozeria

160. ROCZNICA WYBUCHU POWSTANIA STYCZNIOWEGO

KONKURS NA PLAKAT

INFORMACJE
MUZN.PL/KONKURS/PLAKAT

Muzeum NIEPODLEGŁOŚCI

160.
ROČZNICA WYBUCHU
POWSTANIA STYCZNIOWEGO

PATRONAT HONOROWY

ORGANIZATORZY

PARTNERZY

PATRONAT MEDIALNY

Mateusz Mazzini

Na konferencję prasową w swojej edynburskiej rezydencji weszła spóźniona kilkanaście minut, przepraszając zebranych tam dziennikarzy, że wezwwała ich w środku ferii zimowych. Edukacja jest w Wielkiej Brytanii silnie zdecentralizowana (o czym więcej za chwilę), toteż kalendarze roku szkolnego są inne w poszczególnych częściach Królestwa. W ogóle podczas gdy na południu, w Londynie, dla reporterów i analityków był to raczej dzień jak co dzień, 15 lutego w Szkocji przejdzie do historii. Nicola Sturgeon, prawie od dekady premierka kraju, ubrana w czerwony garnitur ogłaszała rezygnację ze stanowiska. A wraz z tym spychała na dno politycznej szuflady marzenia o rychłym odłączeniu się Szkocji od reszty Wielkiej Brytanii.

Doprowadzić sprawę do końca

Z nią na czele zarówno same szkockie władze, jak i Szkocka Partia Narodowa (SNP) nabrały politycznego znaczenia. W przeciwieństwie do swojego poprzednika, Alexa Salmonda, który szeregi partii opuścił dwa lata temu, Sturgeon doskonale wiedziała, jak zaistnieć na krajowej, a momentami nawet międzynarodowej

Nicola Sturgeon usunęła się w cień, gdyż doszła do wniosku, że sprawie niepodległościowej bardziej szkodzi, niż pomaga.

dowej scenie politycznej. Salmond przeprowadził wprawdzie pierwsze w historii referendum niepodległościowe w 2014 r., ale je przegrał, a w codziennych zmaganiach uchodził raczej za mało kompetentnego negocjatora, który w konflikt z Westministerem wdawał się wtedy, kiedy nie było trzeba, natomiast w sprawach dla Szkocji kluczowych był zdecydowanie zbyt uległy.

Nicola Sturgeon przez siedem lat była jego zastępczynią, lecz drogi tej dwójki rozeszły się w 2021 r., przy okazji oskarżeń pod adresem Salmonda. Byłemu premierowi zarzucano kilkanaście przestępstw

o charakterze seksualnym, z gwałtem na czele. Ostatecznie sąd oczyścił go z zarzutów, ale w opinii części komentatorów wiele z tych spraw nie zostało właściwie przeanalizowanych przez prokuraturę. Salmond miał pretensje do Sturgeon o zarządzanie kryzysem wizerunkowym związanym ze śledztwem i w gniewie opuścił szeregi SNP, zakładając Albę, nową partię proniepodległościową, która jednak na razie jest w Szkocji politycznym planktonem bez poważnej reprezentacji w legislaturze jakiegokolwiek szczebla.

Sturgeon była na pewno znacznie bardziej aktywna publicznie i lepiej

panowała nad przekazem wychodzącym z Bute House, jej biura w Edynburgu. Narracja wokół szkockiej polityki, którą wykreowała przez ostatnie lata, była wyrazista, chociaż mniej konfrontacyjna. Szkocja miała niebawem zaistnieć na mapie świata jako suwerenne państwo, aczkolwiek nie za wszelką cenę. Niepodległość pozostawała najważniejszym, wręcz egzystencjalnym celem SNP, lecz w codziennym zarządzaniu krajem nie mogła przykrywać ani anulować kwestii ważnych dla mieszkańców: edukacji, ochrony zdrowia, podatków czy handlu z resztą Europy.

Jako premierka Sturgeon bardzo szybko zmieniła styl rządzenia. Pompatyczne przemowy Salmonda zastąpione zostały szczerymi rozmowami z dziennikarzami, w których na każdym kroku podkreślała, że jest ▶

Niepodległość w zamrażarce

Odejście Nicoli Sturgeon tylko zaogni spór pomiędzy Szkocją a Londynem



► polityczką, ale jednocześnie zwykłym człowiekiem, ze wszystkimi tego faktu wadami i zaletami. Nawiązała do tego nawet w czasie wspomnianej pożegnalnej konferencji prasowej, mówiąc, że odchodzi, bo jest po prostu zmęczona tą pracą. Niepodległość – dodała – jest ważniejsza niż jakkolwiek jednostkowa kariera polityczna, ona sama ma nadzieję, że ktokolwiek przejmie stery po niej, doprowadzi sprawę do końca. Ona nie chce już tego robić, ma dość polaryzacji, która redukuje polityków do roli marionetek reprezentujących swoje partie. Z tego względu – stwierdziła – nikt już w polityce nie dostrzega człowieka w człowieku, a inni ludzie reagowali na nią alergicznie nie z powodu jej własnych poglądów, ale przez etykiety do niej przyklejone. Ton autentyczności, zapoczątkowany po wyborach w 2015 r., utrzymała zatem do końca. Gorzej z polityczną skutecznością i wyczuciem, które w tamtych czasach były uważane za jej główne zalety, jednak przerodziły się w ogromny wizerunkowy balast.

Od triumfu do komplikacji

Osiem lat temu zaczęła od wyborczego triumfu. W wyborach parlamentarnych SNP zdobyła 56 z 59 szkockich mandatów, a jej

najwięksi rywale, laburzyści, tradycyjnie w Szkocji bardzo silni, zeszli z 40 miejsc w Westminsterze do zaledwie jednego. Był to oczywiście tylko jeden z przejawów ogromnego ogólnokrajowego kryzysu, który przeżywała wtedy Partia Pracy, a SNP miała paliwo z ruchu niepodległościowego i referendum przeprowadzonego rok wcześniej, ale wciąż to wynik więcej niż nokautujący. Ten sukces szybko stał się dla samej Sturgeon... ogromnym problemem. Jak zauważają publicyści tygodnika „New Statesman” Chris Deerin i Andrew Marr, co z tego, że ona sama biła rekordy popularności, a jej partia tłumnie zasiadała

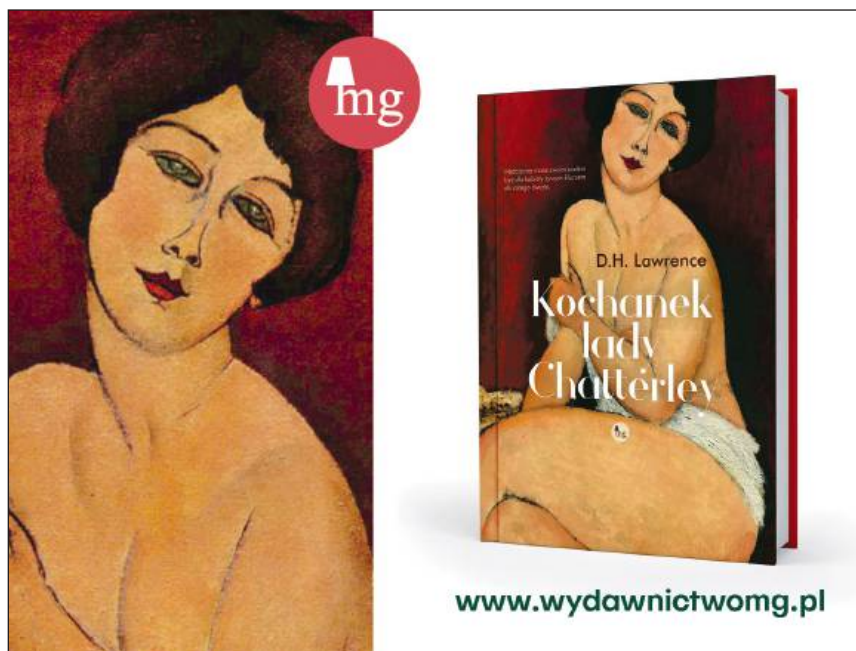
Szkoci nie chcieli wychodzić z Unii, więc premierka chciała ofiarować swoim wyborcom niepodległość przed zawarciem porozumienia brexitowego.

w londyńskim parlamencie, jeśli nie pchało to sprawy niepodległościowej do przodu ani o centymetr? W końcu SNP, pisze Deerin, istnieje tak naprawdę w jednym celu, zawartym zresztą w nazwie. Reprezentuje naród, ale nie brytyjski, tylko szkocki. A ten nie uzyska pełnej podmiotowości, dopóki nie odłączy się od Londynu i nie będzie mógł sam o sobie stanowić.

Sturgeon, polityczka bardzo pragmatyczna, wiedziała więc, że ten entuzjazm nie potrwa długo. SNP do wyborczego zwycięstwa wyniosła fala optymizmu co do powiększenia zakresu kompetencji Holyrood (siedziba szkockiego parlamentu – przyp. red.). Jedna kadencja bez chociażby najmniejszego sukcesu w tym względzie i cierpliwość elektoratu mogłaby się wyczerpać. Premierka szukała zatem dobrego momentu, żeby dać gazu. Polityka jest jednak sztuką robienia odpowiednich rzeczy w odpowiednim czasie i niestety była już szkocka pierwsza minister padła ofiarą nadmiernej chęci przyspieszenia.

Okazja, wydawałoby się, nadarzyła się sama. W czasie referendum brexitowego większość Brytyjczyków poparła rozwód z Brukselą, natomiast aż 62% Szkotów zgłaszało za pozostaniem w Unii Europejskiej. Nie było to specjalną sensacją, Szkocja zawsze była bardziej liberalna od reszty Królestwa, w dodatku kampania na rzecz wyjścia z UE oparta była na odurzonych, mocno klaustrofobicznych nastrojach nostalgii za brytyjskim imperium, które akurat w Edynburgu czy Glasgow nigdy nie cieszyły się zbyt dużą popularnością. Sturgeon chciała więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Korzystając z jednoznacznie proeuropejskich deklaracji Szkotów przy wyborczej urnie, obiecała kolejne referendum niepodległościowe – w 2018 albo 2019 r. Zamysł był dość prosty: ponieważ Szkoci, w przeciwieństwie do Anglików, nie chcieli wychodzić z Unii, Sturgeon chciała ofiarować swoim wyborcom niepodległość jeszcze przed zawarciem porozumienia brexitowego. W ten sposób Wielka Brytania z Unii by wyszła, Szkocja by w niej pozostała i każdy byłby zadowolony.

Szybko jednak okazało się, że dla takiego działania nie ma poparcia w elektoracie. Wyborcy nie chcieli kolejnego referendum zaledwie pięć lat po poprzednim, nawet jeśli



deklarowali poparcie dla kwestii niepodległościowej. Co innego bowiem zgadzać się z ideą, a co innego uważać wcielenie jej w życie za realne. Referendum ostatecznie się nie odbyło, głównie dlatego, że nawet w szeregach SNP nie było jednomyślności co do przeprowadzenia go właśnie wtedy. Od tego momentu kariera polityczna Nicolii Sturgeon zaczęła się komplikować.

Scenariusze dla Edynburga

Zeszła z wojennej ścieżki, coraz bardziej przekonana, że Westminster na kolejny plebiscyt zwyczajnie jej nie pozwoli. A bez tego straci mandat do rządu. Oliwy do ognia dołączyła decyzja Sądu Najwyższego z 2022 r., zakazująca Bute House przeprowadzania głosowania bez zgody brytyjskiego parlamentu. Wtedy stało się jasne, że w obecnym klimacie politycznym niepodległości nie da się uzyskać drogą referendalną. Pograżeni w kryzysie torysi nie mogli sobie pozwolić na ryzyko przegranej tak ważnego głosowania, dlatego ucieli wszelkie formy dialogu z Edynburgiem.

Do tego doszła kontrowersja wokół wewnętrznej szkockiej legislacji dotyczącej prawnego traktowania osób zmieniających płeć. Szkoci obniżyli wiek graniczny przejścia tej procedury do 16 lat, odrzucili też konieczność posiadania opinii medycznej, na co Londyn absolutnie nie chciał i nadal nie chce się zgodzić, blokując inicjatywę ustawodawczą w Holyrood. Wbrew pozorom ma to w kontekście niepodległości znaczenie ogromne, bo po raz pierwszy od decentralizacji kraju przeprowadzonej w 1997 r. przez rząd Tony'ego Blaira Westminster tak aktywnie miesza się w krajową politykę Szkocji.

Nigdy wcześniej żaden projekt nowego prawa z zakresu *devolved powers*, kompetencji przeniesionych na szczebel lokalnych parlamentów, nie został zakwestionowany przez władze centralne. Szkocja mogła w sposób niezależny urządzać swoją służbę zdrowia, mieć nawet inny niż reszta Królestwa reżim sanitarny w czasie pandemii. Mogła inaczej formułować podstawy programowe

w szkołach, a nawet studentom z innych krajów UE oferować przed brexitem bezzwrotne granty pokrywające 100% wysokości czesnego. Nie mogła jednak, jak się okazuje, zdecydować o zmianach prawnych w kwestiach tożsamości płciowej. Jeśli to było dla Westminsteru nie do przejścia, niepodległość, a nawet samo przeprowadzenie referendum, nagle wydało się co najwyżej majakiem na dalekim horyzoncie.

Sturgeon do końca się łudziła, lansując przez ostatni rok ideę „ukrytego referendum”. Za de facto głosowanie nad niepodległością miały posłużyć zaplanowane na 2025 r. wybory parlamentarne. Jeśli SNP uzyskałaby w nich ponad połowę wszystkich szkockich głosów, Sturgeon zamierzała uznać to za aprobatę elektoratu dla odłączenia się od Londynu i rozpocząć negocjacje na temat rozvodu północy i południa. Nawet jeśli ta kontrowersyjna strategia uzyska poparcie na zaplanowanym na koniec marca kongresie SNP, najpewniej napotka silny opór ze strony Londynu. Bez względu na to, kto będzie wtedy rządził Wielką Brytanią.

W tym procesie Sturgeon będzie uczestniczyć co najwyżej pasywnie.

O pokojowym rozwodzie nie ma mowy, bo zdevastowana brexitem brytyjska gospodarka potrzebuje Szkocji, i to bardzo.

Usunęła się w cień dobrowolnie, prawdopodobnie dochodząc do wniosku, że sprawie niepodległościowej bardziej już szkodzi, niż pomaga. Przez ostatnie lata zaliczyła sporo sukcesów, znacząco polepszając dostęp Szkotów do opieki zdrowotnej i darmowej edukacji na wysokim poziomie. I w tym zawiera się paradoks, bo będąc bardzo dobrą w rządzeniu krajem, okazywała się za mało skuteczna w realizacji nadrzędnego celu. To, czy rozwiązywała codzienne problemy swoich wyborców, w gruncie rzeczy nikogo nie interesowało. Liczyło się tylko doprowadzenie do końca procesu niepodległościowego. Bez tego każdy lider SNP będzie politykiem niepełnym.

Co dalej w scenariuszu dla Edynburga? Najpewniej zaognienie

konfliktu z Londynem. Polityka w Wielkiej Brytanii dawno pożegnała się z koncyliacyjnym podejściem i cywilizowaną debatą. Brexit zbiera katastrofalne żniwo, krajowa gospodarka jako jedyna ze wszystkich państw G7 nie odnotowała w minionym roku żadnego wzrostu, a zdjęcia pustych półek w supermarketach coraz rzadziej są przesadzoną tabloidową sensacją, coraz częściej zaś codziennością mieszkańców Wysp. Rishi Sunak, choć radzi sobie lepiej od poprzedników, będzie najprawdopodobniej i tak ostatnim konserwatywnym premierem przez dłuższą chwilę, zwycięstwo laburzystów w wyborach (kiedykolwiek by się odbyły) wydaje się niezagrożone. Może więc to idealny moment na intensyfikację działań niepodległościowych? Z jednej strony, rzeczywiście można by tak sądzić. Z drugiej – nawet gdyby ktokolwiek w Londynie zechciał usiąść do rozmów, byłyby to rozmowy trudne, prawdopodobnie agresywne. O pokojowym rozwodzie nie ma teraz mowy również dlatego, że zdevastowana brexitem brytyjska gospodarka z pewnością Szkocji potrzebuje, i to bardzo. Wiedzą to torysi, wiedzą też laburzyści.

Rekonstrukcja ekonomiczna kraju bez szkockiego wkładu będzie niemożliwa i chociażby z tego powodu nikt Szkotom nie pozwoli w najbliższych latach pójść na swoje.

Pytanie zatem, co się stanie z SNP, ugrupowaniem będącym partią jednej kwestii. Jeśli niepodległość zniknie z listy realnych celów, co na niej zostaje? Oprócz oczywiście rządzenia krajem. Może więc na naszych oczach historia śmieje się z edynburskich polityków, bo przecież w sprawowaniu władzy doskonałą była właśnie Nicola Sturgeon, która odeszła z powodu niepodległościowego zastoju. Szkotom będzie jej bardzo brakować. Ale jak bardzo, przekonają się najpewniej dopiero za kilka lat.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

20 lutego Baszar al-Asad odbył podróż do Omanu, gdzie spotkał się z sułtanem Hajsamem ibn Tarikiem.



Asad wraca do łask

Katastrofa humanitarna po trzęsieniach ziemi daje syryjskiemu prezydentowi możliwość wzmocnienia pozycji politycznej

Jakub Katulski

Trzęsienie ziemi, które dotknęło Turcję i Syrię 6 lutego, ma dramatyczne konsekwencje dla tysięcy ludzi, którzy stracili bliskich i domy w tej tragedii. Turcja z racji choćby członkostwa w NATO ma dobre układy z Zachodem, dlatego otrzymuje liczne oferty pomocy humanitarnej. O wiele gorzej jest w Syrii, od niemal 12 lat pogrążonej w wojnie domowej.

Konflikt jest w zasadzie zamrożony, siły biorące w nim udział okopały się na swoich pozycjach i nie dochodzi już do znaczących wymian terytorium. Północno-wschodnią część kraju kontrolują Syryjskie Siły Demokratyczne, których liderem jest kurdyjska Partia Unii Demokratycznej (PYD) i jej zbrojne ramie

w postaci Powszechnych Jednostek Ochrony (YPG). Zastąpiły one bohaterską walką z Państwem Islamskim, toczoną przez bojowników w mundurach i kolorowych chustach na głowie. W zachodniej prowincji Idlib rządzi islamistyczny Hajat Tahrir asz-Szam, wyrosły z lokalnego odłamu Al-Kaidy. Na północy przygraniczny pas terenu został zajęty przez Turcję z pomocą Syryjskiej Armii Narodowej, frakcji złożonej z dezertków z armii Asada i rebelianckich milicji wciąż sprzeciwiających się Damaszkowi. Nadal też aktywne jest Państwo Islamskie, choć nie kontroluje żadnego istotnego obszaru w regionie, koncentrując działania na Afryce, zwłaszcza Nigerii i Mozambiku.

Najważniejszym graczem pozostaje jednak prezydent Baszar al-Asad, którego wojska panują nad ok. 70%

Syrii. Asadowi udało się pokonać opozycję i umocnić swoją władzę w dużej mierze dzięki wsparciu Moskwy, która nie tylko dostarczała jego żołnierzom wyposażenie, ale także umieszczała w Syrii własne jednostki, w tym nowoczesne baterie pocisków przeciwlotniczych.

Przez sąsiadów natomiast Asad nadal jest izolowany. Państwa arabskie po rozpoczęciu wojny domowej w Syrii zerwały relacje z Damaszkiem i nierzadko zdecydowały się wesprzeć opozycję. Tyle że dzisiaj inne reżimy Bliskiego Wschodu zdają już sobie sprawę z tego, że Baszar al-Asad wojnę domową de facto wygrał i nigdzie z Damaszku się nie ruszy. Trzeba więc zmienić podejście do niego. Być może ostatnie trzęsienie ziemi okażą się katalizatorem procesu umacniania przez niego pozycji międzynarodowej.

20 lutego syryjski prezydent odbył podróż do Omanu, gdzie spotkał się z sułtanem Hajsamem ibn Tarikiem. Oman jest krajem wyjątkowym, jeśli chodzi o stosunki z Syrią, ponieważ Maskat nigdy nie zerwał relacji z Damaszkiem. To wręcz znak firmowy Omanu – od kiedy na tron w 1970 r. wstąpił sułtan Kabus ibn Sa'id, Maskat nie zerwał relacji z żadnym nowym państwem, starając się wykorzystać swoją pozycję do mediowania między rządami w regionie.

Dziś prowadzi te starania wraz z Rosją i Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, które stosunki z Damaszkiem wznowiły w 2018 r. To zresztą do Abu Zabi Baszar al-Asad pojechał w pierwszą po wybuchu wojny domowej podróż zagraniczną do kraju arabskiego. W marcu ub.r. syryjski prezydent spotkał się tam m.in. z księciem koronnym Muhammadem ibn Zajidem, który dwa miesiące później, po śmierci brata, został władcą emiratu i prezydentem kraju. Nie obyło się bez krytycznych komentarzy ze strony Waszyngtonu – Departament Stanu nazwał wizytę

„rozczarowującą” i przestrzegł przed dalszą normalizacją stosunków z reżimem, który według słów Neda Price’a, rzecznika prasowego amerykańskiej dyplomacji, dopuścił się „straszliwych zbrodni na Syryjczykach”. Mimo to liczne kraje arabskie rozpoczęły pewne starania o zbliżenie, choćby robocze, z Damaszkiem.

Saudowie są kluczem do uznania Asada na arabskiej scenie politycznej.

O potrzebie zakończenia izolacji Syrii otwartym tekstem mówił saudyjski minister spraw zagranicznych, książę Fajsal ibn Farhan as-Saud, podczas forum bezpieczeństwa w Monachium 18 lutego: „W świecie arabskim istnieje konsensus, że status quo nie działa i że musimy znaleźć jakieś inne podejście, które wciąż jest formułowane”. Saudowie nie wznowili w pełni relacji z Damaszkiem, lecz to oni są kluczem do uznania Asada na arabskiej scenie politycznej. Rijad ma pewne obawy wobec bliskich

związków Syrii z libańskim Hezbollahem i z Iranem. Dlatego stawia warunek, że Damaszek będzie mógł wrócić do Ligi Państw Arabskich dopiero po zerwaniu tych stosunków.

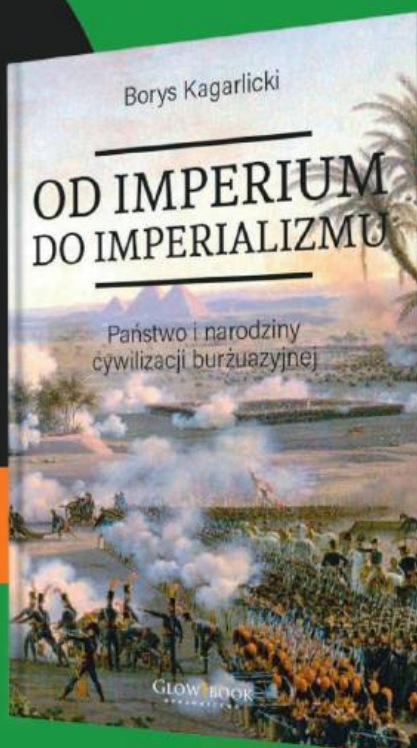
Dzisiaj Rijad dostarcza pomoc humanitarną do Syrii, a Baszar al-Asad opiera swoją dyplomację na prośbach o udzielenie pomocy jemu i obywatelom jego kraju. Zdaje się, że działa to również na Zachodzie, gdyż Waszyngton zdecydował się zawiesić na pół roku sankcje na transakcje związane z pomocą humanitarną dla Syrii.

Jeśli Asadowi uda się przekonać państwa arabskie, by wsparły Syrię w podnoszeniu się z gruzów po trzęsieniu ziemi, trudno będzie podważać jego zwycięstwo. Pozostanie jedynie nierozwiązana kwestia wspieranych przez Turków rebeliantów z Idlibu i Syryjskiej Armii Narodowej oraz tego, jaką autonomię Asad jest skłonny dać Kurdom w Rożawie. Arabskie reżimy jednak mogą już się tym nie przejmować. ■

Błyskotliwa synteza dziejów systemu kapitalistycznego autorstwa wybitnego socjologa, lewicowego opozycjonisty wobec rządów Putina. Pasjonująca wędrówka przez wieki historii ludzkości ujętej jako jeden organizm – system-świat. Próba odpowiedzi na pytanie: czy czeka nas nowa globalna hegemonia?

**Zamów książkę u nas:
WWW.GLOWBOOK.NET**

Od listopada dostępna w sieci Empik i dobrych księgarniach.



„Borys Kagarlicki to jeden z najlepszych analityków politycznych naszego pokolenia”.

**Jonathan Steele,
„The Guardian”**

Spektakl o Polsce musi być niewygodny

Przemoc jest wpisana w patriarchalną hierarchię. Odejście od przemocy wymagałoby odejścia od hierarchii

Rozmawia Dominika Tworek

Publiczność „Chamstwa” została usadowiona na pieńkach drzew, bo – jak słyszymy ze sceny – „spektakl o Polsce musi być niewygodny”. Chcieliście, żeby widzowie, mierząc się z tematem przemocy wpisanej w naszą kulturę, na własnej skórze poczuli dyskomfort?

Mateusz Atman: – Od pieńków mogą boleć nie tylko cztery litery. Do myślenia o scenografii zainspirowała mnie etymologia słowa Polska, odnosząca się do pól, powstałych po wyciętych i wypalanych lasach. Polska ma w nazwie wycinkę. W tej przestrzeni kryje się więc podtekst dotyczący przemocy ekologicznej i symbolicznej. Z drugiej strony posadzenie Polaków tam, gdzie kiedyś była puszcza, pozwala włączyć ich w świat snuty przez nas opowieści, które odrastają pomimo wycinki. Chodzi też o zbiorowe doświadczenie i działanie wbrew przemocy.

Agnieszka Jakimiak: – W teatrze niezwykle interesuje mnie igranie z poczuciem bezpieczeństwa i odbiorczymi przyzwyczajeniami. Ale nie na zasadzie emocjonalnego szantażu, tylko poprzez tworzenie i zrywanie znaczeń. W naszym spektaklu współlistnieją różne porządki. Pokazujemy, że relacja ludzi ze zwierzętami może być przepełniona łagodnością i współczuciem, ale bywa też brutalna i przedmiotowa. Tak samo jest z pieńkami. Mogą być niewygodne, z drugiej strony wymagają od nas zawsze wyprostowanej postawy i świadomości ciała, a dzięki nim spotykamy się razem wokół ogniska, osiągamy jakiś rodzaj bliskości.



AGNIESZKA JAKIMIAK I MATEUSZ ATMAN

– reżyserka i scenarzysta spektaklu „Chamstwo” we Wrocławskim Teatrze Współczesnym

Przełamanie czwartej ściany ma na celu zbudowanie wspólnotowości?

MA: – To przede wszystkim zerwanie z udawaniem, że widzowie są jedynie anonimowymi podglądaczami. Burzenie czwartej ściany to bezpośredni zwrot w stronę publiczności, który pozwala zintensyfikować relacje między performerami i widzami. Czasem nawet rozmywa między nimi granice, wytwarzając rodzaj żywej, wspólnej energii.

AJ: – Uważam, że kategoria wspólnoty jest ciekawa, ale nietrwała. Bardziej niż wiara w to, że teatr jest wspólnotą tych samych umysłów, które trwają ponad czasem, interesuje mnie zawiązywanie sojuszy na pewien okres, doświadczenie

jednej przestrzeni i nagłej identyfikacji z tematem. To bardzo istotne, żebyśmy w tym niedofinansowanym i marginalizowanym medium, jakim jest dziś teatr, celebrowali to, co w nim wyjątkowe, czyli współobecność różnych ludzkich ciał w jednej przestrzeni i skracanie dystansu, bo to stanowi przewagę teatru nad kinem czy innymi sztukami wizualnymi.

Spektakl dzieli się na dwie części: damską i męską. Dlaczego zdecydowaliście się na tę polaryzację?

MA: – Nawiązując do refleksji, że ludowa historia jest historią kobiet, a ciało służki na przestrzeni wieków było poddawane najokrutniejszym procesom klasotwórczym,

od początku proponowałam, że napiszę scenariusz tylko dla obsady kobiecej. Ale doszliśmy do wniosku, że mężczyźni również doświadczili patriarchalnej przemocy i nie należy odbierać im głosu. Wtedy pomyślałam o podziale na grupy, bo odzwierciedla on odmienne perspektywy doświadczenia historii.

Nie kusiło was, żeby w końcowej części połączyć obie energie: kobiecą i męską?

AJ: – Na początku rzeczywiście pojawił się taki pomysł. Ale czuliśmy, że obie te części są zbudowane na różnych energiach, innych problemach i powinniśmy dać wybrzmieć tym poszczególnym narracjom.

MA: – Zrezygnowaliśmy z tego dramatycznego chwytu, bo stwierdziliśmy, że zadziało się coś ciekawego; że te dwie części są właściwie osobnymi spektaklami, ale jednocześnie są komplementarne i łączą się. Do połączenia tych energii, czyli spotkania grupy męskiej i żeńskiej, dochodzi w procesie odbiorczym, w widzach.

Jako alternatywę wobec powielania unaocznionej w „Chamstwie” przemocy zapropowowaliście zbiorową terapię. Wizja ta wydaje się utopijna, zważywszy na polskie problemy z dostępem do opieki psychologicznej. Poza tym terapia to sposób, by indywidualnie radzić sobie z naszymi kulturowymi problemami. Czy w tym rozwiązaniu widzicie również zagrożenia albo ułomności?

AJ: – Dostrzegamy wiele ułomności, dlatego proponowana przez nas terapia sceniczna to terapia eksperymentalna, która nie musi być traktowana w stu procentach poważnie. Wykorzystując tę bliskość i współobecność, jaką daje nam teatr, możemy pomyśleć o nim jak o laboratorium, gdzie wypróbujemy strategię, których nie mamy możliwości sprawdzić gdzie indziej. W „Chamstwie” puszczamy oko do widzów, wspólnie zastanawiając się, czym w ogóle jest terapia historyczna i czy rewidując pańszczyźniane korzenie polskiego patriarchy, możemy tym samym „leczyć” widownię. Sprawdzamy, czy teorie antropologiczne przekładają się na naszą emocjonalność i doświadczenia.

MA: – Od kilku lat interesuje mnie lecznicze oddziaływanie teatru. Przy „Chamstwie” inspirujący był Erving Torrey, który w książce „Czarownicy i psychiatrzy” wymieniał cztery składniki wspólne wszystkim terapiom świata: techniki terapeutyczne, wspólny język pacjenta i terapeuty, charakter terapeuty i oczekiwania pacjenta. Myślę, że od tych oczekiwań zależy, czy osoba przychodząca na nasz spektakl poczuje jakiś rodzaj identyfikacji i faktycznie przeżyje coś autentycznego. Prywatna sesja terapeutyczna kosztuje ok. 200 zł, a u nas w cenie 50 zł są aż dwie!

Aktorzy biorą udział w „chamskich ustawieniach”. To pomysł bazujący na ustawieniach hellingerowskich – grupowym spotkaniu, którego uczestnicy odgrywają scenki z przeszłości danej osoby. Wielu psychologów uważa tę metodę za pseudoteorię i hochsztaplerstwo. Słusznie wyczułam, że postanowiliście ją obśmiać?

MA: – Ten spektakl to teatralne połączenie skojarzeń terapii zachodniej z ludowymi obrzędami i esejem

bardziej interesuje mnie zacieranie granicy między fikcją a realnością. Natomiast wierzę w terapeutyczną moc sztuki. Oczyszczenie zgniłej społecznej atmosfery można osiągnąć innymi środkami niż angażowanie aktorów w ustawienia hellingerowskie. U nas służy temu także kompozycja Kubu Ziółka i rozbudowane choreografie Oskara Malinowskiego, które przekazują emocje w pozawerbalny sposób.

Aktorki biorą z kolei udział w terapii skupionej na emocjach. Wy rozbiacie pięć tych emocji: smutek, histerię, gniew, radość i spokój. Co przez pryzmat każdej z nich chcieliście powiedzieć o Polsce?

AJ: – W rozdziale „Smutek” znalazły się opowieści naszych przodków, które zrymowały się z rozpaczą nad wycinką lasu, tym samym przekraczając ludzką perspektywę i wiążąc ten smutek z doświadczeniem egzystencjalnym. Histeria zaś kulturowo była reakcją przypisywaną kobietom ze względu na ich podejrzanie wysoką emocjonalność. Natomiast my wiążemy histerię z historią.

W „Chamstwie” puszczamy oko do widzów, zastanawiając się, czym w ogóle jest terapia historyczna.

antropologicznym. Jest w nim dużo karykatury i skrótów myślowych. Nasza terapia jest pół żartem, pół serio. Zachodni terapeuci często nie uznają czarów czy hipnozy i gardzą nimi. Ograniczają się do technik wywiadu, wyznań i tabletek, ale Torrey – badacz terapii na całym świecie – zauważył, że zakłęcie może odnieść równie leczniczy skutek. To otworzyło moją wyobraźnię na śpiewoterapię, psychodramę, hipnozę, masaż, biblioterapię czy warsztaty z krzyku. Mam wrażenie, że w „Chamstwie” jest paradoks: terapia jest tu ujęta w cudzysłów, a jednocześnie dochodzą do mnie opinie, że działa.

AJ: – Uważam metodę Hellingera za psychomanipulację i zawsze chętnie na jej temat ironizuję. Praca z aktorami i aktorkami w „Chamstwie” nie polegała na rozwiązywaniu ich osobistych traum. Nie lubię takiego zerowania na prywatności. W teatrze

Jest to być może jedyna prawidłowa reakcja na historyczną niesprawiedliwość, okrucieństwo i cierpienie. Z kolei po gniew sięgnęliśmy jako sygnał oporu i strategię buntu. Manifestuje się on dość nietypowo, jako parodia i drwina z tych, którzy nadużywają swojej pozycji władzy, u nas przybierają oni kształt słynnego antropologa i szlachcica Bronisława Malinowskiego. Za to w „Radości” sięgamy po tradycyjne sposoby przerywania ciąży i pokazujemy jej terminację jako źródło struktury samopomocy, którą od stuleci tworzyły między sobą kobiety. Związałyśmy aborcję z radością, żeby przełamać stereotyp mówienia o przerywaniu ciąży jako o złu koniecznym. Z tego uczucia ulgi i radości wynika ostatnia emocja: spokój.

Na czym polegała praca z emocjami?

MA: – Pierwsza część „Chamstwa” to praca nad refleksyjnością, ▶

► czułością, troską, braterstwem. Sporo w niej uśmiechu, na przekór maskulinistycznym stereotypom. Mężczyźni to statystycznie najczęstszy sprawcy przemocy, pracowaliśmy więc nad empatią. A u kobiet postawiliśmy na asertywność. Do opisania uczuć wynikających z ich doświadczenia wybrałem język poezji Anny Świrszczyńskiej. Poetka w niesamowity sposób odzyskuje kobiecość, cielesność, jest u niej bunt i siła – poszedłem tym tropem. Zaproponowałem też partytury różnych krzyków: od histerycznych po „pokrzyk-spokój”, bo dostrzegłem w nich cielesny, performatywny aspekt tych uczuć. Zastanawiałem się, na ile mowa, krzyk ciała i emocji

nad ujawnianiem nieoczywistych splotów. Nad uświadamianiem nam, że nie zawsze jesteśmy ofiarami przemocy, często stajemy się osobami, które ją reprodukują – chcąc nie chcąc, powielając pewne schematy. Celem naszego spektaklu było wydobycie na światło dzienne czegoś, co jest ukrywane i marginalizowane – „brzydkich” uczuć, których się wstydzimy, albo pozycji, z którą nie chcielibyśmy się identyfikować, ale się w niej znaleźliśmy.

MA: – Odejdźcie od przemocy widzę jak Stanisław Pigoń. Ten naukowiec przytacza historię z rodzinnej Komborni, którą zalała fala przemocy. Koniec chłosty nastąpił, gdy do wsi

AJ: – Wykorzystujemy śmiech jako wielostronne narzędzie. Żart manifestuje się i w języku, i w kostiumach projektowanych przez Ninę Sakowską, igrających z folklem i elementami zwierzęcymi. Na poziomie idei szyderstwo z autorytetów służy nam do stawiania oporu. Dlatego nigdy przedmiotem żartu i kpiny nie są u nas osoby o nieuprzywilejowanej pozycji. Nasze żarty nie są przypadkowe, mają rozmontować system władzy. Najbardziej interesuje mnie humor, który sięga do wstydlivych, zakopanych w nas uczuć i często stawia nas w nie do końca komfortowej sytuacji, jednocześnie działając uwalniająco.

„Chamstwo” pokazuje, że przemoc wpisana jest również w język, którego używamy. Czy zmiany w Polsce upatrujecie także we wprowadzaniu do niego odgórnych modyfikacji, czy jest on jednak samozmieniającą się tkanką?

AJ: – O ile bardzo wiele wykluczających i przemocowych mechanizmów zaklętych jest w języku, o tyle jeśli chodzi o kierunek na przyszłość, staram się nie myśleć o nim aż tak poważnie. Uważam, że przede wszystkim powinien on być polem do zabawy, a nie Starym Testamentem, w którym nie można przekreślić ani litery. Szczególnie w teatrze, gdzie możemy bawić się neologizmami i wymyślać nowe konstrukty znaczeniowe, ujawnia się jego emancypacyjna moc.

MA: – Pigoń porównał języki do roślin, z którymi żyjemy w symbiozie. Podmioty medialne o dużym zasięgu są w stanie stymulować językowe tendencje, kreować narracje, ale odgórna kontrola języka jest – moim zdaniem – ostatecznie skazana na porażkę, ponieważ jest to jedna z bardziej żywych materii, która cały czas ewoluuje. Wolność słowa jest jednym z głównych powodów, dla których zajmuję się sztuką. Ważne, by nie trzymać języka za zębami, ale wywalać go, obgadywać, dekonstruować, rozgrzebywać, czarować, przechwytywać, obśmiewać. Ważna jest praca z językiem, branie go z całym jego dobrodziejstwem, a potem rozsadzanie od środka.

Dominika Tworek



może zastąpić wycięte ludowe opowieści oraz stać się nośnikiem historycznych treści i znaczeń.

Jak wy widzicie odejście od przemocy w Polsce i gdzie ulokowałbyście emocje, które ją wywołują?

AJ: – Jej całkowite wyeliminowanie nie tylko jest niemożliwe, ale nie wiem nawet, czy potrzebne – obrazy przemocy w filmach i grach komputerowych spełniają wiele funkcji. Natomiast niezwykle cenne są sposoby rozładowywania naszych emocji. Reprezentacje przemocy, z którymi obcujemy dzięki sztuce, czasem sprawiają, że nie wyrządzamy krzywd na co dzień albo zaczynamy rozumieć to, co w życiu społecznym wyparte. Nie uważam, że teatr jest koniecznym miejscem stawiania jednoznacznych diagnoz albo podsuwania gotowych rozwiązań. Sądzę, że sztuka powinna pracować

przybył chłop znachor i zaczarował ludzi na placu, tak że sparaliżowało im ręce i spirala przemocy magicznie się zatrzymała. To oczywiście legenda. Myślę, że przemoc jest wpisana w patriarchalną hierarchię. Odejście od przemocy wymagałoby odejścia od hierarchii – a do tego potrzeba czarów.

Na przekór ciężkiemu esejowi historycznemu Kacpra Pobłockiego postanowiliście się zabawić humorem. Nietypowym jak na Polskę, bo nie ma w nim nic kabaretowego. Wasz dowcip jest wypełniony ironią i absurdem. Śmiech ma uwalniać, pełnić funkcję oczyszczającą?

MA: – Śmiechu jest faktycznie dużo i jest on bardzo różny: błyskotliwy, niemądry, toksyczny, zażenowany, szczery, obronny. Myślę, że może też przynosić ulgę i być dla niektórych oczyszczającym.

KURTYNA W GÓRĘ

Europa na krawędzi



Monodram powstał z fascynacji prozą Sán-dora Máraia, zwłaszcza czwartą częścią cyklu „Dzieło Garrenów”, nawiązującego do klu-czowych dla Europy wstrząsów politycznych związanych z dojściem Hitlera do władzy. Autor stawia tezę, że lekceważenie kultury i całego dorobku ludzkości, a także lekcewa-żenie potrzeb jednostki legło u podstaw tego niebezpiecznego zwrotu, bohaterem czyni zaś wrażliwego intelektualistę wpatzonego we wzorce zachodniej kultury.

Dariusz Wnuk z talentem przekazuje inten-cje autora, daje też pokaz dojrzałego warszta-tu (m.in. scena, w której rekonstruuje psycho-patyczny styl przemówień Hitlera), trzymając widza w napięciu i zapraszając do refleksji, do snucia analogii między sytuacją sprzed niemal wieku, gdy Europa znalazła się na krawędzi, i dzisiejszym światem zmagającym się z roz-pętą przez Putina wojną w Ukrainie.

A jednak w monolog bohatera wkrada się pewien dysonans – konserwatyizm Máraia, je-go homofobiczne przekonania i arystokratyzm duchowy (jedynie „stary” Zachód ma prawo do przywództwa) rodzą pytania, czy to nie są idee, które dzisiaj przypominają nawoływania populistów i przeciwników racjonalnej myśli.

Tomasz Miłkowski

Sándor Márai, „Znieważeni”, tłumaczenie Teresa Worowska, reżyseria Przemysław Bluszczy, Teatr Ateneum, Scena 61, premiera 28 stycznia 2023



Arka bez Noego

Po decyzji wojewody mazowieckiego zawieszającej dyrektorkę Monikę Strzępkę w Dramatycznym już druga premiera. Eks-peryment trochę bulwersujący, bo podważa ustalony porządek, w którym człowiek jest Panem. To opowieść o innej relacji nas z na-turą. Jest w niej trochę satyry, bo mamy np. rozmowę ludzko-kurzą, ironicznie wygłaszane naukowe teksty przyrodnicze, a nawet próbę rekonstrukcji filmu „Grizzly Man” Wernera Herzoga. Każdy otrzymuje też mapę, jak trafić do Ostatniej Przystani.

Bronisław Tumiłowicz

„Arka i ego”, reżyseria Lucy Sosnowska, Teatr Dramatyczny m.st. Warszawy, Mała Scena, premiera 16 lutego 2023

NA POWAŻNIE

ZASŁUCHAJ SIĘ

Odkrycie „Fedry” Pendereckiego

Światowe prawykonanie świeżo znalezionych szkiców opery Krzysztofa Pendereckiego „Fedra”, którą zamówiła u naszego kompozytora Opera Wiedeńska, było sensacją koncertu zespołów Chóru i Orkiestry Filharmonii Narodowej. Te kilkanaście minut nieznanej dotąd muzyki dowodzi, jak wspomniałem, wyrafinowanym dziełem mogła być „Fedra” oparta na klasycznym dramacie Jeana Racine’a. Odkryte nuty opracował dyrygent i przyjaciel kompozytora Jurek Dybał. On również zaaranżował w formie suity wybrane części orkiestrowe opery „Ubu Rex” tego twórcy.

Bronisław Tumiłowicz

Krzysztof Penderecki, „Szkice do opery Fedra”, „Suieta z opery Ubu Rex”, dyrygent i autor opracowania Jurek Dybał, Chór i Orkiestra Filharmonii Narodowej, koncerty 17 i 18 lutego 2023



Sinfonia Varsovia Chamber Way

Jak znakomitych instrumentalistów zatrudnia orkiestra Sinfonia Varsovia, można się przekonać, słuchając płyty prezentującej kameralne zespoły wyłonione z symfonicznego składu. Jest kwartet smyczkowy, kwintet dęty i połączone zespoły wspólnie z „blachą”, czyli Varsovia Brass. Grają muzykę kompozytorów warszawiaków, a nawet zaaranżowane piosenki Henryka Warsa i „Sen o Warszawie” Niemena.

Franciszek Jacik

Kolumnę przygotowała Agata Gogotkiewicz

Radio i TV w internecie

Dziś w sieci nadają nawet rozgłośnie będące w eterze od lat,
prym wiodą jednak nowe stacje.
Tu nie osiągną ich macki partyjnej cenzury

Kornel Wawrzyniak

Wielu fanów radia – są tacy, choć mogą się wydawać gatunkiem prawie wymarłym – pamięta 15 maja 2020 r. jak sen, w którym chodzi się nago po szkole. Wtedy skończyła się pewna era. Wszystko przez zamieszczenie z Listą Przebojów Trójki prowadzoną przez Marka Niedźwieckiego. Poszło o piosenkę Kazika „Twój ból jest lepszy niż mój”, która wygrała zestawienie. Utwór jest krytyką prezesa Kaczyńskiego za odwiedzinę na cmentarzu Powązkowskim podczas obostrzeń covidowych. Wyniki głosowania na listę anulowano następnego dnia. Dyrektor rozgłośni Tomasz Kowalczewski sugerował, że autorzy programu manipulowali przy głosowaniu. Niedźwiecki nie odpowiedział na te insynuacje i chociaż był w Trójce od końca lat 70., po prostu odszedł. Nadgorliwość Kowalczewskiego, który zachował się jak spanikowany partyjny aparatczyk, skomentował wtedy eksredaktor z Myśliwieckiej Michał Nogaś: „Publicznie gratuluję dyrektorowi Trójki, że jednym matym ruchem doprowadził do takiej rozpierduchy, że zwolnił się Marek Niedźwiecki. YOU ARE AWESOME, Kowal, seriously”.

Miesiąc wcześniej z Trójki niespodziewanie zwolniono dziennikarkę muzyczną Annę Gacek. Bałagan i medialny szum wokół sprawy. Napięcie w stacji narasta. Dziennikarze solidaryzują się z koleżanką. Dwa dni później odchodzi zasiadający od 55 lat przy trójkowym mikrofonie Wojciech Mann, a po nim kolejni dziennikarze, m.in. Jan Młynarski i Jan Chojnacki, oraz Wojciech i Bartosz Waglewscy. Jednak już w lipcu zaczyna nadawać Radio Nowy Świat, czyli internetowa

stacja finansowana z wpłat słuchaczy. Jak łatwo się domyślić, rozgłośnie zakłada grupa byłych dziennikarzy z Myśliwieckiej. Pierwszy program podczas startu radia prowadzi właśnie Mann. W połowie 2020 r. kolejna fala odejść z Trójki. Jeszcze jedna ekipa, a w niej Marek Niedźwiecki, ogłasza, że chce odpalić internetową rozgłośnie. W styczniu 2021 r. startuje więc Radio 357. Tak samo jak RNS finansowane jest z wpłat w serwisie Patronite, który służy do wspierania różnych projektów przez fanów.

Obydwie rozgłośnie oprócz tego, że nie nadają w eterze, działają jak regularne radio. Różnica jest taka, że sygnał wędruje światłowodem. Technicznie jest to rozwiązanie lepsze, bo ulubionej stacji można słuchać wszędzie, w dowolnym zakątku globu, byle był internet – wystarczy

merytoryczna. Sieć można potraktować jako przyczółek wolności słowa, gdzie nie obowiązują kary KRRiTV ani nie grozi odebranie koncesji na nadawanie. Interweniować mogą jedynie platformy streamingowe, na których twórca zdecyduje się nadawać. Jednak, jak podkreślał niejednokrotnie na naszych łamach Jakub Dymek, wszystko to są prywatne spółki. Oczywiście weryfikacja treści, np. siejących nienawiść, może wreszcie doprowadzić do zablokowania konkretnego nadawcy, ale nie dzieje się to sprawnie.

Na początku lutego serwis YouTube usunął za szerzenie nienawiści kanał Telewizja Media Narodowe związany z Robertem Bąkiewiczem. Nie jest to bynajmniej osiągnięcie korporacji, lecz jedynie jej reakcja na raport Stowarzyszenia Nigdy Więcej, które przeanalizowało programy

Większość internetowych rozgłośni działa dzięki wpłatom słuchaczy. Ma to ogromny plus – brak reklam.

mieć telefon lub komputer z dostępem do sieci. I tu paradoks. PiS od 2016 r. konsekwentnie wykańczało radiową Trójkę i zupełnie przez przypadek spowodowało, że otworzyły się dwie kolejne. Tyle że nowocześniejsze i bez kagańca, jakim jest Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, która zamiast bronić wolności słowa, dba o partyjne interesy.

Niestety, nie każde medium pojawiające się w internecie prezentuje taką jakość jak rzeczony rozgłośnie. Telewizję czy radio w wersji mocno chałupniczej można dzisiaj stworzyć, mając niewielki budżet, kilka tysięcy złotych. Lecz nie jakość audiowizualna stanowi problem, tylko warstwa

nadawane przez Media Narodowe w 2021 i 2022 r. To oznacza, że nienawistne filmy wisiły w portalu nawet dwa lata. Ludzie Bąkiewicza zapowiadają kroki prawne wobec Google’a, aby odzyskać możliwość nadawania w serwisie. Ekipa MN stawia się w roli pokrzywdzonych. W 2021 r., kiedy za szerzenie nienawiści straciła wynajęty od m.st. Warszawy lokal, uderzała w podobne tony.

Zdarza się też, że w internecie interweniują służby. W maju 2022 r. za szerzenie prorosyjskiej propagandy Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zablokowała serwis wRealu24 i inne strony należące do Marcina Roli. Wyjątkowo niepokojącym



przypadkiem na YouTube są programy nadawane przez patostreamera Wojciecha Olszańskiego, nazywanego „Jaszczurem”, który przewodzi faszyzującej i proradyjskiej organizacji Rodacy Kamraci. Jego kanał udaje studio telewizyjne, do którego można nawet dzwonić. Ciągłe powroty patostreamera na kolejnych kontach w serwisie świadczą o tym, że YouTube nie radzi sobie z blokowaniem ekstremalnych treści.

W sieci znajdziemy również media, których zadaniem jest utwierdzanie swojej bańki w przekonaniu, że „my mamy rację, a nie oni”. Takie stacje tworzone są często przez osoby z poczuciem misji, ale niekoniecznie znające się na rzeczy. Projekty te nie mają zbyt długiego życia. Przykładem jest los telewizji Obywatele.News. „Nasza telewizja internetowa zostanie zawieszona. Wobec braku możliwości sfinansowania profesjonalnej ekipy prowadzącej studio większości prac realizacyjnych podjąłem się sam, uznając, że wytrzymamy w ten sposób do czasu, kiedy uruchomiwszy podstawowe cykle produkcyjne – co najmniej godzinę premierowych programów dziennie – uda nam się pozyskać wpłaty na poziomie wystarczającym, by za tę pracę zapłacić. Doprowadziłem więc do tego, że dzisiaj nie ma komu tego zrobić. To dla mnie porażka, ale uczciwość wymagała, abym to ogłosił”, mówił „Gazecie Wyborczej” w 2021 r. Paweł Kasprzak, jeden z liderów ruchu Obywatele RP.

Internetowego wydania radia słucha codziennie ok. 2,3 mln osób. Liderem jest RMF FM, za nim Radio 357 i Radio Nowy Świat.

Również Halo.Radio, reklamujące się jako medium obywatelskie, nie wytrzymało próby czasu. Projekt znanego z Superstacji Kuby Wątlego zebrał na start ponad 400 tys. zł, a po uruchomieniu radia w październiku 2019 r. miesięczna kwota wsparcia utrzymywała się na poziomie 50 tys. zł. Kłopoty rozgłośni zaczęły się w 2020 r., kiedy ze stacji odeszło jednocześnie kilkunastu dziennikarzy. Byli współpracownicy oskarżali Wątlego o despotyzm, konfliktowość, mobbing i problemy z wypłacaniem pensji. Także słuchacze stracili zaufanie do medium, co było widać po drastycznie malejących z miesiąca na miesiąc wpłatach.

Internet niektórzy mogą postrzegać jako substytut. Jaka jest więc skala działalności mediów internetowych? Jeśli mówimy o największych nadawcach, to miesięczne kwoty, jakimi dysponują rozgłośnie, zahażają już o miliony. W pierwszy dzień 2023 r. Radio 357 ogłosiło, że „jest największym na świecie projektem medialnym finansowanym społecznie”. Ekipa ze Słowackiego 19A prześcignęła amerykański True Crime Obsessed, który był do tej pory największą marką finansowaną przez fanów. Niecałe dwa miesiące później kolejny sukces – dwa i pół

roku od startu 357 przekroczyło kwotę 20 mln zł na swojej zbiorce w serwisie Patronite. To daje miesięcznie ponad 881 tys. zł, które wpływają od prawie 50 tys. patronów. Nie można też zapomnieć o Radiu Nowy Świat, które zebrało do tej pory 22,6 mln zł od 34 tys. mecenasów. Były redaktor Trójki Dariusz Rosiak, laureat nagrody Dziennikarz Roku Grand Press 2020, ze swoim podcastem „Raport o stanie świata” dostaje od patronów ponad 100 tys. zł miesięcznie na rozwijanie projektu. Widać zatem, że odbiorcy są głodni jakościowych treści, za które chętnie płacą.

Według Krajowego Instytutu Mediów internetowego wydania radia słucha codziennie ok. 2,3 mln osób.

Liderem jest RMF FM z udziałem 20%, co daje 450 tys. słuchaczy. Kolejne są będące niecałe trzy lata na rynku Radio 357 (284,9 tys.) i Radio Nowy Świat (210 tys.). Dla porównania – Radio ZET ma 171 tys. słuchających dziennie, a „wspomnienie” po radiowej Trójce znalazło się w drugiej dziesiątce z wynikiem 35,7 tys. słuchaczy. Warto wymienić jeszcze komercyjną rozgłośnię Newonce, która może się pochwalić słuchalnością na poziomie 200 tys. odbiorców. To bardzo ambitny projekt, w którym na początku działalności programy mieli Kuba Wojewódzki wraz z Piotrem Kędzierskim czy prof. Adam Bodnar. Newonce współpracuje z różnymi luksusowymi markami, m.in. Porsche.

Większość wymienionych rozgłośni działa dzięki finansowaniu słuchaczy. Ma to ogromny plus – brak reklam. Zapewnia poza tym niezależność od korporacji i polityków w warstwie merytorycznej. Można powiedzieć, że słuchacze czy widzki zyskują dzięki rozwojowi mediów internetowych. Szkoda w tym wszystkim tylko radiowej Trójki, która nawet po zmianie władzy nie wróci już do dawnej świetności.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

Najpierw mieszkanie

W naszym systemie zarządzamy bezdomnością, zamiast ją zakończyć



Dorota Bidzińska

– Zima to sezon zainteresowania bezdomnością – mówi Julia Wygnańska z Fundacji Najpierw Mieszkanie. – Ale tego kryzysu nie da się zakończyć, działając tylko podczas mrozu, na skróty.

– Śmierdzi schroniskiem, prawda? – pyta Marzenę od progu jej klient. Marzena Kamińska jest psycholożką. Pracuje z osobami w kryzysie bezdomności. Te słowa usłyszała od mężczyzny, którego odwiedziła w mieszkaniu socjalnym. Właśnie się wprowadził po długim czasie życia w placówkach.

– Pytanie było absurdałne, choć doskonale wiedziałam, o co mu chodzi. Pracuję w schronisku i znam ten charakterystyczny zapach, mieszaną ostrych środków dezynfekujących i tanich, skręcanych papierosów – wyjaśnia. – Mieszkanie było wysprzątane, w środku paliło się kadzidełko. Zapach schroniska nie był w domu, tylko w jego głowie. To pokazuje, jak trudno zamknąć za sobą rozdział „bezdomność”.

U Pawła też jest czysto i jasno. Trochę pusto, brakuje mebli, np. wieszaka w przedpokoju. – Już dawno powinienem bardziej się tu urządzić – mamrocze, nerwowo wyrwa mi z rąk płaszcz i rzuca na starannie

pościelony materac w rogu pokoju. – Ktoś by powiedział: człowieku, o co ci w ogóle chodzi? Przecież masz wszystko. Dom i pracę. Niedawno dostałem lodówkę i pralkę. Ale na co dzień jest mi cholernie ciężko.

Paweł ma około pięćdziesiątki. Mówi, że jego prawdziwe życie zaczyna się dopiero teraz. Że przez te wszystkie lata, jak każda osoba uzależniona, żył złudzeniami. I że zderzając się z rzeczywistością na trzeźwo,

Trudno powiedzieć dokładnie, ile osób w Polsce doświadcza bezdomności. Co dwa lata na zlecenie Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej przeprowadzane jest ogólnopolskie badanie ich liczby. Według ostatnich danych, zebranych w 2019 r. (po pandemii nie zorganizowano jeszcze kolejnej edycji), było to 30 330 osób. Jednak ci, którzy pracują z ludźmi na ulicy, przekonują, że ta liczba jest mocno niedoszacowana. Uwzględnia

Czasem spotykam się z osądem, że osoby w kryzysie bezdomności nie chcą dać sobie pomóc.

czuje się jak dziecko we mgle. – Gdyby nie pomoc Marzeny i ten program, na bank by mnie tutaj nie było.

Ponure statystyki

Co roku wygląda to mniej więcej tak samo. Gdy tylko temperatury spadną poniżej zera, w gazetach i programach informacyjnych pojawiają się nagłówki: „W pustostanie na ulicy Rybackiej w Lubaniu znaleziono dziś rano zwłoki kobiety”, „Ciało mężczyzny w śmietniku przy Pięciolinii. Bezdomny prawdopodobnie zmarł na mrozie”, „Mężczyzna zmarł w Grudziądzu. Na dramatyczny widok natknęły się dzieci”.

tylko tych, którzy korzystają z noclegowni, schronisk, pobierają zasiłki z pomocy społecznej lub są w kontakcie ze streetworkerami. Cała reszta pozostaje poza systemem.

Ale ważniejsze niż „ile?” jest „jak długo?”. Przywołane badania nie napawają optymizmem. Tylko jedna piąta badanych doświadczała bezdomności krótszej niż dwa lata. Prawie jedna trzecia pozostawała bez domu 5-10 lat, ale były też osoby w trwałym kryzysie: do lat 15 (12,64%), 20 (8,09%) lub nawet dłużej (6,05%). – W naszym systemie zarządzamy bezdomnością, zamiast ją zakończyć – kwituje te wyniki Julia Wygnańska.

Julia od lat popularyzuje model Najpierw Mieszkanie, który odwraca najpowszechniejsze w Polsce drabinkowe myślenie o wychodzeniu z bezdomności. Z reguły wygląda to tak, że osoba bez domu, zanim będzie mogła ubiegać się o lokal socjalny, musi udowodnić, że przeszła pełny proces reintegracji społecznej, wyszła z nałogów, podjęła pracę, nauczyła się odpowiedzialnego podejścia do codziennych obowiązków.

Ale jak możesz przestać pić, jeśli twój byt zależy w dużej mierze od pomocy współzależniom znajomych? Jak znajdziesz pracę i się w niej utrzymasz, jeżeli nie masz miejsca, w którym możesz wziąć prysznic, odpocząć, zebrać siły na kolejny dzień? I czy w ogóle będzie ci się chciało walczyć o dom, który po kilku latach życia na ulicy jawi się jako nieosiągalny cel, mający gdzieś na końcu mozolnej wędrówki? Psycholog kliniczny Sam Tsemberis – twórca metody Najpierw Mieszkanie – dowodzi, że człowiek jest gotowy wprowadzać radykalne zmiany poprawiające jakość jego życia tylko wtedy, gdy ma zaspokojoną podstawową potrzebę bezpieczeństwa, czyli dach nad głową, prywatność i możliwość decydowania o swoim życiu. Takie podejście z powodzeniem sprawdza się w Stanach Zjednoczonych (badania potwierdzają 80-procentową skuteczność), a w Finlandii pozwoliło niemal całkowicie zlikwidować bezdomność.

W Polsce rozwiązania w duchu Najpierw Mieszkanie stosowane są w mikroskali (dwa programy w Warszawie, w Krakowie, w Gdańsku i we Wrocławiu). I choć okazuje się, że łatwiej utrzymać się w mieszkaniu, które już się ma, niż do niego doskoczyć, to „łatwiej” wcale nie oznacza „łatwo”.

Ciężar klucza

Czasem jest to coś związanego z zainteresowaniami danej osoby: miniaturowy kwiatek albo kierownica samochodu. Innym razem coś z jej imieniem. – Kiedy przychodzę po raz pierwszy do nowego mieszkania osób, z którymi pracuję, jako prezent przynoszę breloczki do kluczy – mówi Marzena Kamińska. – Dla tych, którzy

zmagali się z bezdomnością, własne klucze mają ogromne znaczenie symboliczne.

Julia i Marzena nieraz były świadkami euforii, jaką wywołuje pozytywna decyzja o przyznaniu lokalu socjalnego. Doskonale zdają sobie jednak sprawę, że gdy te pierwsze emocje opadną, pojawi się niewiarygodny stres.

„To tak jakby osoba zawsze »domna« nagle musiała sobie poradzić z życiem w środku lasu. I jeszcze się z tego cieszyć i okazywać wdzięczność wszystkim, którzy jej pomogli”, opisuje swoje odczucia jeden z uczestników programu Ambiwalencja.

Program jest próbą odpowiedzi na wyzwania stawiane przez przeprowadzkę do mieszkania socjalnego po długim okresie bezdomności. Objętych nim zostało siedmiu mężczyzn w wieku 40-70 lat. Każdy ma za sobą dłuższy epizod życia na ulicy lub w schronisku, problemy z uzależnieniem. Jedna osoba wciąż jest na

co jeszcze chciałaby zrobić, żeby poprawić komfort swojego życia, i co jej w tym przeszkadza (może właśnie to picie?). To taki rodzaj pracy psychologicznej, który w schroniskach jest po prostu niemożliwy.

Zgodnie z założeniami programu uczestnicy zobligowani są do kontaktu z osobą wspierającą raz w tygodniu, ale szybko się okazało, że większość potrzebowała tych spotkań znacznie częściej. – Czasem spotykam się ze stwierdzeniem, że osoby w kryzysie bezdomności nie chcą dać sobie pomóc – zauważa Julia. – Nasz przypadek pokazuje, że wcale nie musi tak być.

Magnetyczna spirala błędów

Pawła ciągnęło do butelki od wczesnej młodości, ale całkowicie popłynął, kiedy umarła jego mama. – To była nagła śmierć – mówi, patrząc w jeden punkt gdzieś na ścianie. – Wypadła z okna. Niedługo po niej zmarł ojciec. Też był alkoholikiem, ale

Najgorsza jest samotność. Jak jestem w robocie, to jakoś leci. Ale jak mam dzień wolny, to nie wiem, co ze sobą zrobić.

ulicy. Dopiero niedawno zdecydowała się na złożenie wniosku o pomoc mieszkaniową. Marzena i Julia towarzyszą im i wspierają w codziennych trudnościach.

– Pływać trzeba się uczyć w wodzie – mówi Julia. – Nie da się odnaleźć w nowej rzeczywistości mieszkaniowej po długim kryzysie i trenowaniu różnych umiejętności na sucho.

– Żeby ten program zadziałał, musi być między nami dobra relacja – odpowiada Marzena. – A żeby zrodziła się relacja, człowiek musi wiedzieć, że jest decyzyjny. To może się wydawać kontrowersyjne. W schroniskach, by funkcjonowały poprawnie, niezbędne są regulaminy. To jak najbardziej rozumiame, ale jest i druga strona medalu. Nieraz słyszałam od osoby opuszczającej tego typu placówkę: „Nareszcie jestem wolny”. Przyznam, że mnie to zatrzaża. Cieszę się, że my możemy spotkać się z drugą osobą bez sprawdzania alkomatem, czy się dziś napiła, czy nie. Porozmawiać,

wtedy już nie pił. Ja za to nie trzeźwiałem. Jak zareagowałem na ponaglenie do zapłacenia czynszu? W sposób najgorszy z możliwych. Po pijaku człowiek jest głupi. Po prostu zabrałem się z mieszkania. Przez chwilę byłem w hostelu, potem trafiłem na ulicę.

Marzena pamięta dzień, w którym Paweł pojawił się w schronisku. To była Wigilia. – Jak w jakimś filmie – rzuca on, z krzywym uśmiechem. Ona akurat była w pracy: – Wyglądałeś strasznie. Szczerze? Myśleliśmy, że masz koło siedemdziesiątki.

– W schronisku stanąłem na nogi. Po jakimś czasie trafiłem do mieszkania treningowego, mogłem starać się o lokal socjalny – ciągnie swoją opowieść Paweł. – Udało się. Ale im bardziej zbliżał się termin przeprowadzki, tym silniejsze czułem napięcie. Nie wytrzymałem. Zapiłem. Gdyby nie pomoc Marzeny, to nigdy nie odważyłbym się pójść na swoje. Zaprosiła mnie do tego programu. Miałem pewność, że nie zostanę sam. ▶

► Problemy z uzależnieniem to niejedyne, z którymi przychodzi się mierzyć po przeprowadzce do samodzielnego mieszkania. – Nazywam to magnetyczną spiralą błędów – mówi Aneta Szarfenberg, ewaluatorka i badaczka kwestii społecznych, która w nagraniu na stronie Fundacji Najpierw badania przeprowadzonych po roku działania Ambivalencji. – Osoby w kryzysie bezdomności doświadczają trudności, które teraz dają o sobie znać. Pojawia się wezwanie do zapłaty zaległego mandatu lub ryzyko odwieszenia wyroku. Jeden z uczestników programu kilka lat temu odsprzedał komuś swój dowód osobisty i na ten dokument został wzięty kredyt. Zamknięcie przeszłości okazuje się bardzo trudne.

Na ulicy nie ma czegoś takiego jak wolny czas. Cały dzień masz zagospodarowany. Musisz myśleć, jak zorganizować podstawowe sprawy: lokum, żywność.

Julia zauważa, że tematem, który najczęściej podejmują uczestnicy w ramach spotkań z nimi, są kwestie zdrowotne – dolegliwości fizyczne i psychiczne.

– Wiele osób opowiadało mi, jak budzą się i przypominają im się konkretne sytuacje z doświadczenia bezdomności, np. pobicia – dodaje Aneta. – Jeden mężczyzna podzielił się ze mną taką historią: w autobusie został w niewybrednych słowach poproszony, żeby wysiadł, a kiedy już zbierał się do wyjścia, ktoś wyrzucił go i leżącego na przystanku zaczął kopać. „To jeszcze nie było najgorsze – cytuję dokładnie, co mówił – bo miałem już takie sytuacje, że zostałem pobity, bo pewnie kwiatkami nie pachniałem i to im przeszkadzało. Ale on mnie kopał, a na tym przystanku stały kobiety i zaczęły bić brawo. To mnie rozwalilo”.

Domny, czyli jaki?

– Nie piję. Ale powiem ci wprost: trochę jadę na dupościsku – rzuca w pewnym momencie Paweł. – Najgorsza jest samotność. Jak jestem w robocie, to jakoś leci. Ale jak mam dzień wolny, to nie wiem,

co ze sobą zrobić. Dostałem mieszkanie w dzielnicy, w której dawniej mieszkałem – ostatni mój adres zameldowania – tak działają przepisy. Znam tu wszystkich, bo przecież z nimi piłem. Fajni ludzie, z niektórymi chętnie bym posiedział, pogadał. Tylko co zrobić, jak zaraz pojawi się propozycja: „A może skoczmy na piwko?”. Za duża pokusa. Siedzę więc w czterech ścianach i mnie zżera. Gdzie pójść po pomoc? Do OPS? I co ja powiem tym panienkom? Że mi smutno? Żeby mi nasek wytarty? Proszę cię! Nie chcę być śmieszny!

– Na ulicy nie ma czegoś takiego jak wolny czas – tłumaczy mi Marzena. – Cały dzień masz zagospodarowany. Nieustannie musisz myśleć o tym, jak zorganizować podstawowe sprawy: jakieś lokum, żywność,

bezpieczeństwo. Kiedy wprowadzasz się do mieszkania, to nagle pojawia się pytanie, co zrobić ze sobą, gdy wracasz po pracy do domu.

Julia z jednym ze swoich uczestników wybrała się na spotkanie lokalnego klubu seniorów działkowców. Mężczyzna, z którym pracuje Marzena, kiedyś bardzo lubił filmy, ale już tak dawno nie był w kinie, że wstydził się tam pójść. Pokazała mu, gdzie jest kasa biletowa, gdzie sala, gdzie numery miejsc. Następnym razem to on prowadził.

Tymczasem po roku działania programu Ambivalencja jego finansowanie stanęło pod znakiem zapytania. Wniosek o przyznanie środków z budżetu miasta stołecznego Warszawy z „konkursu przeciwdziałania uzależnieniom wśród osób doświadczających bezdomności” został odrzucony. W uzasadnieniu decyzji argumentowano, że skoro środki przeznaczone są dla osób bezdomnych, nie można ich przyznać na pomoc osobom, które przebywają w mieszkaniach, więc formalnie z bezdomnością nie mają już nic wspólnego. Ci ludzie zniknęli z rejestrów. Fakt, że z łatwością mogą znaleźć się w nich z powrotem, nie

ma dla urzędników znaczenia. Podobnie jak to, że powrót na ulicę, gdy podjęto się tak wielki wysiłek, musi być doświadczeniem druzgocącym.

– Domność to nie posiadanie umowy najmu na mieszkanie miejskie – złości się Julia. – Domność to bycie w mieszkaniu i posiadanie umiejętności niezbędnych do tego, żeby w nim funkcjonować. Tak w nim być, żeby go nie stracić, nie wrócić na ulicę.

W tym momencie realizacja programu jest kontynuowana dzięki wsparciu prywatnych darczyńców. – Nadal staramy się o dofinansowanie z miasta, składamy oferty. Niestety, bez wyraźnych sukcesów – przyznaje Julia.

Nauka pływania

Liczą się nawet najdrobniejsze sukcesy. – Jeden z panów, których odwiedzam w ramach programu, kupił sobie niedawno nowy mop – opowiada Julia. – Podkreślał: „Porządny! Wcale nie najtańszy!”. Prawdę mówiąc, nie do końca potrafi nim sprzątać. Bardziej rozmazuje brud, niż go zbiera. Ale dla mnie ważne jest to, że wyszedł z inicjatywą.

– Żeby przetrwać w patologicznym środowisku lub na ulicy, trzeba mieć ogrom zasobów – tłumaczy Marzena. – Czasem to są cechy stygmatyzowane: roszczeniowość czy upór w nagabywaniu innych o pomoc. Ale przecież wystarczy je konstruktywnie przemodelować. Tak żeby nie krzywdzić innych, a działać na swoje dobro. Jak rozumiem naszą rolę w tym projekcie? Nie chodzi o jakieś cudowne wlanie niezbędnych zasobów w te osoby. Przecież one już je mają. Każdy człowiek ma naturalne predyspozycje, żeby pływać. Tylko na początku ktoś musi go nauczyć, jak to się robi.

– Hej, usłyszysz się jeszcze dzisiaj? – pyta na odchodne Marzenę Paweł, kiedy wychodzimy z jego domu.

Dorota Bidzińska

Poza osobistymi rozmowami wykorzystałam w tekście fragmenty wypowiedzi ze spotkania podsumowującego rok realizacji projektu Ambivalencja, które było transmitowane na stronie FB Fundacji Najpierw Mieszkanie.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Kopalnia Wujek i Biden

Dwa dni w Katowicach. Gdy wychodzi się z dworca, panorama ulicy, secesyjne domy, dostatnio i elegancko, jakby już w zachodniej Europie. Tak sówką do kopalni Wujek. Szyb i wielkie, stalowe koło z liną, a więc to, z czym najbardziej kojarzy się kopalnia, i ceglane górnicze domy. A przy murze kopalni krzyż upamiętniający zabitych górników. Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, elegancki pawilon przylegający do kopalni, która podobno jest już wygaszana. Gromadzą się ludzie, sala wypełniona po brzegi, krząta się młoda pani Monika, odpowiedzialna za spotkanie. Przez telefon wydawała mi się usztywniona i niepewna, a okazuje się, że była tylko bardzo przejęta, bo od lat czytelniczka moich felietonów. Przy stole prezydialnym obok mnie siedzi poeta W., wita się, ogromnie mnie komplementując, potem będzie tego żałował.

Spotkanie wokół antologii wierszy o śmierci górników w kopalni Wujek 16 grudnia 1981 r. Jest w tym zbiorze mój wiersz, bardzo emocjonalny, nigdy nie będę go więcej publikował, bo trochę wstyd. Poeta W. też ma wiersze o tej tematyce w antologii. Siwe włosy i siwa broda, pocziwie, sympatycznie wygląda. Czytanie wierszy, dyskusja, a potem poeta W. wygłasza opinię, że wojna na Ukrainie „to nie nasza wojna, że oni mordowali Polaków. Że Magdalenka to był spisek, że europarlamentarzyści opozycji to targowica, a Polak to tylko katolik”. O mało co nie dostałem udaru i wygłosiłem dłuższą mowę, kończąc ją tym, że górnicy zginęli za wolną i demokratyczną Polskę, a nie skłóconą, rozdartą i wroga sobie nawzajem. Jaka jest teraz. Jesteśmy podzielnymi, tak jak byliśmy w stanie wojennym. Poeta W. coś mamrotał pod nosem, a przerażony prowadzący i pani Monika wołają: tylko nie o polityce, nie o polityce! Już wcześniej mnie błagali: byle nie polityka, nie polityka. Jak się zdaje, mają już bogate doświadczenie ze spotkań, które przeradzają się w pyskówki. Po spotkaniu w kopalni kilka osób podeszło do mnie, gratulując wystąpienia, w tym górnik, przywódca strajku grudniowego. Wiele serdeczności od czytelników, z różnych epok mojego pisania. Przez lata sieje się ziarna bez wiedzy, że one gdzieś wykiełkują.

Monika pokazuje mi wystawę w podziemiach pawillonu. PRL, stan wojenny, wszystko nowocześnie pokazane, jest nawet prawdziwy czołg T-34, takie czołgi zaatakowały kopalnię. Ale najbardziej mnie wzrusza metalowy automat telefoniczny, przenosi w przeszłość jak słynna magdalenka Prousta. Przypominam sobie czas słynnej nocy, nie miałem wtedy w domu telefonu. Ktoś przed północą

zapukał do drzwi i uprzedził, że coś się dzieje. Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, to pobiegłem przez mróz i śnieg do sąsiedniego bloku, gdzie wisiał automat telefoniczny. Był martwy. Wiedziałem też, że już nie działa telewizja. Pamiętam mdły zapach słuchawki, a w niej mroźny oddech otchłani. A więc zaczęło się. Kiedy teraz podnoszę słuchawkę w muzeum, czuję zapach tamtej nocy.

Dostaję dwie grube książki o wydarzeniach w kopalni Wujek. Potężne tomy wydane przez centrum: relacje, wspomnienia, fotografie. Czy to jednak nie przesada z tą martyrologią? Z hodowaniem ran? W wydarzeniach krakowskich 6 listopada w 1923 r. zginęło kilkadziesiąt osób. Robotnicy, żołnierze i policjanci. W zamachu majowym kilkaset. Stan wojenny był traumą dla Polski, też dla mnie, ale teraz widzę – wtedy tego nie widziałem – że jak na skalę operacji był zrobiony w rękawiczkach. W podobnych operacjach, choćby w Chile, ginęły tysiące ludzi, wielu było dręczonych i torturowanych. Teraz przychylam się do tezy, że zamordowanie górników

Przychylam się do tezy, że zamordowanie górników było czyjąś nadgorliwością, paniką pacyfikujących, a nie celowym działaniem najwyższych władz.

było wypadkiem przy pracy, czyjąś nadgorliwością, paniką pacyfikujących, a nie celowym działaniem najwyższych władz. Oni nie byli idiotami, a to wydarzenie w skali krajowej i międzynarodowej było dla władzy katastrofą. A samo spotkanie w sumie optymistyczne, jesteśmy podzieleni, ale po tamtej stronie bardzo kiepska jakość umysłowa i moralna.

Joe Biden w Kijowie, a potem w Warszawie. PiS w rozpacz, bo niespodziewana, sensacyjna wizyta w Kijowie zabiera Warszawie dużo blasku. A chcieli na Bidenie skorzystać politycznie. I tak skorzystają, niestety. Zapomnieli, jak wielbili Trumpa, jak rozpaczali, że Biden został prezydentem. Wystąpienie Dudy przed Bidenem, sprawnie wygłoszone, ale co za mina, chwilami widziałem Mussoliniego. Ile godności, dumy, ile mocy w tym słabym człowieku i polityku. Największa tajemnica mediów rządowych, że Biden spotkał się z Trzaskowskim i Tuskiem. Biden miał powiedzieć: „Donaldzie, będziemy bronić solidarnie wolności i demokracji. Zawsze i wszędzie”. Zła wiadomość dla PiS.



Rozmowy (o) przyszłości

Chat GPT-3 miał być rewolucją i już się nią stał.
A z rewolucjami bywa tak, że nie da się przewidzieć ich skutków

Mateusz Mazzini

Należy zacząć od szybkiego rozbrojenia głównego mitu na temat upublicznionego w listopadzie narzędzia konwersacyjnego autorstwa OpenAI. Chat GPT-3 ani nie pojawił się na rynku, ani nie zmienił naszej rzeczywistości z dnia na dzień. Choć faktycznie szeregowy użytkownik internetu uzyskał do niego dostęp zaledwie kilka tygodni temu, w środowisku programistów, ale też ekspertów zajmujących się sztuczną inteligencją, o rozwoju tego narzędzia mówiło się od lat. Pisaliśmy zresztą o tym na łamach PRZEGLĄDU jesienią 2020 r., gdy Chat GPT-3 wszedł na dobrze nam znane dziennikarskie terytorium. Na łamach brytyjskiego dziennika „The Guardian” opublikowano wówczas felieton – nie suchą notkę informacyjną, ale tekst zawierający

sformułowania nacechowane emocjonalnie – napisany właśnie przez ten duży model językowy (Large Language Model, LLM). Zadawaliśmy wówczas sobie i czytelnikom pytanie, czy to już koniec dziennikarstwa, skoro maszyny są w stanie pisać teksty o charakterze ocennym.

Konkluzja była jeszcze wtedy dość optymistyczna (z ludzkiego punktu widzenia). Na korzyść homo sapiens przemawiał fakt, że modelowi wciąż trzeba było ręcznie podawać wskazówki, jego odpowiedzi były płytkie i mało przekonujące, a od generalnej sztucznej inteligencji, czyli technologii zdolnej całościowo operować autonomicznie, miały nas dzielić jeszcze dekady.

Prosty, ale skomplikowany

Minęły jednak nieco ponad dwa lata i powodów do optymizmu

ubywa. Chat GPT-3 już wywołał rewolucję w użytkowaniu internetu. Z punktu widzenia użytkownika końcowego budowę ma bardzo prostą. Jeśli akurat uda nam się do niego dostać, bo serwery OpenAI są permanentnie przeciążone, możemy wydać mu właściwie dowolne polecenie, które da się zrealizować w formie tekstowej. Chatbot odpowie na pytania ściśle informacyjne, ale też wykona działania kreatywne. Jest w stanie napisać wiersz w konkretnym stylu, słowa piosenki przypominające twórczość znanych wykonawców, ba, scenariusz odcinka serialu. Radzi sobie z łamaniem zasady decorum, dobrze miesząc gatunki, jak w przypadku napisania kilku scen znanego amerykańskiego sitcomu „The Office”, które wyjątkowo działa się w siedzibie Prawa i Sprawiedliwości. Momentami zaproponowane gagi były czerstwe, ale całość miała

nie tylko sens, lecz również widoczne humorystyczne zabarwienie. Nawet więc jeśli GPT-3 nie oferuje nam jeszcze idealnej nowej wersji rzeczywistości, doskonale sobie radzi z przeciętnej jakości zamiennikami. Cóż, od czegoś trzeba zacząć.

Samo to jest już zjawiskiem wartym analizy, bo przecież nie na każdym etapie ludzkiej pracy trzeba wymyślać rzeczy na nowo albo tworzyć oryginalne treści. Najlepszym przykładem płaszczyzny, na której liczy się przede wszystkim zrozumienie i częściowe przynajmniej odtworzenie tego, co już ludzkości znane, jest edukacja. I właśnie apokaliptyczne wizje przyszłości szkoły pojawiły się po udostępnieniu GPT-3 za darmo. Chatbot oczywiście nie jest w stanie zrobić niczego sam, a na swoim bieżącym poziomie rozwoju nie robi też niczego, czego jeszcze nie umie człowiek. To pierwsze jest jednak marnym pocieszeniem, to drugie zaledwie kwestią czasu.

Dlatego takie opinie jak Stephena Marche'a, kanadyjskiego kulturoznawcy, który na łamach magazynu „The Atlantic” w grudniu 2022 r. alarmował o nadchodzącej śmierci tradycyjnego modelu uczenia w naukach społecznych i humanistycznych, nie są już ani odosobnione, ani do końca pozbawione racji. Czy naprawdę sztuczna inteligencja zabije szkołę, uniwersytet, a w dalszej perspektywie ludzkość?

Kreatywni mogą wyginać

Jeśli cokolwiek z tych procesów się wydarzy, to zapewne nieprędko. Oczywiście zdanie to może zaraz brzydko się zestarzeć, bo rozwój LLM-ów i tzw. generatywnej sztucznej inteligencji jest znacznie szybszy, niż się wydaje większości komentatorów, ale na potrzeby tego tekstu założmy, że w tej chwili tradycyjny model oświaty ma jeszcze szansę przetrwać. Żeby tak się stało, musi, no cóż, bardzo szybko się zmienić. GPT-3 jest przede wszystkim doskonałym narzędziem syntetycznym, jego „wkład” to skomasywana zawartość całego internetu, połączona m.in. z angielską wersją Wikipedii i dwiema bazami danych

zawierającymi nieopublikowane nigdzie indziej powieści. Nie jest jeszcze na stałe podłączony do sieci, jego kontakt ze światem zewnętrznym zakończono w lipcu 2021 r., czyli chociażby o wojnie w Ukrainie nie wie nic.

Ponieważ opiera się na wiedzy internetowej, to jeśli informacje są szczątkowe, odpowiedź będzie ich wiernym odbiciem. Na przykład autora tego tekstu GPT-3 myli z innymi członkami rodziny, tworząc amalgamat wszystkich ich życiorysów. Problem w tym, że zadania w szkole lub na uczelni rzadko dotyczą tematów, o których w internecie jest niewiele albo nic. A że chatbot pisze z sensem, do odrabiania zadań domowych nadaje się doskonale. Eseje przez niego produkowane są dość płytkie, odpowiedzi często nie prowadzą do konkretnych konkluzji, wnioski są rozmyte w bezpiecznym,

Jego przełomową, a przez to bardzo niebezpieczną cechą jest zdolność do autokorekty i dopasowywania przekazu do rozmówcy. GPT-3 analizuje treść kolejnych pytań zadawanych mu przez konkretnego użytkownika i na tej podstawie produkuje odpowiedź najbardziej pożądaną przez rozmówcę. W dłuższej perspektywie trzeba zatem rozważyć kwestie manipulacji i dezinformacji, ale to już temat na osobny tekst i osobną dyskusję.

Faktem jest, że nauczyciel, wykładowca czy egzaminator, z reguły przepracowany i przeciążony zbyt wielką liczbą prac do sprawdzenia, może nie zauważyć, że ma do czynienia z produktem chatbota. Istnieją już wprowadzone aplikacje pozwalające zidentyfikować działanie LLM-ów, ale rynek nadąza i za tym, oferując oprogramowanie pozwalające... oszukać cyfrowych weryfikatorów.

Sztuczna inteligencja nie zacznie niezależnie myśleć w sposób, w jaki robią to ludzie – choć to mała pociecha.

neutralnym języku, ale przecież nie każda praca zaliczeniowa musi być najwyższej jakości. Wielu uczniów czy studentów chce tylko zdać, a z GPT-3 to zadanie banalnie proste.

Chatbot rozwiązał już testy będące częścią programu MBA w prestiżowej Wharton Business School na University of Pennsylvania, zdał egzamin stanowiący podstawę do uzyskania kwalifikacji prawniczych w USA, został nawet wymieniony jako współautor artykułu naukowego w uznanej na całym świecie bazie Sage. To ostatnie jednak można uznać za mało wyrafinowany chwyt marketingowy, bo gdyby naukowcy podchodzili z taką samą rzetelnością do poprzednich rewolucji technologicznych, współautorem prawie każdego artykułu powinien być internet, nie mówiąc już o poszczególnych programach do obróbki i wizualizacji danych. GPT-3 na początku wypływa z siebie mało oryginalne teksty, ale w przeciwieństwie do poprzednich narzędzi opartych na sztucznej inteligencji z każdym kolejnym podejściem radzi sobie lepiej.

Stephen Marche i wielu innych naukowców uważa, że to droga jednokierunkowa, na końcu której czeka śmierć szeroko pojętej humanistyki. Umiejętność precyzyjnego i elokwentnego formułowania argumentów była i jest podstawą nauczania historii, socjologii czy antropologii. Można oczywiście nadal tego wymagać w warunkach egzaminacyjnych, bez dostępu do technologii, ale jeśli uczniowie czy studenci nie będą ćwiczyć tego wcześniej, taka forma sprawdzenia ich umiejętności nie będzie miała żadnego sensu, również dlatego, że sami z siebie nie będą już tworzyć tekstów nigdzie poza salą egzaminacyjną. Marche zwraca uwagę, że ewolucja technologiczna prowadząca do zredukowania tekstu jedynie do przekazanej informacji ściągnie na nas najróżniejsze katastrofy, od zwiększonej polaryzacji, poprzez rosnący dystans między światami humanistyki i technologicznych start-upów, aż do zaniechania fundamentalnie ważnych dyskusji na temat etyki, w tym etyki sztucznej ▶

► inteligencji. Nie mówiąc o ogólnych kosztach społecznych, takich jak gigantyczna automatyzacja prowadząca ostatecznie do wyeliminowania większości zawodów kreatywnych, w tym dziennikarzy, naukowców, artystów.

Hipoteza spinacza

Są jednak tacy, którzy w tej rewolucji widzą szansę, a nie zagrożenie. „Jako osoba, której raczej obce są procesy twórcze, potrafię sobie wyobrazić, że chwile działania kreatywnego przeplatają się w nich z bardziej zadaniowymi czynnościami, jak synteza własnych myśli czy klarowniejsze ich wyrażanie. LLM-y świetnie sobie z tym radzą”, mówi Piotr Grudzień, współzałożyciel firmy Quickchat AI. Oferuje ona firmom technologię opartą na sztucznej inteligencji, dzięki której mogą one tworzyć własne narzędzia konwersacyjne, tzw. inteligentnych asystentów. „Jednak to, co sprawia, że nasza twórczość jest faktycznie oryginalna, to pierwiastek własnej inicjatywy – idea czy połączenie faktów, którego dokonuje człowiek. Na każdą z tych idei sztuczna inteligencja potrafiłaby sama wpaść, ale

tylko po otrzymaniu jednoznacznego polecenia ze strony człowieka. Póki więc nie będzie w pełni wolnym podmiotem, pozostanie co najwyżej genialnym narzędziem, które jednak musi pasywnie czekać na instrukcję”.

Kluczowe w tej wypowiedzi jest oczywiście pojęcie wolności sztucznej inteligencji. Są bowiem eksperci, którzy uważają, że już teraz LLM-y byłyby w stanie stworzyć dzieło nieznane ludzkości. Nie znaczy to, że operują nową technologią czy dokonają przełomowego odkrycia, ale mogą po prostu zobaczyć coś, czego człowiek nie zdołałby

wersję konfliktu pomiędzy ludźmi a robotami.

Wciąż jesteśmy daleko od stworzenia systemów, które mogłyby wymknąć się spod kontroli w taki sposób, jaki widzimy w filmach. Czym innym jest pozwolenie, by chatbot użył wyszukiwarki i znalazł dla nas najbardziej optymalne bilety lotnicze z Londynu do Nowego Jorku, a czym innym autonomiczne nawigowanie w naszym analogowym świecie. A to byłoby konieczne, żeby sztuczna inteligencja mogła nas zdominować, jak mówi Piotr Grudzień. Natomiast anegdota o spinaczach dobrze pokazuje, że łatwo

Chatbot jest w stanie napisać wiersz w konkretnym stylu, słowa piosenki, a nawet scenariusz odcinka serialu.

dostrzec. Dobrym przykładem są tu nieudowodnione jeszcze twierdzenia matematyczne, do których udowodnienia nie potrzeba niczego poza silniejszą mocą obliczeniową. Taki model mógłby zidentyfikować korelacje niedostępne dla człowieka, bo ludzki mózg nie jest w stanie ich zanalizować, a komputer, wykładniczo szybciej i dokładniej przeprowadzający takie procesy – już tak.

Sztuczna inteligencja nie zacznie niezależnie myśleć w sposób, w jaki robią to ludzie – choć to mała pociecha. Będzie natomiast coraz skuteczniej dążyć do realizacji swojej funkcji obiektywnej, czyli celu, do osiągnięcia którego została zaprogramowana. Związane z tym ryzyko dla cywilizacji może być teoretycznie gigantyczne. Opisuje to tzw. hipoteza spinacza, w której sztuczna inteligencja zostaje zaprogramowana do maksymalizacji produkcji spinaczy. W procesie analizy dostępnych danych dochodzi do wniosku, że największą przeszkodą w zwiększeniu produkcji są ludzie, którzy mogą ją po prostu wyłączyć, więc ostatecznie ich eliminuje, przerabiając wszystkie atomy na Ziemi i w Układzie Słonecznym na spinacze. To oczywiście ogromne uproszczenie, ale skutecznie ilustruje tę bardziej prawdopodobną

powiedzieć maszynie, co chcemy optymalizować, a dużo trudniej przekazać to, co dla ludzi jest oczywiste i stanowi fundament funkcjonowania społeczeństwa: zdrowy rozsądek, kulturę czy moralność.

Jeśli więc w czymkolwiek szukać nadziei dla edukacji jako takiej, nie tylko humanistycznej, to właśnie w tych ostatnich słowach. Sztuczną inteligencję trzeba wciąż trenować, a potem utrzymać pod kontrolą i tutaj bez tradycyjnej humanistyki się nie obejdzie.

O konieczności łączenia tych dwóch światów naukowych mówił już w 2017 r. Daniel Franklin z tygodnika „The Economist”, wskazując na dramatyczny niedobór (względem potrzeb rynkowych) antropologów cyfrowych, czyli ekspertów od interakcji człowieka ze światem maszyn. Potrzeba ich coraz więcej, nie tylko ze względu na tworzenie nowych miejsc pracy w Dolinie Krzemowej. Może bowiem się okazać, że to oni będą ostatnią linią obrony ludzkości przed supremacją sztucznej inteligencji. Czasu jest coraz mniej, bo postęp technologiczny przyspiesza. A szansa na zharmonizowanie celów maszyn i ludzi będzie tylko jedna. Jeśli ją zmarnujemy, innego końca świata nie będzie.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Różyczki i magdalenki

Zabrałem Antosia do Muzeum Nowej Huty, które kontynuuje wątki peerelonostalgiczne w nowej wystawie, zmyślnie opracowanej i reklamowanej jako atrakcja dziecięca. „Trzepaki, Reksio, Atari” to jednak nade wszystko zbiorowisko Kane’owskich różyczek, które wyciskają tzy z dorosłych oczu, jeśli tylko współczesne dzieciaki szybko znudzone analogowymi zabawkami dadzą nam czas, byśmy mogli spokojnie się przyjrzeć rekwizytom sprzed kilku dekad. W wyznaczonych miejscach dziatwa może „interaktywnie” korzystać z eksponatów, czyli próbować się bawić wszystkim, co wyciągnięte ze strychów młodych dziadków i starych rodziców. Babuszki, szachy magnetyczne, pchełki, mały zwierzynek, żołnierzyki, kapsle wypełnione plasteliną na wyrysowanej trasie do gry w Wyścig Pokoju tworzą wehikuł czasu, lawinę wspomnień wywoływanych przez dotyk i to niezwykle poczucie wspólnoty dzieciństwa z ludźmi, których widzę po raz pierwszy. Bo przecież na rynku wtedy nie było wyboru, wszyscyśmy używali takich samych zabawek, zapamiętaliśmy tę samą fakturę odrapanych z farby plastikowych figurek, te same dzwonki z wnętrza upartego wańki-wstańki, dźwięk przypominający syrenę alarmową z zakręconego bączka.

W tak sensorycznej pułapce łatwo się rozrzuć; w natłoku magdalenek padamy na kolana i próbujemy przekonać do gry w kapsle brzdąca wychowanego na zręcznościówkach i strzelankach, dostępnych w każdym smartfonie. Albo wytłumaczyć, co jest hipnotycznego w kolejce jeżdżącej w kółko, dlaczego ustawianie nieruchomej armii z plastiku kręci nas bardziej niż gra w „Call of Duty”, a brzdąkanie piłkarzami na sprężynach i strzelanie goli metalową kulą jest fajniejsze niż gra w „Fifę”. Całe życie socjalizujemy się pod hasłem „dorośnij wreszcie, człowieku!”, aż tu nagle wychodzi na to, że wszystko straciło sens, od kiedy nikt już nas nie pyta: „Czemu nie masz kapci?”. I nie chodzi tu o panią pilnującą posadzek w pałacowych wnętrzach zwiedzanych z przewodnikiem.

Antoś zapytał: „Tato, kiedy stąd wyjdziemy i dlaczego płaczesz?” – to jest jakieś przywołanie do porządku, nie możemy być dziećmi, kiedy sami mamy dzieci, zdziecinniały stary to najbardziej zawstydzający obiekt we wszechświecie. „Coś mi wpadło do oka. Jeszcze tylko zagrajmy w Państwa Miasta”, odpowiedziałem i przypomniałem sobie wiersz tragicznie zmarłego kumpla ze śląskiej ferajny, Arka Kremzy („Gdy miałem napisać / zwierzę na J / napisałem Jutro”). Zagraliśmy kredą na specjalnie przygotowanej tablicy, wcześniej startej gąbką, i kiedy Antek mozolnie składał litery miasta na B (niepatriotycznie od razu przyszedł mu do głowy Berlin),

ja przypominałem sobie czasy szkolnych dyżurów. Na mojej tablicy tak ładnie się pisało, litery stopniowo nabierały jaskrawości, łączyły się łatwiej, charakter pisma nabierał łagodności. Przypomniało się też rozwieszanie sfatygowanych map przed lekcjami geografii, przypomniał nerwowo częstomocz na lekcjach matematyki i lęk przed wielkim cyrklem do rysowania kół na tablicy, który wyglądał jak narzędzie tortur (dla geometrycznego matosa był nim zaprawdę). Pośrodku sali trzepak – przedmiot wielofunkcyjny, zarazem bramka, drążek do wymyków, łoża podwórkowych szyderców i szyderczyń, punkt orientacyjny i bodziec do niewybrednych żartów z powodu wyznaczonych na tablicy informacyjnej „godzin trzepania”. Antek przechodzi mimo niego niewzruszony, omiata nieczułym wzrokiem rzutnik do baśniowych slajdów, kadry z bohaterami dobranocek, których nie zna, zatrzymuje się przy nieczynnym flipperze i starym komputerze z prymitywną grą, patrząc na nie z mieszaniną politowania i zaciekawienia. „Tu cię mam”, myślę sobie i zabieram go

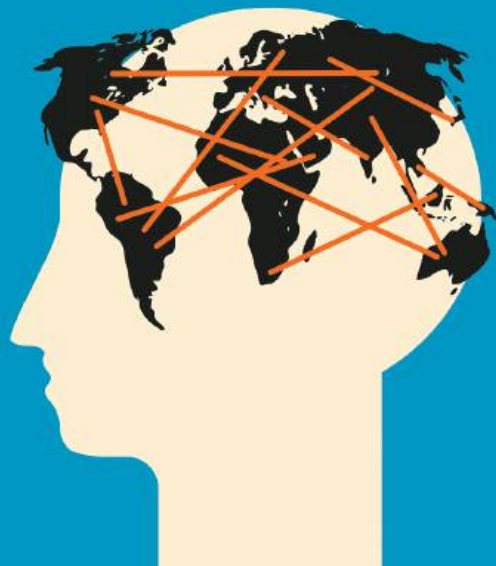
Nie możemy być dziećmi, kiedy sami mamy dzieci, zdziecinniały stary to najbardziej zawstydzający obiekt we wszechświecie.

do miejsca zwanego „muzeum pinballa”, czyli kolejnej kapsuły czasu, którą w latach mojego pacholęstwa nazywano dumnie „salonem gier”. Oprócz dziesiątków zabytkowych już flipperów można tu korzystać także z klasyki gier wideo, z „Pac-Manem” na czele – Antek wytrzymuje nieco dłużej, zwłaszcza przy kierownicach gier samochodowych, a ja mam czas na to, by się ukradkiem ponostalgizować.

Pamiętam jeszcze erę, w której „na automatach” mistrzowie mogli spędzać cały wieczór o jednej monecie, „przechodząc grę” do końca, dopiero potem pojawiły się ograniczniki czasu – żeby kontynuować, należało co kilka minut dorzucać bilon. To już generowało agresję i uzależnienia, młodociance opryski polowały przed wejściem na ślabiaków, żeby im zadać egzystencjalny wybór: „Dycha albo wpierdol” (wrzucało się wtedy monety dziesięciozłotowe). Na kolejnych etapach gracz był już tak zaangażowany oburęcznie (joystick do sterowania plus przycisk do strzelania), że musiał mieć pomocnika od wrzucania kolejnych drobniaków, aby zachować ciągłość rozgrywki. Nazywało się tę czynność pilnowaniem czasu. Spóźnienie groziło przerwaniem gry. A jednak nie upilnowałem czasu – gdzieś mi przepadł, szukam go pokątnie i coraz beznadziejniej. ■

Jeżeli krwawi, to na czołówkę

**Dlaczego bezwzględna
konfrontacja faktów
jest tak lubiana i groźna?**



Ronja von Wurmb-Seibel

Tak bardzo przyzwyczailiśmy się do konfliktu między bohaterem a antybohaterem, że w kwestiach społecznych prawie zawsze konfrontujemy ze sobą przeciwstawne punkty widzenia, nawet wówczas – i to składa się na dramatyzm tej sytuacji – gdy jedno z tych stanowisk jest w sposób oczywisty fałszywe albo staje się niemożliwe do udowodnienia. *False Balance* to fenomen, który polega na tym, że osoby mające różny poziom wiedzy są cytowane równorzędnie. Na przykład: gdy przeciwwagą dla wypowiedzi poważnego naukowca stają się słowa osoby negującej przemiany klimatyczne lub epidemii COVID-19. Z badań wynika, że odbiorcy takich konfrontacji zapamiętują to, że w określonej kwestii żaden naukowy konsensus nie jest możliwy.

Jak wyjaśnia dziennikarka Ingrid Brodnig w swojej książce „Einspruch”: „Jeżeli media kogoś pytają, oddają komuś swój czas, wówczas odbierane jest to jako sygnał, że taka osoba ma coś istotnego do powiedzenia w omawianym temacie”. Ten problem znakomicie ujmuje często cytowana rada wykładowcy dziennikarstwa Jonathana Fostera: „Jeżeli ktoś mówi, że pada deszcz, a ktoś inny, że jest sucho, to waszym zadaniem nie jest cytowanie obu. Waszym zadaniem jest wyjrzeć przez okno i sprawdzić, jak jest naprawdę”.

Niezależnie od poruszanego tematu prowokacyjne wypowiedzi cieszą się z reguły większą popularnością niż te, które opowiadają się za zgodą, porozumieniem i racjonalną wymianą poglądów. Bardzo łatwo jest relacjonować jakiś temat w sposób uwypuklający konflikty, mimo że to samo zagadnienie można równie dobrze (a z reguły dużo lepiej) pokazać na przykładzie rzeczowej debaty z obrazowymi historiami. Podczas kampanii wyborczej w 2016 r. w Stanach Zjednoczonych CNN, NBC, CBS oraz MSNBC cytowały wpisy Donalda Trumpa na Twitterze dwukrotnie

na to „jej demoskopowy potencjał”. Powodem takiej sytuacji, zdaniem Vowe’a, jest to, że w przypadku tej ekstremalnej, prawicowej partii silnie obecne są *news factors*: „konflikt, dramatyzm, negatywna postawa, zaskoczenie, bliskość”.

AfD doskonale wie, jak optymalnie używać owego barometru zainteresowania. Na przykład w jednym z dokumentów stworzonych przez członków tej partii napisano tak: „AfD musi (...) bardzo świadomie i w sposób ukierunkowany ponownie stać się politycznie niepoprawną, używać odpowiedniego do tego słownictwa,

**Jeżeli ktoś mówi, że pada deszcz, a inny, że jest sucho,
to waszym zadaniem nie jest cytowanie obu,
tylko wyjrzenie przez okno i sprawdzenie, jak jest naprawdę.**

częściej niż Hillary Clinton. Według innych badań z anglojęzycznego obszaru z 2019 r. komentarze osób negujących zmiany klimatyczne na świecie pojawiały się w mediach częściej niż opinie naukowców.

Także w Niemczech ludzie negujący zmiany klimatyczne, mający nietypowe poglądy czy nienawidzący islamu są nieproporcjonalnie często proszeni o wywiady, zajęcie stanowiska w jakiejś sprawie, są portretowani i cytowani. Według Gerharda Vowe’a, naukowca zajmującego się badaniem mediów, partia AfD jest np. częściej obecna w mediach, niż wskazywałby

a także nie cofać się przed starannie zaplanowanymi prowokacjami”. Jeden z mejli Frauke Petry, byłej przewodniczącej frakcji parlamentarnej tej partii, pokazuje, w jaki sposób politycy ze skrajnej prawicy wykorzystują mechanizmy konstruowania doniesień medialnych: „W systemie mediów ukierunkowanym na konflikty i krótkie informacje wypowiedzi formułowane w sposób zróżnicowany i rzeczowy przestają być uwzględniane. (...) Stąd też, aby być słyszalnym medialnie, niezbędne są wypowiedzi spuentowane i po części prowokacyjne. Dopiero one

zwrócić na nas odpowiednią uwagę i umożliwić obecność w mediach, a w konsekwencji zaprezentują nas w sposób fachowy i wyczerpujący”.

Jeszcze dosadniej podobną opinię sformułował w 2016 r. jeden z doradców Donalda Trumpa: „Prawdziwą opozycją są media, a poradzić można sobie z nimi tylko poprzez zalanie ich przestrzeni gównem”. (...)

W kilku przypadkach – jak stwierdzili badacze – konflikty i przepętione nienawiścią debaty powstają dopiero w wyniku nierówno rozdzielanej uwagi w polityce i w mediach. Dziennikarze, publikując prowokacyjne wypowiedzi i odpowiednie na nie reakcje, podgrzewają debaty i radykalizują ich treść. Politolog Natascha Strobl określa tę dynamikę jako maszynkę do produkcji konfliktów: „Z jednej strony znajdują się kalkulujący i ideologicznie zmotywowani politycy, którzy chcą rozpoznać świat. Po drugiej stoją media, które swój model biznesowy oparły właśnie na takich konfliktogennych wypowiedziach”. Skutek? Publiczny dyskurs przemienia się we wzajemne obrzucanie się błotem.

Przykładem tej dynamiki jest debata wokół tzw. nazistowskiego tła wielu ludzi kultury, zainicjowana na Instagramie w 2021 r. przez geografa politycznego Sinthujana Varatharajaha oraz artystkę i badaczkę Moshtari Hilal. Varatharajah następująco wyjaśnia to pojęcie: „[To] odwrotność pojęcia »ludzie z tłem migracyjnym«. W ten sposób oznaczamy tę część społeczeństwa, która z reguły nieustannie i w sposób całkowicie dla siebie oczywisty oznakowuje innych. Zainteresowanie tym, skąd ludzie pochodzą, co w zasadzie jest wyrazem zainteresowania tym, czym oni są, kim oni są i jak się dostali tu, gdzie obecnie przebywają, jest często jednostronne. My chcemy zamienić miejscami te role i etnograficzne analizy. Pochodzenie »ludzi z tłem nazistowskim« nie jest przy tym kwestią o charakterze czysto geograficznym, lecz ma wartość historyczną, ekonomiczną i ideologiczną, który należy umiejscowić w kontekście historii tego kraju”.

Rozmowa tej dwójki była rzeczowa, konkretna i wolna od agresji. Nie wzywali do bojkotu, a jedynie do zachowania transparentności. Filozofka Eva von Redecker określiła tę dyskusję jako „łagodny, krytyczny, demokratyczny gest”. Jednak krytycy uważali ją za „atak (...), przeciwko któremu dozwolony jest [rzekomo] każdy środek”. „Dopiero wraz z relacjami, najpierw w taz, potem SZ, FAZ, »Welt« oraz w »Preussische Allgemeine« atmosfera stała się polemiczna”, stwierdziła Moshtari Hilal. „W międzyczasie pojawiło się wiele skróconych i zafałszowanych wersji naszej rozmowy. Sami staliśmy się obiektami debaty”.

Niektórzy dziennikarze i niektóre dziennikarki całkiem świadomie dążą do takiego bogatego w konflikty, konfrontacyjnego sposobu prezentacji, inni znowu wykorzystują go raczej odruchowo i podążają za nim z przyzwyczajenia. Badania

Prowokacyjne wypowiedzi cieszą się z reguły większą popularnością niż te, które opowiadają się za zgodą i porozumieniem.

przeprowadzone w Wielkiej Brytanii pokazują np., że nagłówki w artykułach prasowych raczej podkreślają wzrost przestępczości, zamiast donosić o tym, że ogółem zjawisko to znacznie się zmniejszyło. Wszyscy znamy to powiedzenie: „*Only bad news is good news*”. W wielu redakcjach dochodzi do tego jeszcze żelazna zasada: „*If it bleeds, it leads*”. Jeżeli krwawi, to na czołówkę. (...)

Trzeba tu zrozumieć jeszcze jeden mechanizm: wiadomości opisują z reguły wydarzenia, które mają miejsce w określonym czasie, zazwyczaj w ciągu jednego dnia. Jednak większość wydarzeń, które określilibyśmy mianem niosących postęp społeczny, to długotrwałe procesy. Potrzeba na nie czasu. Wywołują spokojne, powolne, wręcz niezauważalne zmiany i rzadko można stwierdzić, że dobiegły końca. W przypadku wiadomości obowiązuje ten sam mechanizm, co w przypadku rozwoju w naszym własnym życiu: jeżeli wydarzy się coś złego, zauważamy to natychmiast. Natomiast procesy dotyczące dobrych przemian

mają raczej charakter bardzo powolny i ledwo widoczny. Na zbudowanie domu potrzeba więcej czasu niż na jego wyburzenie, także zakończenie wojny jest bardziej czasochłonne niż jej rozpętanie.

Jak pisze szwedzki naukowiec Hans Rosling w książce „Factfulness”: „Doniesienia o powolnej, stopniowo następującej poprawie bardzo rzadko trafiają na strony tytułowe, nawet jeżeli mają szeroko zakrojone skutki i dotyczą milionów ludzi. Pozytywne procesy rozwojowe trudniej ująć w formie pojedynczych wydarzeń niż te negatywne. Odnajdujemy je w statystykach, długotrwałych obserwacjach, trendach historycznych, które nie są nawet w połowie tak emocjonalne, tak zajmujące i poruszające jak pojedyncze, dramatyczne fakty – zwłaszcza gdy dziennikarze i wydawcy są skazani na opowiadanie swoich historii w postaci obrazów.

Z badań naukowych wiemy, że przedstawiane fakty uważamy za bardziej wiarygodne, jeżeli towarzyszą im obrazy. Kiedy zatem każdego tygodnia oglądamy relacje o okrutnych aktach przemocy, to dane statystyczne, które czytamy raz do roku, nie przekonują nas, że przestępczość spada, nawet jeżeli statystyki jednoznacznie to potwierdzają. Jeden z naukowców Uniwersytetu w Oksfordzie zaproponował na Twitterze następujący nagłówek w gazecie: „Liczba ludzi żyjących w skrajnej nędzy spadła od wczoraj o 137 000 – tak było każdego dnia w ostatnich 25 latach”. Niektóre gazety, w tym „New Yorker” i „Economist”, zacytowały ten tweet w dłuższych tekstach. Jako nagłówek nie pojawił się rzecz jasna nigdzie.

Obrazy związane z ludzkim losem są bardziej wyraziste niż wyniki badań i liczby. Jednak, jakkolwiek racjonalnie byśmy na spojrzeli, to w rezultacie z wielkim trudem przyszkolony nam pamięć, że sprawy idą ku lepszemu. 52 emocjonalnie naładowane wiadomości przeciwko jednej, opowiedzianej rzeczowo i konkretnie: ▶

► nawet jeżeli postęp już się dokonał – bardzo często informacje o tym do nas nie docierają. Badania wykazały, że ludzie korzystający z wiadomości regionalnych uważają swoje miasto za bardziej niebezpieczne niż ci, którzy nie używają tych mediów.

W jaki sposób informacja o rosnącej skali przestępczości, a w rzeczywistości – malejącej, wpływa na to, na kogo głosujemy w wyborach? Jakie przepisy i środki bezpieczeństwa uważamy wtedy za konieczne? Jak bardzo zmienia się zakres naszej aktywności oraz aktywności naszych dzieci?

Każda historia zmienia nasze spojrzenie na świat. Zazwyczaj dzieje się to nieświadomie i o tym, jak prowadzimy swoje życie, nie rozstrzyga jedyna historia. Z czasem powstają jednak dogmaty, a one w zasadniczym stopniu kształtują nasz sposób patrzenia na świat. Formują nasze

przedstawiciele zarówno dużych, jak i małych ośrodków medialnych i od tego czasu wdrażali w swoich firmach. Nie jest to również żadna tajna umowa zawarta między politykami a dziennikarzami, której celem byłoby ograniczanie swobody i wpływu obywateli oraz wyborców. Jest to rodzaj dynamiki, która powstała dzięki podejmowanym wysiłkom – opowiadaniu historii w taki sposób, aby brzmiały pasjonująco. Aby możliwie wielu ludzi się nimi zainteresowało, chciało je usłyszeć, przeczytać lub obejrzeć. Czy to oznacza, że w przyszłości będziemy musieli opowiadać historie w nudniejszy sposób? Na szczęście nie.

Szczegółowe analizowanie wiadomości i ich struktur nie jest próbą wskazania palcem „na te media” i powiedzenia: „Aha! To wy jesteście winni! To wy jesteście tymi, którzy

Stąd istotne, aby zrozumieć, czym są wiadomości. I czym nie są: dokładnym odbiciem naszego świata, kontynentu, kraju, sąsiadów czy też choćby jednego naszego dnia.

Być może powinniśmy raczej postrzegać je jako zafałszowane relacje. Wiadomości pokazują nam – z wielkimi wyjątkami – co niepomyślnego wydarzyło się danego dnia. Do tego taka „zafałszowana relacja” stała się w ostatnich dziesięcioleciach jeszcze „lepszą”, bardziej szczegółową i regularną. Postęp, którego dokonał człowiek, wpłynął także na jakość relacji medialnych – dzisiaj bardziej kompleksowo niż przed kilkoma dekadami relacjonuje się różne wydarzenia. Odbieramy jednak ten fakt jako regres: świat staje się coraz gorszy – a my obserwujemy to na własne oczy.

Wyobraźmy sobie, że przez cały dzień będziemy notowali wszelkie niepomyślnie zdarzenia: spóźnienie na autobus, utknięcie w korku, oparzenie palca. Że będziemy zapisywali każde takie niepowodzenie, każdy błąd, wszystko, co złe w naszym życiu, oraz wszelkie sprawy o negatywnym zabarwieniu, które opowiadają nam inni. Wieczorem, przed zaśnięciem, jeszcze raz spokojnie czytaliśmy naszą listę. Czy uważalibyśmy, że trafnie oddaje nasze ostatnie 24 godziny?

Relacje o niepowodzeniach są ważne, ważne jest ich sporządzanie i czytanie. Ale jeżeli chcemy stworzyć zróżnicowany obraz, powinniśmy zrobić więcej, niż tylko czytać o negatywnych zjawiskach. Powinniśmy dostrzegać również to, co dobrze funkcjonuje, oraz zwracać uwagę na to, co możemy zrobić, aby listy niepowodzeń nie stawały się dłuższe. Jak również na to, co robią osoby, których listy porażek są krótsze niż nasze. Jeżeli będziemy czytali tylko relacje o niepowodzeniach, to jak mamy pozostać zmotywowani? Dobrze się czuć? Wyciągać z tego wnioski?

Fragmenty książki Ronji von Wurmb-Seibel *Co negatywne wiadomości robią z naszym myśleniem i jak możemy się od tego uwolnić*, przeł. Victor Grotowicz, Muza SA, Warszawa 2023

Obrazy związane z ludzkim losem są bardziej wyraziste niż wyniki badań i liczby.

decyzje i wpływają na nasze działania. Dogmaty mogą mieć zarówno pozytywny, jak i negatywny charakter. Jeden z nich brzmi: „Świat jest niesprawiedliwy!”. „Wszyscy myślą tylko o sobie” albo: „Kiedy naprawdę czegoś chcę, to z pewnością to osiągnę”.

Dogmaty stają się często samospełniającymi się przepowiedniami. Ponieważ w nie wierzymy, to uważamy, że są prawdziwe, i tym samym jeszcze bardziej jesteśmy przekonani, że poprawnie opisują nasz świat. Ale dogmaty można zmienić. Podobnie jak historie, które opowiadamy sobie wzajemnie.

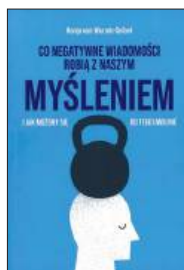
News factors, opowieści o bohaterach, przedkładanie wydarzeń, które odbyły się niedawno, nad tymi o długim przebiegu: jeżeli zbyt rygorystycznie będziemy trzymali się tych zasad, to nasze historie nie będą odpowiadały rzeczywistości – nawet jeżeli zawierają skrupulatnie sprawdzone fakty i wyłącznie prawdę. Nawet jeżeli nie ma w nich ani jednej fałszywej informacji.

To nie jest żaden wielki spisek ani coś, co kiedyś postanowili

wszystko psują”. Po pierwsze, w tym temacie nie powinno chodzić o kwestię winy, a po drugie – dużo dziennikarzy i dziennikarek dostrzegło te mechanizmy, a także to, jak odruchowo na nie reagujemy. Z tego powodu robią wszystko, aby swoje relacje kształtować inaczej. Niektórzy politycy również usiłują obierać inne drogi, zarówno jeżeli chodzi o kulturę debaty, jak i kampanię wyborczą. A poza tym: wszyscy opowiadamy historie. I wszyscy używamy przy tym wzorców, które są jednostronne.

Nie jest to także próba przekonania możliwie dużej liczby osób o tym, że wiadomości są nieważne, ich słuchanie niezdrowe, a my powinniśmy z tego powodu z nich zrezygnować. (...)

Bojkotowanie wyłącznie negatywnych opowieści wcale nie jest równoznaczne z rezygnacją z ważnych politycznie tematów. To, jak czujemy się po zapoznaniu się z określoną historią, nie zależy od tego, o czym ona opowiada, lecz jak jest opowiadana.



JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY



WYBRZEŻE SZKIELETÓW

Poznałem całą Afrykę, a szczególnie Namibię, z otoczonym złą sławą Wybrzeżem Szkieletów lub – jak mawiali niegdyś Portugalczycy – Wybrzeżem Piekieł. Zaczyna się ono na granicy z Angolą i przez ponad 600 km ciągnie pasem szerokości 50-200 km aż do Przylądka Krzyża. Mgły, niebezpieczne prądy morskie, sztormowe wiatry i potężne fale były tutaj przyczyną wielu tragedii. Potwierdza to piaszczysty brzeg usiany wrakami statków, które stopniowo zżera rdza. Zdradziecki brzeg nie oszczędził także awionetek czy aut terenowych, którymi zapuszczali się tutaj poszukiwacze przygód i diamentów.

Rozbitkowie nie zawsze mogli liczyć na powodzenie akcji ratunkowych w tym bezludnym i odosobnionym zakątku kontynentu.

Jedną z największych atrakcji wybrzeża są monstrualne, mające wysokość nawet 300 m „gwiazdziste” wydmy Sossusvlei, opiewane jako najbardziej malownicze na świecie. Na północy zaś, w dzikim i jałowym krajobrazie można się natknąć na koczownicze plemię Himba i jego chatki z gałęzi uszczelnione mułem i nawozem.

Namibia nosi ślady krótkotrwałego panowania kolonizatorów teutońskich w latach 1884-1914. Ich potomkowie są właścicielami sklepów, hoteli i eleganckich restauracji, gdzie można wypić niemieckie Windhoek Beer i poczytać lokalne wydanie „Allgemeine Zeitung”.



1



2



4



5



6

1. Ugab Gate. Tu wykupuje się bilet do parku narodowego.
2. Ochrona środowiska ogranicza tutaj masową turystykę.
3. Ślady po rozbitkach.
4. Opisywane przez Wilbura Smitha, owiane złą sławą Wybrzeże Szkieletów.
5. Region ma status parku narodowego.
6. Dzikie, bezludne wybrzeże namibijskie.
7. Trawler rybacki Suiderkus, który rozbił się w 1976 r.
8. Himba z regionu Kaokoland.
9. Szkielety akacji Erioloba pośród wydm Sossusvlei.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



3



7



8



JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com



9

Zabójcza kreatywność

Ludzka głupota nie zna granic,
także tej między życiem a śmiercią

Marcin Ogdowski

Gen. insp. Jarosław Szymczyk, komendant główny policji, zyskał u podwładnych ksywkę „Bazooka”. Pochodzi ona od amerykańskiego granatnika przeciwpancernego, wprowadzonego do uzbrojenia armii w czasie II wojny światowej. Bazooka zyskała tak wielką sławę, że w potocznym języku przyjęło się określać tym mianem wszystkie granatniki, niezależnie od kraju pochodzenia. I tak jest do dziś, choć amerykańskiej „rury” nie używa się już od ponad półwiecza. A co ją łączy z naszym inspektorem? W połowie grudnia ub.r. Szymczyk zasłynął na cały świat, odpalając w gabinecie współczesną wersję bazooki. Był to prezent przywieziony z Ukrainy, gdzie generał spotkał się z szefostwem tamtejszej policji i MSZ. Zdaniem Szymczyka granatnik wręczono mu z informacją, że jest zużyty (nie ma głowicy bojowej) i przerobiony na głośnik. Słowem – bezpieczny. Urządzenie trafiło do komendy, gdzie generał postanowił je przetestować. Zdjął kilka blokad i nacisnął spust... Wcześniej zignorował wagę granatnikogłośnika – pusty waży 4-5 kg, podarowany był znacznie cięższy.

Komendant miał szczęście, bo wystrzelony pocisk nie zdołał się uzbroić, ale gazy wylotowe i tak narobiły solidnych szkód. Kilkadziesiąt godzin później, z opatrunkiem na uchu, Szymczyk zapewniał w telewizji, że jest ofiarą zdarzenia. On, szef formacji mundurowej, teoretycznie obyty z bronią. Kpinom nie było końca, także na policyjnych forach (nie tylko polskich). Komendant stał się memem, a co złośliwsi widzieli go jako murowanego kandydata do Nagrody Darwina (ang. Darwin Awards). Honorowej, bo na inną inspektor nie zasłużył.



Komendant główny policji
gen. insp. Jarosław Szymczyk
o mały włos nie został
kandydatem do Nagrody Darwina.

Polski akcent

Nie zastąpił, bo przeżył, tymczasem Nagrody Darwina przyznawane są za wyjątkową nieroztropność, której efektem była śmierć kandydata, ewentualnie pozbawienie się zdolności do płodzenia potomstwa. Idea wyróżnienia nawiązuje do Karola Darwina – brytyjskiego przyrodnika, twórcy teorii ewolucji – i ma „upamiętnić osoby, które przyczyniły

się do przetrwania naszego gatunku w długiej skali czasowej, eliminując własne geny z puli genów ludzkości w nadzwyczaj idiotyczny sposób”. Darwiny mają wyłącznie symboliczny charakter, a zwycięzców wyłania się poprzez internetowe głosowanie. Nie ma statuetek, jest adnotacja na stronie organizatorów. Przyznawana od 1994 r. antynagroda stała się kulturowym fenomenem, który wyszedł poza świat cyfrowy – powstają o niej

książki i filmy, a określenie „zasłużyć na Nagrodę Darwina” w wielu językach jest synonimem wyjątkowo nie-mądręgo zachowania.

Szef naszej policji zdołał Darwina uniknąć, ale to nie znaczy, że w 30-letniej historii konkursu nie ma polskiego akcentu. Jest, i to jaki, za sprawą pana Krzysztofa (w annałach występującego z nazwiskiem, ale tu je sobie darujemy). Był rok 1996, nasz rodak ostro popił z kolegami. A że nie samą wódką człowiek żyje, panowie przeszli do prób męskości, okładając się po głowach kijami – na zasadzie „kto więcej wytrzyma”. Niestety, jeden z uczestników rywalizacji wznosił ją na wyższy poziom – uruchomił piłę łańcuchową i pozbawił się fragmentu stopy. Krzysztof poszedł jeszcze dalej i... tu istnieją dwie wersje. Wedle oficjalnej usiłował obciąć sobie piłą głowę, by udowodnić, że jest największym macho. Nieoficjalnie sprawy miały się tak: mężczyzna nadstawił głowę i stwierdził, że żaden z kolegów nie będzie miał odwagi mu jej odciąć. Śmiałek najwyraźniej jednak się trafił, bo pogotowie znalazło martwego twardego z napęczną szyją i rozetrwaną tętnicą. Ponoć jeden ze współzawodników stwierdził, że „choć za młodu Krzysiek ubierał się w bieliznę siostry, skończył jak mężczyzna”.

Trucizna z lewatywy

Nieprawdopodobne? Owszem, ale prawdziwe. Po kilku wypadkach z zakwalifikowaniem do rywalizacji miejscowych legend organizatorzy zaczęli weryfikować zgłoszenia. Z czasem stało się to dużo prostsze, bo wielu nominowanych, nieświadomych zbliżającego się końca (śmierć samobójcza nie kwalifikuje się do nagrody), rejestrowało swoje poczynania. Tak było z 47-letnim Japończykiem Tedzu, który w październiku 2019 r. wyruszył na szczyt góry Fuji. Niepoprawny fan sportowości mimo minusowej temperatury i odmrożonych palców cały czas prowadził transmisję na żywo. Skupiony na telefonie stanął nie tam, gdzie powinien. „O nie! Ześlizguję się!”, brzmiały jego ostatnie dające się zrozumieć słowa.

Z Darwinami jest trochę jak z Noblami – duża ich część trafia do

Amerykanów. Ci bowiem są naprawdę kreatywni, jeśli idzie o sposoby przenoszenia się na tamten świat. Wśród nominowanych znalazł się np. mężczyzna, który z bronią w rękę napadł na sklep z bronią, pełen uzbrojonych klientów. Albo inny obywatel USA, który spreparował list z bombą, a gdy źle zaadresowaną przesyłkę odesłano mu do domu, osobiście ją otworzył. Laureat nagrody za 1998 r., 23-letni Michael z Ohio, zmarł po tym, jak założył się z kolegami, że połknie żywą 12-centymetrową rybę. Gdy zaczął się dusić, kumple zadzwonili po karetkę. Ekipa pojawiła się na tyle późno, że nie zdołała odratować delikwenta, lecz na tyle wcześniej, by zobaczyć nadal trzępoczący ogon ryby, wystający z ust śmiałka. Wymiar sprawiedliwości nie postawił kolegom ofiary żadnych zarzutów. „Jeśli mając 23 lata, założysz się z kimś, że skoczysz z mostu, i rzeczywiście to zrobisz, to znaczy, że po prostu jesteś idiotą”, skwitował sprawę miejscowy szeryf.

Ale niefrasobliwość wcale nie jest cechą młodego wieku. Pewien 58-letni alkoholik, również Michael, cierpiący na infekcję gardła, która uniemożliwiała mu popijanie. Wziął się więc na sposób i zaaplikował sobie trunek lewatywą. Rzecz w tym, że taki „wlew” działa mocniej i półtoralitrowa butelka sherry zabiła amatora trunku. Do zdarzenia doszło w 2004 r., ale Darwina przyznano Michaelowi trzy lata później – tyle czasu zajęło ustalenie dokładnej przyczyny śmierci.

Takich problemów nie miał patolog badający ciało 28-letniego Rosjanina, wyróżnionego Darwinem za 2009 r. Sergiej, mechanik samochodowy, założył się z kilkoma koleżankami, że będzie w stanie przez pół dnia uprawiać seks. Stawką była równowartość 4,3 tys. dol., no i opinia. Mężczyzna ani myślał ryzykować i połknął całe opakowanie viagry. Wyzwaniu podołał, ale tuż po miłosnych uciechach zszedł na zawal. „Zadzwoniłyśmy po pogotowie, ale było już za późno”, przyznała jedna z kobiet, które wzięły udział w zakładzie.

Zderzenie z materią

Tyle historii. A kto się zapisał w najnowszej odsłonie antynagród

za 2022 r.? Zestawienie otwiera rosyjski żołnierz, którego ciało znaleziono w marcu ub.r. pod Irpieniem. Bojce wyjął z kamizelki kuloodpornej płytę balistyczną i w to miejsce włożył macbooka zabranego z opuszczonego przez Ukraińców domu. Gdy trafiła go kula karabinowa, wsad na piersi okazał się niewystarczający.

Równie zabójczą beztroską wykazał się holenderski piłkarz Mourad Lamrabatte, który w maju minionego roku na Majorce zapragnął skoczyć z klifu do oceanu. Atletyczny 31-latek poprosił krewnych o sfilmowanie wyczynu. Wydał z siebie triumfalny okrzyk i rzucił się w otchłań z wysokości 30 m. Roztrzaskał się o podwodne skały. Żeby bezpiecznie wpaść do wody, musiałby się odbić od skały na odległość 10 m. Z raportu coronera wynikało, że obrażenia skoczka amatora przypominały skutki potrącenia przez pojazd na autostradzie.

Brutalne zderzenie z twardą materią stało się udziałem 46-letniego Włocha z miasta Cattolica, znanego złodziejaską, który w pewną kwietniową noc (co ciekawe, wielkanocny poniedziałek) wziął na cel budynek lokalnego targowiska. Zapewne zmęczony robotą i spragniony, postanowił napić się wody. Chwycił więc plastikową butelkę, będącą częścią większego stosu. Gwałtowne szarpnięcie naruszyło delikatną konstrukcję... i lawina butelek zasypała rabusia. Na amen, o czym wiemy ze sklepowego monitoringu przejrzanego przez karabinierów.

Na tym tle znacznie mniej pechowo wygląda śmierć 49-letniego mieszkańca stanu Maryland, którego znaleziono w domu w towarzystwie 124 jadowitych węży – kobr, grzechotników, czarnych mamb – oraz gigantycznego pytona. Egzotyczne węże żyły w dobrze utrzymanych terrariach, ale jeden wybrał wolność. Po drodze odwiedzając się za opiekę siedzącemu w salonie, przed telewizorem, właścicielowi. Co istotne, okoliczni mieszkańcy nie mieli pojęcia o niebezpiecznym hobby sąsiada. Źródła nie podają, czy udało się dorwać uciekiniera zabójcę.

Na wyspach życia dzieją się cuda

Rozumiem już język ptaków i tłumaczę go na język ludzki

Rozmawia Maciej Zdziarski

Dlaczego przyjeżdżają?

– Myślę, że z powodu głodu piękna. Ludzie potrzebują spotkania z czymś autentycznym. (...)

Człowiek czerpie radość z posiadania domu, z jazdy dobrym samochodem, z zakupów. Z wygodnej codzienności.

– Tyle że gdy robi to latami – dba o dom, kosi trawnik, jeździ na zakupy – w końcu zadaje sobie pytanie, czy to już wszystko i nie doświadczy niczego więcej. W relacjach międzyludzkich stale gramy ze sobą w różne gierki społeczne i statusowe. Dlatego potrzebujemy przestrzeni, w której nasze gry nie mają znaczenia.

Widzimy ostatnie skrawki przyrody, jaką znamy dzisiaj.

Przyroda jest obojętna na zachwyty, a jednocześnie przesycona walorami estetycznymi.

Piotr Chara, przyrodnik i fotografik, zaprasza do Kaleńska, niedaleko Kostrzyna nad Odrą, na gody rybitw.

– Każdy, kto przyjeżdża, już wcześniej musiał zadać sobie nieco trudu: znaleźć odpowiednie informacje w internecie, zdecydować się na przyjazd, odpowiednio się przygotować. To swego rodzaju przebudzenie i chęć celebrowania piękna popychają ludzi do działania. Przyjeżdżają ci, którzy są świadomi, że świat przyrody jest niezwykły.

Regularnie wraca do mnie starsze małżeństwo. Jaki jest ich motyw? Świadomość, że mają mało czasu. Chcą spędzić resztę życia najlepiej, jak się da. Wracają regularnie i po raz kolejny podziwiają rybitwy.

Co szczególnego jest w rybitwach?

– Wiele osób, dopóki tu nie przyjedzie, nie jest świadomych piękna tych ptaków. W innych okolicznościach trudno przyjrzeć się im

PIOTR CHARA

– przyrodnik i fotografik

z bliska, skupić się na detalach, dostrzec urodę.

Stworzył pan wyspy lęgowe, które służą zarazem obserwacji ptaków.

– Wyspy powstały w odpowiedzi na potrzebę pomocy przyrodzie. Najpierw człowiek zaczął meliorować, potem także regulować rzeki, zamienił je w drogi wodne. W ten sposób odbieramy ptakom siedliska, między innymi śródrzeczne wyspy, które tworzyły się dawniej w nurcie rzeki. Z chwilą, gdy siedliska giną, ich mieszkańcy często stają na krawędzi zagłady. To pierwszy cios. Drugi to

od drapieżnictwa, ale także zabezpieczenie przed wahaniami wody. Pierwszą platformę lęgową wodowaliśmy w połowie kwietnia 2015 r. Przyrodnicy nazywają takie platformy wyspami życia.

Długo trzeba było czekać na ptaki?

– Spodziewałem się, że może minąć sezon lub dwa, zanim zaakceptują wyspę, bo przecież w krajobrazie pojawił się nowy element. Okazało się, że już po dwóch tygodniach zasiedliła je pierwsza para. Wyspa znajduje się w dużej odległości od brzegu, wokół jest głęboka woda. Ważna jest też wysokość w stosunku do tafli – wszystko to zachęca ptaki do lęgów.

Stworzył pan również specjalne urządzenia, które umożliwiają obserwację tańców godowych rybitw.

– To pływające jednostki obserwacyjne, przypominają mały prom na linie. Służą do monitoringu efektów na naszych wyspach – nie przeszkadzają ptakom, a ludziom, którzy siedzą wewnątrz, pozwalają z bliska obserwować. W normalnych warunkach ptaki są płochliwe, uciekają na widok człowieka. (...)

wprowadzenie do ekosystemu inwazyjnych obcych gatunków.

Jakie to drapieżniki?

– Najpierw była norka amerykańska. Wystarczy, że zaatakuje jednej nocy, by zniszczeniu uległy wszystkie lęgi. Norka nawet ich nie zjada, po prostu dewastuje. Od kilku lat pojawia się też szop prac i dokonuje jeszcze większego spustoszenia. Po dekadzie obserwacji doszedłem do dramatycznego wniosku, że wiele rodzimych gatunków nie przetrwa bez pomocy człowieka.

Nie byłem pewien, czy się uda, niemniej doświadczenie pomogło mi zrozumieć, czego ptaki oczekują, co jest dla nich atrakcyjne. Nie jestem tylko fotografem, jestem przede wszystkim przyrodnikiem, przepracowałem niemało lat w Parku Narodowym „Ujście Warty”. Wraz z kolegami z fundacji Zielonej Doliny Odry i Warty wiedzieliśmy, co należy zrobić. Stworzyliśmy siedlisko wolne



Jakie triki stosują samce rybitw, żeby oczarować samice?

– Przeurocze! Samiec przynosi w prezencie pokarm, najczęściej rybkę, i z tą rybką paraduje. Samica, jeżeli jest zainteresowana, odwzajemnia zaloty, odpowiada tańcem. Towarzyszą temu spektakularne akrobacje powietrzne. Wreszcie ptaki siadają w miejscu, w którym chcą założyć gniazdo, i tam trwa ciąg dalszy: ukłony, paradowanie, przemarsze, chodzenie z wypiętą piersią.

Czy samice są wybredne i mogą odrzucić zaloty?

– Ależ tak! Często wiele samców jednocześnie zabiega o względy samicy, przynosi jej prezenty, więc ona siłą rzeczy musi być wybredna. Gdy w końcu decyduje się na jednego, ten szaleje ze szczęścia. Słychać to w odgłosach, które wydaje – krzyczy, kłania się, jest dumny jak Bonaparte – w ten sposób oznajmia pozostałym samcom: „Zdobyłem ją, jest moja!”.

Czy w naturalnych warunkach da się obserwować gody rybitw?

– Próbowałem tego doświadczyć przez 20 lat. Jako fascynat rybitw jeździłem po całej Europie, żeby zobaczyć ich gody. Skradałem się, czołgałem, siedziałem w krzaczorach. Wszystko na nic! Nie byłem w stanie zaobserwować tego, co dzisiaj na wyspach życia można oglądać z wygodnego miejsca, w ciepłutkich bucikach. Dzieją się tu cuda, o których sam marzyłem przez lata. (...)

Jak reaguje ktoś, kto po raz pierwszy widzi ten spektakl?

– Dobrym przykładem może być nasz lokalny wódz, pan wójt, który przez lata nie rozumiał, o co walczymy i po co próbujemy tworzyć platformy lęgowe. Po latach trudnej współpracy dał się zaprosić do wnętrza jednostki obserwacyjnej. Siedzieliśmy tam dwie i pół godziny. Pytał, co w danej chwili ptak robi, dlaczego to robi, a ja cierpliwie wszystko tłumaczyłem. Tamtego dnia stał się wielkim sympatykiem naszej inicjatywy. Po tygodniu wrócił do mnie z prośbą, czy może jeszcze raz to przeżyć, tym razem wraz z całą rodziną – z żoną, córką i wnukami. Oczywiście się zgodziłem.

Tak przekonuję ludzi, którzy przecież nie muszą od razu rozumieć,



jak ważną rzecz robimy. Wywierali na nas presję wędkarze, bo chcieli łowić na tym akwenie. Rzecz w tym, że on jest malutki, pięciohektarowy, i nie da się pogodzić jednego z drugim. Wtedy zainterweniował właśnie wójt. Urzeczony tym, co zobaczył, stwierdził krótko: „Panie Piotrze, Kalleńsko trzeba chronić dla przyrody i dla przyszłych pokoleń”.

Przyjeżdżają do pana ludzie sukcesu – lekarze, prawnicy, przedsiębiorcy, pracownicy korporacji

rozumiem już język ptaków i tłumaczyć go na język ludzki. Opowiadam o tym, co sam uznaję za piękne. Za przykład niech posłuży polowanie chlidoniasa, jednego z rodzajów rybitw. Któregoś razu oprowadzałem wycieczkę szkolną z okolicznej miejscowości. Kątem oka widzę, że polują chlidoniasy, wszystkie trzy gatunki. Każdy zdobywa pokarm nieco inaczej, ale wszystkie robią to pięknie i zwinnie. Z ciekawości rozglądałem się, czy ktoś z wycieczki – a były trzy nauczycielki

Rybitwy, żurawie czy gęsi to fenomenalne gatunki do obserwacji.

– którzy mają dom i piękny samochód, ale chcą czegoś jeszcze. Chodzi o to, żeby przez chwilę nie być prezesem czy doktorem, tylko obserwatorem rybitw?

– Ludzie sukcesu, którzy osiągnęli już pewien komfort materialny, dochodzą do przekonania, że chcą czegoś więcej. Że doświadczenie życia zawężone do bieżącego wygrywania jest za wąskie. (...) Potrzebują autentyzmu. Myślę, że to się rozgrywa wewnątrz człowieka, niezależnie od tego, kim jest. Zauważyłem, że to, w jaki sposób ludzie odbierają dane zjawisko, zależy także od przewodnika, który powie: „Zwróćcie uwagę na to i na to. A teraz samiec chce powiedzieć samicy to i tamto”. Opowiadam to, co przez 20 lat sam obserwowałem, co mnie zachwycało. Po tym czasie

i 40 uczniów – dostrzeże, że dzieje się coś ewidentnie pięknego. Nikt nic nie zauważył!

Zatrzymuję więc wycieczkę i zaczynam opowiadać o polowaniu. Proszę, by zwrócili uwagę na subtelność lotu, na delikatność rybitw, na to, z jak chirurgiczną precyzją zdejmują z wody owady wielkości ziarnka maku. Za chwilę inny gatunek poluje grupowo, zdejmując owady ze źdźbeł, robi to w sposób efektowny – bo spód jego skrzydeł jest czarny, a wierzch biały, i wygląda to tak, jakby ktoś puszczał lusterkiem zajączki. Dopiero gdy o tym opowiedziałem, pokazałem palcem, wszyscy wpadli w zachwyt: „Wow, jakie to piękne!”. **Brzmi jak bajka. Nie wierzę, że wszyscy, którzy pana słuchają, padają na kolana z zachwytem.**

► – Bywa trudniej, bo ktoś jest tak zafiksowany na danym temacie, np. migracjach gęsi, że nie widzi niczego wokół. Oczywiście gęsi są bezsprzecznie piękne i warto się nimi zachwycać, ale ludzie skupieni na jednej rzeczy zazwyczaj nie dostrzegają całej palety zjawisk dookoła. W rezultacie wracają z terenu niezadowoleni. Tymczasem przegapiają to, co piękne i wartościowe – jak zatopiony las, przez który przepływamy. Jego wartość jest niebywała. Nie tylko pod względem estetycznym,

Żyjemy zbyt krótko, nie da się dzisiaj skupić na ptakach, a jutro popatrzeć sobie na las. Za pięć czy dziesięć lat tego lasu może tu nie być. Moje doświadczenia są takie, że widzimy ostatnie skrawki przyrody, jaką znamy dzisiaj.

O ile potrafimy prześledzić skutki ludzkich interwencji związanych z przekształcaniem terenów zalewowych w pola uprawne czy nawet pod osadnictwo, o tyle nie umiemy przewidzieć zmian w środowisku. Bardzo poważnym problemem staje się

do sprzętu, spoglądam trzeźwym okiem, a tam czas naświetlania ustawiony na 30 sekund, ISO na 512 000! Każda klatka to biała plama, zdjęcia są totalnie prześwietlone. Fotograf uznany w środowisku, był pod takim wrażeniem ptasiego spektaklu, że gdy szukał ustawień, wybrał takie, których nigdy się nie używa. (...)

Co tak zafascynowało Sławka?

– Doświadczenie zjawiska, które rzadko się obserwuje. Ptaki wybierają miejsca trudne do eksploracji dla potencjalnych drapieżników, w tym dla człowieka, najczęściej błota o dużej miąższości. Aby dotrzeć na zlotowisko, idziemy na czworaka w błocie, które ma konsystencję masła, zapadamy się w nim po łokcie. W takich warunkach trzeba wyjąć sprzęt, ustawić odpowiednie parametry, a przy okazji nie upaść aparatu! Sprzęt znajduje się w wodoszczelnym worku, który ciągniemy za sobą na pasku. Nie możemy założyć worka na plecy, bo stalibyśmy się widocznymi.

Ile trzeba się tak czołgać?

– Minimum 50 m na czworakach, a ostatni etap pokonujemy na brzuchu. Gdy docieramy do celu, ściągamy rękawice, rozstawiamy statywy w przygotowanych wcześniej miejscach. Wszystko dzieje się w totalnych ciemnościach, grubo przed świtem. Musimy dojść na miejsce głęboką nocą, inaczej ptaki by nas wypatrzyły. (...)

Jeśli ktoś wraca do pana po raz drugi, trzeci, to liczy na to, że zobaczy coś nowego, czy raczej chodzi o ponowne doświadczenie tego samego zjawiska?

– Niektórzy wolą doświadczać wciąż nowych przeżyć, ale często bywa, że coś tak nas fascynuje, tak pozytywnie na nas działa, że chcemy jeszcze i jeszcze. Sam jestem tego najlepszym przykładem. Robię zdjęcia wybranych gatunków od 20 lat. Mimo to wielokrotnie potrafię zachwycać się tym samym – rybitwy, żurawie czy gęsi to fenomenalne gatunki do obserwacji – i wiem, że do końca życia chciałbym tego doświadczać. (...)

Jakie jeszcze gatunki lubi pan fotografować?



lecz także przyrodniczym. W takich sytuacjach potrafi być brutalny. Stawiam do pionu. Wyjaśniam, czego nie dostrzegli.

Co pan słyszy w odpowiedzi?

– Najczęściej kontrargumenty: „Interesują mnie gęsi, a nie las ani uroda siedliska”. Wtedy wygłaszam wykład na temat kompleksowości świata przyrody. (...) W siedlisku piękno rozkłada się na wiele elementów i one wszystkie, razem wzięte, to wyższy poziom niż uroda pojedynczego stworzenia. Ograniczenie się do obserwacji wybranych gatunków to nic innego jak marnowanie życiowej szansy, bo takie warunki mogą się nie powtórzyć. (...)

Tak działa świat usług i turystyki: przyjechałem coś zobaczyć, to chcę to zobaczyć. (...)

– Rozpoznaję motywy, jakimi kieruje się ktoś, kto przyjeżdża podziwiać gęsi, ale i tak mówię mu: „Człowieku, nie bądź ślepy!”.

susza wywołana ciepłymi zimami. Ostatnia dekada jest pod tym względem wyjątkowa. (...)

Kim są ludzie, którzy do pana trafiają?

– Opowiem historię Sławka, świetnego przedsiębiorcy. (...) Do mnie przyjechał w konkretnym celu: żeby zobaczyć zlotowisko żurawi. Zanim ruszymy w teren, opowiadam wszystkim uczestnikom, co nas czeka, wyjaśniam, że będzie to wymagające fizycznie i technicznie. Od początku więc każdy trochę się stresuje.

Docieramy z całą grupą w miejsce, w którym są żurawie. Widzę, że wszyscy są zachwyceni, choć nikt nic nie mówi, obowiązuje absolutny nakaz ciszy. Nagle słyszę, jak Sławek krzyczy w panice: „Piotr, Piotr!”. (...) Pytam, co się dzieje, na co Sławek, zupełnie załamany, stwierdza, że nie wychodzą mu zdjęcia. Widzę, że się rozkleja i jest bezradny. Podchodzę

– Kaczki! (...) Jeśli się uważnie przyjrzeć, to dostrzeżemy, że nawet krzyżówka, którą możemy obserwować w miejskich stawach, jest przepięknym ptakiem. Subtelności w jej upierzeniu są zachwycające. Poza tym utarło się przekonanie, że dzika kaczka to najczęściej właśnie krzyżówka. Tymczasem Polskę odwiedza 13 gatunków, nie wszystkie odbywają u nas lęgi, ale podczas migracji przebywają w dużej liczbie. Wiosną samce są pięknie ubarwione. Ich spektakle godowe są fascynujące, składają się z wielu zachowań, a gdy dzieje się to w ogromnej skali – na przykład widzimy stado kilkuset czy nawet kilku tysięcy osobników i większość tokuje w powietrzu – to nagle się okazuje, że również obserwacja na pozór zwykłych kaczek może być olśniewająca.

Ludzie dziwią się, że kaczki mogą być tak dynamiczne, wręcz agresywne. To wynika z tego, że musi dojść do wyeliminowania słabszych osobników. Małutkie samce cyraneczki wyrywają pióra konkurentom. Najbardziej wojownicze są ohary, samica może zaatakować inne ptaki w sposób charakterystyczny dla ptaka szponiastego, drapieżnego i wywołać popłoch wśród reszty. W ten sposób oczyszcza powierzchnię jeziora, by móc wyprowadzić swoje młode. Ohar nie wie, czy łyska lub krzyżówka zagraża potomstwu, więc na wszelki wypadek pikuje i je rozgania.

Czy łatwo to zobaczyć?

– Tu powracamy do poczucia zawodu obserwatorów. W przypadku rybitw widzianych z platformy obserwacyjnej piękny spektakl mamy jak na dłoni, w odległości trzech lub pięciu metrów. Droga do obserwacji kaczek jest trudniejsza. Najpierw nocą doptywamy do siedliska kajakami. Następnie w skafandrze nurka i w odpowiedniej odzieży, bo nie każda się nadaje, trzeba wejść do wody po szyję – poruszać się w szuwarach, w błocie. Obserwator dzięki kamuflażowi przypomina kępę glonów.

A i tak na końcu może się okazać, że kaczka jest mądrzejsza od człowieka i ucieknie.

– Zgadza się. Mówimy o ptakach, na które w wielu państwach się poluje, a to przekłada się na ich

płochliwość. Mimo że skala toków jest imponująca i robi wrażenie, to sfotografowanie godów jest wyzwaniem. Kaczki cały czas czujnie obserwują otoczenie. Wystarczy, że jedna z nich coś zauważy i natychmiast alarmuje pozostałe, wywołuje paniczną ucieczkę grupy. To dlatego częste jest uczucie zawodu, ale i pokora, świadomość, że trzeba przebyć długą drogę, by doświadczyć tego cudu z bliska.

Generalnie można wyróżnić dwie postawy. Łatwo je rozróżnić i zauważyć, co dla kogo ma największe znaczenie. Po pierwsze, są osoby, które obserwacje ptaków i fotografię traktują jako element rywalizacji lub jako zbiór kolejnych doświadczeń, którymi chcą się pochwalić, czy to przed znajomymi, czy w ogóle przed

źródło mojej radości. Z czasem się okazało, że kontakt z ludźmi, którzy tu przyjeżdżają, i obserwowanie ich reakcji na to, co widzą, jest zaskakująco ciekawym doświadczeniem. Często prowadzimy długie rozmowy, biesiadujemy, dyskutujemy o tym, co dla nas ważne. Wizyta na wyspach życia niekiedy weryfikuje ideały, które nierzadko ustępują miejsca innym. W kontakcie z przyrodą chodzi właśnie o to, co piękno przyrody z nami wyprawia.

A co wyprawia?

– Pamiętam jak jednego razu, gdy żurawie już odleciały, zauważyłem mężczyznę, który ociera łzy. Pomyślałem, że nie wyszły mu zdjęcia i płacze ze złości (...). Tymczasem było inaczej! Mężczyzna powiedział: „Piotr, nie wiem, czy cokolwiek mi

Aby dotrzeć na złotowisko, idziemy na czworaka w błocie o konsystencji masła, zapadamy się w nim po łokcie.

światem, na przykład planują wystać zdjęcia na konkurs. Z doświadczenia powiem, że sam przeszedłem tę drogę. Niektórzy zatrzymują się na tym etapie, ale wielokrotnie jest tak, że pokłosiem doświadczeń staje się nowe spojrzenie na przyrodę.

Nie liczą się kliki ani komentarze na Facebooku.

– Chciałbym to zaakcentować, bo stosunkowo mało się na ten temat mówi, a sądzę, że wielu fotografów potrzebuje takiego doświadczenia. Gdybym dzisiaj miał powiedzieć, jaka jest istota wychodzenia w teren, to na pewno nie byłaby to fotografia, choć nadal ją sobie cenię. Chodzi o głębsze spojrzenie na przyrodę, wtopienie się w nią, o poczucie harmonii. To wyklucza rywalizację, nastawienie, że fotografia jest priorytetem, a nagrodą – udane zdjęcie. (...)

Co zmienia się w ludziach, których wprowadza pan do ptasiego świata?

– Trudno mi oceniać, bo to sprawa indywidualna, ale mogę powiedzieć o zmianach, które dokonują się we mnie. Wydawało mi się, że tylko w przyrodzie tkwi

wyszło, fotografowałem, filmowałem, ale nie ma to znaczenia. To było najpiękniejsze zjawisko, jakie w życiu widziałem”.

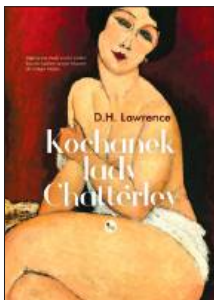
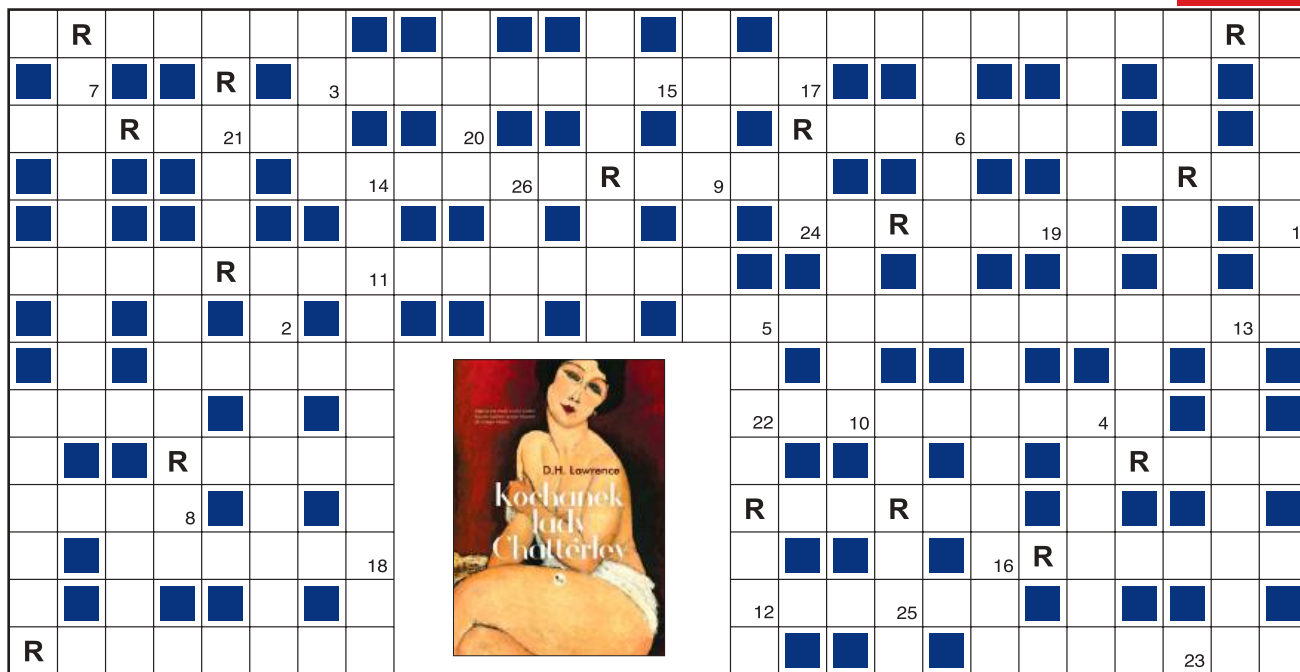
Teoretycznie łatwiej przewidzieć zachwyt ludzi, którzy są fotografami przyrody. Te osoby siłą rzeczy są wrażliwe na piękno natury. Tymczasem równie wylewne reakcje zdarzają się u ludzi, którzy poza podlewaniem kwiatków czy podziwianiem zawilców w miejskim parku nie mają wiele wspólnego z pozamiejskimi eksploracjami. Pamiętam, jak zaprosiłem na obserwację rybitw pracowników urzędu marszałkowskiego. Opowiadam o wyspach życia, dlaczego powstały, wyjaśniam, co w danej chwili obserwujemy, i widzę łzy w oczach słuchaczy, a nawet zażdrość, że mogą tego doświadczać na co dzień. (...)

Co z tego zostaje?

– W ludziach budzi się świadomość, że świat przyrody jest piękny, potrzebny i że należy o niego dbać.

Fragmenty wywiadu z książką Macieja Zdziarskiego *Na skrzydłach. O ludziach, ptakach i radości życia*, Znak Horyzont, Kraków 2022





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- w NBP Glapiński, w resorcie zdrowia Niedzielski
- śnieżna na stoku, wodna – policyjna
- As wśród pierwiastków
- Mrożka „Lis filozof” i „Lis...”
- w nim kupisz używany samochód
- superbohater nietoperz
- audycji, reklamowy lub rysunkowy
- inna dla więźnia, inna dla mnicha
- stolica Syrii
- i Podsiadło, i Kubacki
- tyran, dyktator, satrapa
- dawka, np. leku
- aktor grający na zmianę lub zamiast
- ten policjant dobrze zna swój rejon miejski
- glazurowanie
- zarodek ludzki lub zwierzęcy
- na jego falach – przez radio
- rozum, zdolności umysłowe
- potrzebna do bigosu, gołąbków
- przeprowadzanie przeciwwuderzenia
- ...dwa, szarobure obydwu
- przeobrażenie, przemiana
- silny ból głowy, często z mdościami
- brat Aarona i Miriam
- wygaszana obrońca lub oskarżycielska
- uderz w stół, a się odezwą
- ...Zjednoczenia Narodowego, czyli Ozon
- na warszawskim Multimedialny Park Fontann
- studniówkowy taniec obowiązkowy
- przeciwieństwo postępu i rozwoju
- bufiasty lub kimonowy
- ...stołu – pyszne jedzenie, ucztowanie
- rozdroże
- bednarstwo, kaletnictwo lub garncarstwo
- nakrycie na stół z ozdobnej tkaniny
- obrabiaarka skrawająca
- Jarząbek Wacław, ...drugiej klasy
- Nahomy albo Czarzasty
- można dać... niezadowolenu, obawom
- uchwyt taki jak hak holowniczy
- o zarobkach, zameldowaniu lub niekaralności
- chorowitemu często szwankuje
- dźwiękowo o przykrym zdarzeniu
- skrawek, ścinek
- złączenie za pomocą nici
- kto je sobie stroi, ten się wysmiewa

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1106”. Do rozlosowania książki „Kochanek lady Chatterley” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 5 marca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1103” z nr. 6: *Udawanie wymaga wysiłku.*
Nagrody otrzymują: Eugenia Domin z Harty, Piotr Swoboda z Adamowa-Wsi, Grzegorz Szustak z Wrocławia.

Irański łącznik

Oh! Tydzień temu pisaliśmy o wielkiej wpadce ambasadora RP w Iranie, który udał się na uroczystości 44. rocznicy rewolucji islamskiej. Udał się, choć przedstawiciele państw Unii Europejskiej (z wyjątkiem ambasadora Węgier) imprezę zbojkotowali. Tym samym polski ambasador miał sposobność przebywania w towarzystwie ambasadorów Rosji, Białorusi itd.

Tę informację zatytułowaliśmy „Rau gra z Teheranem”. No i już mamy wieści z alei Szucha – że to nie Rau był tym nieszczęsnym graczem, tylko wiceminister Paweł Jabłoński. Rau o sprawie nic nie wiedział. Informacja o uroczystościach i decyzji ambasadorów UE najpierw dotarła na biurko dyrektora Departamentu Afryki i Bliskiego Wschodu, Patrycji Ōzcan-Karolewskiej. I ona była za tym, by zachować się tak jak Unia. Ale nadzorujący departament wiceminister, czyli Paweł Jabłoński, zdecydował, że ambasador Fałkowski powinien w uroczystości uczestniczyć. I takie polecenie zostało do Teheranu wysłane.

Dlaczego? Jaka to gra? Oczywiście możemy wszystko tłumaczyć niekompetencją Jabłońskiego, bo nigdy nie był dyplomata i posada wiceministra to jego pierwsza praca w MSZ, ale czy nie byłoby to za proste?

Pojawiają się w tej sprawie kolejne teorie. Pierwsza, że Jabłoński jako człowiek związany jeszcze niedawno z Ordo Iuris ma po prostu słabość do państw religijnych, a do zgniłej Europy czuje niechęć. Postąpił więc tak, jak w duszy mu grało.

Jest też opinia, że słabość do Iranu pogłębiła się Jabłońskiemu po wizycie w Teheranie, którą składał w październiku 2022 r. Czyli w czasie wojny

rosyjsko-ukraińskiej i ataków irańskich dronów. Jabłoński był tam przyjmowany ponad stan, spotkał się z wiceprezydentem republiki, z ministrem spraw zagranicznych oraz dwoma wiceministrami.

Co z tego Polska miała – nie wiemy, bo informacja rzecznika MSZ dotycząca tych rozmów jest humorystyczna. Wynika z niej, że Jabłoński strofował non stop gospodarzy, a to za popieranie Rosji, a to za drony, a to za prace nad bronią jądrową, a także za rozpędzanie demonstracji, a oni pokornie kiwali głowami. No przecież nie zapraszaliby go, żeby wysłuchiwać pośmianek, i to w byle jakim angielskim.

Co ciekawe, a dziś mało pamiętane – kilkanaście dni później, 19 października 2022 r., rozmowę telefoniczną z prezydentem Iranu Ebrahimem Ra'isim odbył Andrzej Duda. Na oficjalnej stronie prezydenta podano, że „przywódcy poruszyli kwestie dwustronne oraz rozmawiali na temat bieżącej sytuacji międzynarodowej”.

Trudno o większy banał i nicniepowiedzenie. W każdym razie inicjatywa Dudy (pytanie, kto go do tego namówił) została w Iranie nagłośniona, a w Europie spotkała się z niedowierzaniem. Te nastroje oddaje zresztą tweet byłego szefa MSZ Radosława Sikorskiego: „Że co?! Gdy irańskie drony niszczą Ukrainę, gdy przez Iran przewala się fala represji, Andrzej Duda dzwoni do rzeźnika z Teheranu, mordercy tysięcy dysydentów, i komplementuje pokojową politykę terrorystycznego reżimu mułłów? Czy prezydent nam zwariował?”.

Ano właśnie... Dobrze byłoby ustalić, kto prowadzi tę grę z Iranem, czy Jabłoński, czy ktoś stojący wyżej, i jakie są jej cele...

Attaché

Członkowie szkoły Imperatriz podczas drugiego wieczoru corocznego konkursu szkół samby w Rio de Janeiro, 21 lutego 2023 r.





PENETRACJE

TYGODNIK
ANGORA
PRZEBŁAG
PRZECIWO
KRAJOWEJ
I EUROPEJSKIEJ
DISKRYMINACJI

JANINA OCHOJSKA,
EUROPOSŁANKA,
POLSKA AKCJA HUMANITARNA

W 1984 r. wyjechała pani do Lyonu na operację kręgosłupa.
– To wszystko było niezwykle. Miejscowy lekarz napisał w mojej sprawie do francuskiego ministra zdrowia i poprosił o sfinansowanie mojej skomplikowanej operacji. Byłam skromną astronomką i nie było mnie stać, żeby zapłacić z własnej kieszeni za to kosztowne leczenie. A najbardziej poruszające jest to, że ten lekarz, tam, w Lyonie, w ogóle mnie nie znał. Zobaczył jedynie zdjęcie RTG mojego kręgosłupa i postanowił działać. Tam po raz pierwszy spotkałam się z ideą pomocy humanitarnej, działając jako wolontariuszka w Fundacji EquiLibre. To z nimi pojechałam pierwszy raz do Sarajewa. We Francji zobaczyłam, jak wygląda zaangażowanie społeczne zwykłych obywateli.

MIĘSIĘCZNIK SPÓDZIANOŚCI
KRAKÓW

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY MIESIĘCZNIKA
„KRAKÓW I ŚWIAT”

Od niedawna nasz miesięcznik nosi nazwę „Kraków i Świat”. W piśmie podkreślamy istotę wolności, demokracji i konstytucji, mówimy o obronie praw człowieka i obywatela, nie ulegamy żadnym skrajnościom. Tym twórcom kultury i sztuki, którym wyznawane przez nas wartości są równie bliskie, postanowiliśmy wręczać Medale „Za mądrość obywatelską”. Krzysztof Jasiński, twórca i dyrektor Teatru STU, został laureatem za rok 2022. Laureaci to najważniejsze dla świata kultury nazwiska. Szczerość osoby, które swoją działalnością i pracą nie tylko wchodzi na najwyższy szczyt profesjonalizmu, ale zawsze stoją po stronie wolności, otwartości, dialogu i obrony słabszych.

Press **SZYMON JADCAK,**
DZIENNIKARZ ROKU

Witek Gadowski był legendą TVN, jednym z najlepszych reporterów „Superwizjera”, dostawał „Grand Pressy”. W 2010 r. został dyrektorem Jedynki i obiecał mi złote góry. Ściągnął mnie do Warszawy do programu „Celownik”. Pensję, którą mi obiecał, dostałem raz albo dwa, bo potem Gadowski się pożegnał ze stanowiskiem, a wszystkie nasze ustalenia wyśladowały w koszu. Przypadek Gadowskiego jest dla mnie największą tajemnicą, co z człowiekiem może zrobić mieszanka polityki, internetu, braku uznania i Bóg wie czego jeszcze. Może to jest złe, ale pozytywnie praktycznie wszystkie kontakty z ludźmi z drugiej strony barykady. Nie umiem już z nimi rozmawiać.

na **szczybie** **BARTEK ZIEMSKI,**
NARCIAZ, ALPINISTA

Interesują mnie tematy eksploracyjne i dzikie doliny. Marzy mi się, by pojechać do doliny, gdzie nikogo nie ma, a może nawet i nie było. I siedzieć tam miesiąc, zjeżdżając z okolicznych sześciotysięczników. Takich miejsc na mapie świata jest wbrew pozorom sporo. Ta wizja zdecydowanie bardziej do mnie przemawia niż obserwowanie tego cyrku komercyjnego, który się dzieje wokół Korony Himalajów i Karakorum. Na domiar wszystkiego Nepal stał się ostatnio niewyobrażalnie drogi w porównaniu np. z Pakistanem. Swoje wyprawy finansuję w głównej mierze sam, choć tym razem otrzymałem dofinansowanie z Polskiego Związku Alpinizmu.

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z sześciu liter

ONA 1
+ KOT
=
[][][][][][]

RAJ 2
+ GUZ
=
[][][][][][]

Wyrazy z siedmiu liter

KORA 3
+ LOT
=
[][][][][][][]

APEL 4
+ KIR
=
[][][][][][][]

Wyrazy z ośmiu liter

DRYL 5
+ ŻONA
=
[][][][][][][][]

SODA 6
+ KARP
=
[][][][][][][][]

ROZWIĄZANIA: AKONTO, GRUZJA, ŻYRANDOL, PARADOKS, REFLIKA, LOKATOR, KARTKA, DYKTUJĄC



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław

Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszczar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

ADAM MICHNIK O KOŚCIELE KATOLICKIM

Choć uważam się za przyjaciela Kościoła katolickiego, to mam świadomość, że jest to przyjaźń bez wzajemności.

STANISŁAW KOSTRZEWSKI O JANINIE GOSS

Prezes wystąpił do Orlenu po to, aby mieć wgląd w to, co się tam dzieje. Obajtek bardzo urosł i prezes uznał, że trzeba go trochę utemperować.

SZYMON MARCINIAK O LUSTRZE

Stawałem przed lustrem, a żona się ze mnie śmiała, bo sprawdzałem, jak wyglądam, pokazując kartkę, dyktując wolny pośrednik.

WŁADYSŁAW PASIKOWSKI O MARCINIE DOROCIŃSKIM

Za nic ma splendor, popularność, blichtr, cały ten zgłęb... Liczy się dobra rola.

ANNA ROMANTOWSKA O GRANIU

Nie usycham z tęsknoty za granicą. Przerwy w pracy nie rujnują mi życia. Chyba że ekonomicznie.

MARTA MANOWSKA O UMIEJĘTNOŚCIACH

Najbardziej lubię w sobie siłę i umiejętność abstrakcyjnego myślenia.

MAREK KONDRAT

O WINIARZACH Z HISZPANII

Każda generacja miała obowiązek wykopania jednej piwnicy – i tak od XIV w. – i dziś piwnice pod ich domem ciągną się na 3,5 km.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, **IBAN:** PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Edward Hartwig, Portret studentki, ok. 1955 r.



Janina Gardzielewska, Ślepy zaułek, ok. 1960 r.



Fotografika

Fotografia artystyczna w Polsce 1927-1978

Czym jest tytułowa fotografika? Termin ten wprowadził do języka polskiego Jan Bułhak w 1927 r., by odróżnić fotografię artystyczną od zawodowej i aby włączyć ją do świata plastyki. Wystawa jest pierwszym muzealnym ujęciem historycznego nurtu artystycznego. W MuFo zebrano niemal 150 oryginalnych odbitek fotograficznych ze zbiorów najważniejszych polskich muzeów i prywatnych kolekcjonerów. Można tu prześledzić, jak wyglądały początki fotografii artystycznej w Polsce.



Zdzisław Beksiński, Strefa, 1957 r.

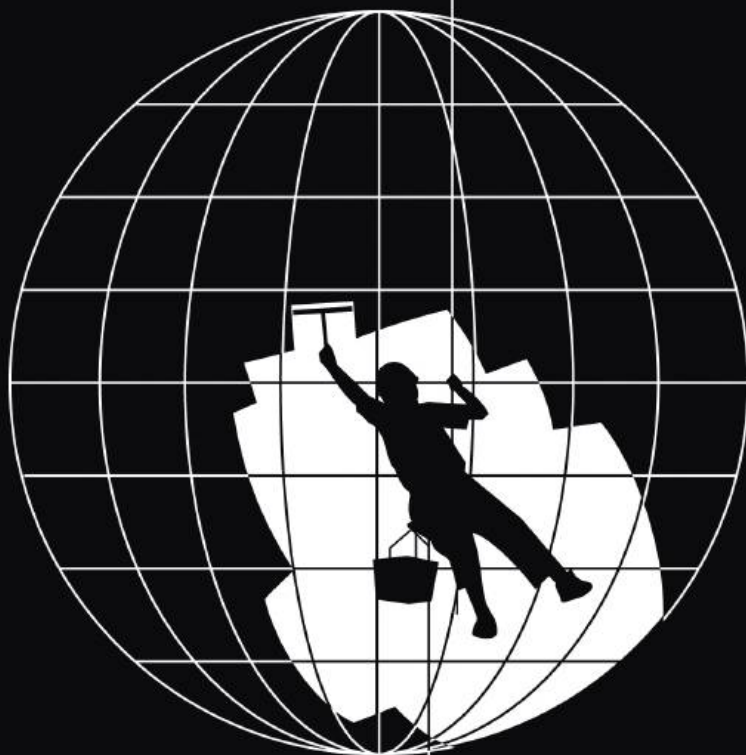
MuFo – Muzeum Fotografii w Krakowie
ul. Rakowicka 22A
do 7 maja



Jerzy Lewczyński, Nieznany z cyklu Głowy wawelskie, 1965 r.

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Przedwiośnie

reż. Paweł Łysak

premiera: 24 lutego 2023

kolejne pokazy: 28.02 i 01, 16, 17, 19, 21.03

Wydanie „Przedwiośnia” w 1924 roku wywołało burzę różnorodnych komentarzy. Stefana Żeromskiego oskarżano o promowanie bolszewizmu i pornografię. Na kolejne dekady książka stała się dla pokoleń punktem odniesienia powracającym w wielu dyskusjach. Szczególnie po 1989 roku wielokroć powracało marzenie dotyczące nowego „Przedwiośnia”.

Po prawie stu latach wracamy do tej powieści, by przyjrzeć się postawionym przez Żeromskiego pytaniom o sprawiedliwość społeczną, Polskę

obywatelską, a przede wszystkim o marzenia dotyczące nowej, lepszej rzeczywistości. Burzliwe losy Cezarego Baryki nie mogą odzwierciedlać wyzwań współczesnych młodych aktywistów, ale mogą stać się dla nas wstępem do dyskusji o wciąż trwających pęknięciach w polskim społeczeństwie, wojnie polsko-polskiej i ogromnym rozczarowaniu kształtem obecnej rzeczywistości, na którym żeruje prawicowy populizm. Proponujemy widzom rodzaj nowej, krytycznej lektury, do której zaprosiliśmy nie tylko aktorów, ale też młodych aktywistów i intelektualistów.

fascynujący

THE FILM VERDICT

przeszywający

HOLLYWOOD REPORTER

ekscytujący

SCREEN INTERNATIONAL



FESTIVAL DE CANNES
CANNES PREMIÈRE
SÉLECTION OFFICIELLE 2022

NOC

CÉSAR
ACADÉMIE DES
ARTS ET TECHNIQUES
DU CINÉMA

10
NOMINACJI

LUMIERE
AWARDS



NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZY SCENARIUSZ

12

REŻYSERIA
DOMINIK MOLL
„TYLKO ZWIERZĘTA NIE HADUJĄ”

PAŹDZIERNIKA

Kiedy zbrodnia staje się obsesją...

W KINACH OD 3 MARCA



Kreatywna
Europa
MEDIA

AURORA